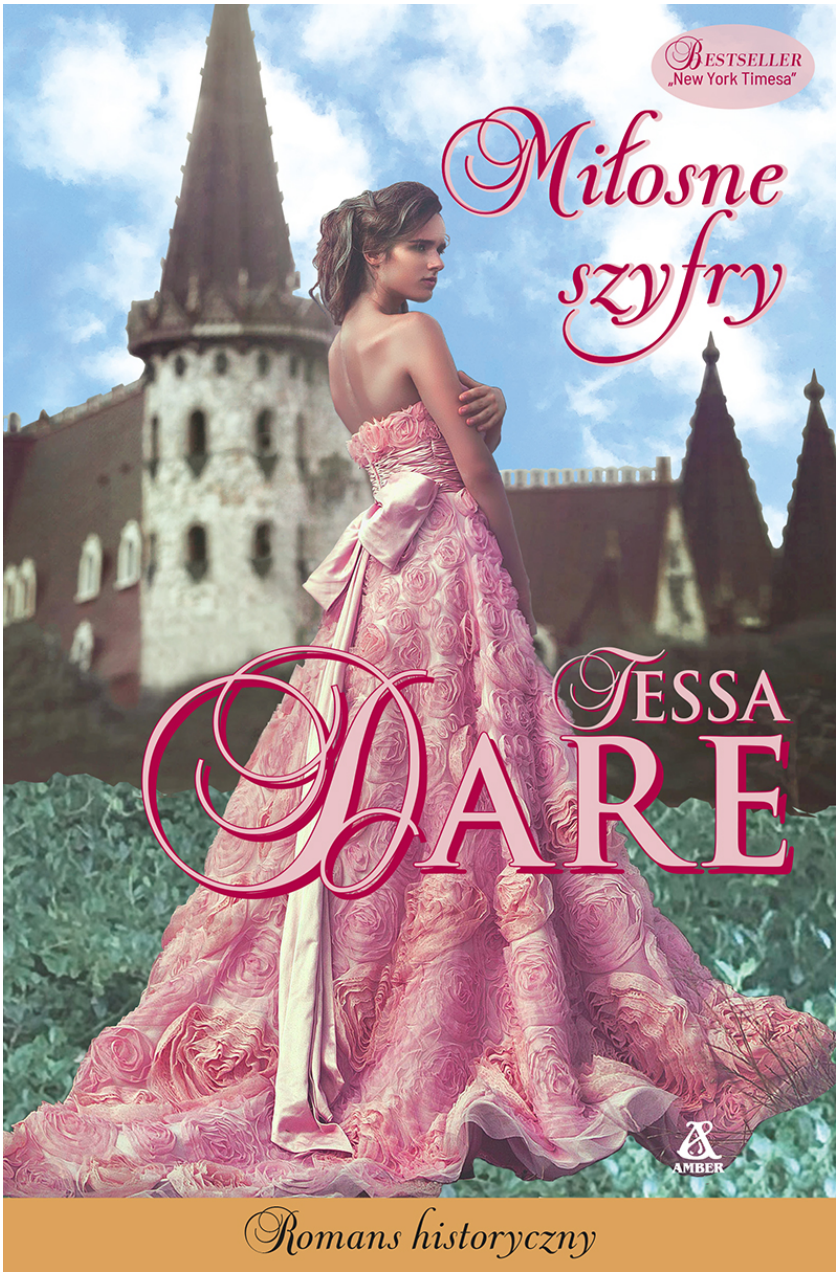
Bestseller
„New York Timesa"
Miłosne szyfry
Tessa Dare
AMBER
Romans historyczny

Miłosne szyfry

TESSA DARE

Przekład
Agnieszka Dębska

AMBER

Korekta
Halina Lisińska
Alicja Jedynak

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© illustrissima/Shutterstock

Tytuł oryginału
Do You Want to Start a Scandal

Copyright © 2016 by Eve Ortega
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6328-1

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Moim trzem nadzwyczajnym kotom – dwóm samotnym siostrzyczkom i zuchwałemu kocurkowi, który pewnej nocy zniweczył spokój ich egzystencji. Chociaż wskakujecie mi na klawiaturę i rozlewacie kawę na biurku, wasze mruczenie, kiedy się do mnie łasicie, wynagradza mi to z nawiązką.

1

Nottinghamshire, jesień 1819

Mężczyzna w czarnym stroju skręcił w korytarz, a Charlotte Highwood ruszyła za nim.

Oczywiście po kryjomu. Nikt nie mógł tego spostrzec.

Usłyszała cichy dźwięk otwieranych drzwi, gdzieś z lewej. Jeśli dobrze pamiętała, wiodły do biblioteki sir Vernona Parkhursta.

Zawahała się, stojąc w niszy i spierając się w myśli sama ze sobą.

W przekonaniu angielskiej socjety Charlotte była po prostu młodą kobietą bez znaczenia. Wdarcie się w samotne poczynania jakiegoś markiza, któremu nie została nawet oficjalnie przedstawiona, byłoby najgorszą z impertynencji. Tylko że wolała już impertynencki postępek od perspektywy, jaką był kolejny rok życia w atmosferze skandalu i w ubóstwie.

Z sali balowej dolatywały stłumione dźwięki muzyki. Pierwsze takty kadryla. Jeśli miała działać, właśnie teraz nastąpił odpowiedni moment. Nim zdołała to sobie wyperswadować, podeszła na palcach do drzwi i nacisnęła klamkę.

Matki, które mogą przywieść kogoś do desperacji, wymagają desperackich środków.

Kiedy otworzyła drzwi, markiz natychmiast na nią spojrzał. Był sam i stał za biurkiem.

A był… doskonały.

Doskonały… Nie miała tu na myśli: przystojny, choć niewątpliwie był przystojny. Miał subtelnie zarysowane kości policzkowe, foremny podbródek, a nos tak prosty, że Bóg mógłby uznać go za wzorzec. Wszystko inne też było w nim doskonałe. Sylwetka, maniery, ciemne falujące włosy. A pewność siebie i stanowczość zdawały się wręcz z niego emanować.

Mimo zdenerwowania poczuła, że ją zaciekawił. Przecież żaden mężczyzna nie może być perfekcyjny. Każdy ma jakieś niedostatki. A jeśli nie widać ich na

zewnątrz, muszą tkwić wewnątrz.

Zagadkowość zawsze ją intrygowała.

– Proszę się nie obawiać – powiedziała, zamykając za sobą drzwi. – Przyszłam tu, żeby pana uratować.

– Uratować? Mnie? – Jego niski, dźwięczny głos podziałał na nią tak, jakby dotknęła dobrze wyprawionej skóry. – A przed czym?

– Och, przed mnóstwem rzeczy. Głównie przed kłopotliwym zażenowaniem. Ale może i przed uszczerbkiem na zdrowiu.

Mężczyzna zamknął szufladę biurka.

– Czy zostaliśmy sobie przedstawieni?

– Nie, milordzie. – Zbyt późno przypomniała sobie, że należało dygnąć. – To znaczy… wiem, kim pan jest. Każdy zresztą wie. Piersem Brandonem, markizem Granville.

– Zgadza się.

– A ja jestem Charlotte Highwood, z Highwoodów raczej panu nieznanych. Chyba że z lektury „Prattlera", którego pan zapewne nie czytuje.

O Boże, mam nadzieję, że go nie czytuje.

– Jedna z moich sióstr to wicehrabina Paine – ciągnęła. – Może pan o niej słyszał? Pasjonuje się geologią. A moja matka jest kobietą nie do zniesienia.

Po chwili skinął głową.

– Miło mi panią poznać.

O mało się nie roześmiała. Żadna odpowiedź nie mogła zabrzmieć mniej szczerze. „Miło mi", też coś! „To doprawdy fatalne" bez wątpienia okazałoby się uczciwszą repliką, ale był zbyt dobrze wychowany, żeby tak się wyrazić.

Jeszcze raz zademonstrował wytworne maniery, wskazując na sofę. Zachęcał ją, żeby usiadła.

– Dziękuję, nie. Muszę wrócić na bal, nim zauważą moją nieobecność. No i nie mogę sobie pozwolić na pognieceniе sukni. – Wygładziła ciemnoróżowy strój. – Nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości, mam jedynie coś do powiedzenia. – Z trudem przełknęła ślinę. – Bynajmniej nie chcę wyjść za pana.

Zlustrował ją powoli chłodnym wzrokiem od stóp do głów.

– Spodziewa się pani, że poczułem ulgę?

– No… owszem. Jak zresztą każdy inny mężczyzna na pańskim miejscu. Widzi pan, moja matka wbiła sobie w głowę, że wyda mnie za utytułowanego dżentelmena, co ją publicznie ośmiesza. Może zna pan epitet Zdesperowana Debiutantka?

Och, jak nienawidziła samego dźwięku tych słów. Towarzyszyły jej przez cały sezon niczym duszący opar.

Zeszłej wiosny, w pierwszym tygodniu pobytu ich obu w Londynie, przechadzała się z matką po Hyde Parku podczas bardzo przyjemnego popołudnia. Ale wtedy matka wypatrzyła hrabiego Austin, jadącego po Rotten Row. Żeby się upewnić, że ów bardzo odpowiedni kandydat do ożenku zwróci uwagę na jej córkę, pani Highwood tak mocno pchnęła nie spodziewającą się niczego Charlotte, że ta upadła na zakurzoną ścieżkę. Wałach hrabiego stanął dęba i co najmniej trzy powozy zderzyły się ze sobą.

A w swoim kolejnym numerze „Prattler" zamieścił karykaturę przedstawiającą młodą damę, bardzo podobną do Charlotte, która pada na ziemię pośród pojazdów, ukazując gołe nogi i bujne piersi. Podpis pod rysunkiem głosił: „Wiosenna plaga Londynu. Zdesperowana Debiutantka".

No i w ten sposób uznano ją za skandalistkę.

Gorzej nawet: za zagrożenie bezpieczeństwa publicznego. Przez całą resztę sezonu żaden mężczyzna nie ośmielił się nawet do niej zbliżyć.

– Ach – powiedział, jakby sobie coś przypominając. – A więc to z pani powodu Austin kuleje?

– To był przypadek! – jęknęła z zakłopotaniem. – Ale choć przykro mi o tym mówić, moja matka najpewniej będzie mnie chciała na siłę zaznajomić z panem. Proszę się nie martwić. Nikt nie przypuszcza, żeby się jej powiodło. A już najmniej ja sama. Byłby to absurd. Przecież jest pan markizem. Człowiekiem zamożnym, wpływowym i przystojnym.

Przystojnym, Charlotte? Naprawdę?

Och, dlaczego musiała powiedzieć to na głos?

– A tymczasem ja zamierzam wyjść co najwyżej za jakiegoś niezamożnego trzeciego syna z zaszarganą opinią – ciągnęła. – Nie mówiąc już o różnicy wieku. Nie przypuszczam, żeby pan chciał się żenić z bardzo młodą osobą.

Oczy lorda Granville zwęziły się niebezpiecznie.

– Nie żeby pan był stary – dodała pospiesznie. – No i nie dlatego, żebym ja była niezwykle młoda. To nie byłoby przecież małżeństwo kogoś starego z podfruwajką. Już raczej kogoś dojrzałego z… młodszą od niego kobietą. – Zakryła na moment twarz rękami. – Zrobiłam z siebie idiotkę, nie uważa pan?

– Powiedzmy.

Charlotte podeszła do sofy i opadła na nią bezwładnie. Uznała, że najlepiej będzie jednak usiąść.

Granville wyszedł zza biurka i również usiadł na sofie, ale w rogu, wspierając mocno stopę o podłogę.

No, powiedz w końcu, co masz do powiedzenia – upomniała się w myślach.

– Jestem przyjaciółką od serca Delii Parkhurst. A pan znajomym sir Vernona. Obydwoje będziemy gościć w tym domu przez dwa tygodnie. Moja matka zrobi wszystko, żeby nas zachęcić do zawarcia znajomości. Oznacza to, że musimy unikać się wzajemnie – powiedziała z uśmiechem, siląc się na swobodny ton. – Nikogo nie zdziwi, jeśli pan, człowiek utytułowany i zamożny, zechce się trzymać z dala ode mnie.

Nie roześmiał się ani nawet nie uśmiechnął.

– Pozwoliłam sobie na żart, milordzie. To był cytat z pewnej powieści…

– Z *Dumy i uprzedzenia*. Owszem, czytałem ją.

No oczywiście, że czytał. Przecież latami służył w dyplomacji. A gdy Napoleon się poddał, brał udział w pertraktacjach podczas kongresu wiedeńskiego. Był światowcem, człowiekiem wykształconym i zapewne mówił kilkoma językami.

Charlotte nie posiadała umiejętności cenionych w dobrym towarzystwie, ale nie była pozbawiona zalet. Była życzliwa, bezpośrednia, umiała patrzeć na siebie z dystansem i prowadzić przyjemną dla rozmówcy konwersację.

Zabrakło jej teraz nawet i tych skromnych talentów. Powaga i przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu markiza Granville’a sprawiły, że czuła się jak ktoś mówiący do bryły lodu. Chyba nie zdoła sprawić, by rozmowa nabrała serdeczniejszego charakteru.

A przecież musiał być mężczyzną z krwi i kości.

Spojrzała na Granville’a spod oka, usiłując go sobie wyobrazić w chwili odprężenia, zagłębionego w skórzanym fotelu, z nogami na biurku, w rozpiętej kamizelce i koszuli, z podwiniętymi do łokcia rękawami. Przy lekturze gazety, pociągającego od czasu do czasu łyk brandy. Z lekkim zarostem na foremnym podbródku i z rozwichrzonymi włosami…

– Panno Highwood…

Drgnęła gwałtownie.

– Słucham?

Nachylił się ku niej i zniżył głos.

– Sądzę, że te nieustanne kadryle mają się już ku końcowi. Lepiej niech pani wraca do sali balowej. Ja zresztą też tak zrobię.

– Słusznie. Pójdę pierwsza. Proszę odczekać jakieś dziesięć minut, nim pan

stąd wyjdzie. Zyskam w ten sposób czas, żeby usprawiedliwić opuszczenie balu. Powiem na przykład, że rozbolała mnie głowa. Ale co zrobimy przez resztę tych dwóch tygodni? Podczas śniadań nic nam nie grozi, bo mężczyźni zwykle jedzą je wcześniej, a ja nigdy nie wstaję przed dziesiątą. Może pan też uprawiać sport z sir Vernonem, a my, damy, bez wątpienia będziemy pisać listy lub spacerować po ogrodzie. Możemy całymi dniami postępować w ten sposób. Ale ten jutrzejszy obiad… Obawiam się, że wtedy przyjdzie kolej na pana.

– Na mnie?

– Żeby udać niedyspozycję. Albo zrobić coś innego. Przecież nie mogę skarżyć się na ból głowy każdego wieczoru.

Podał jej dłoń, którą przyjęła. Ale kiedy już pomógł Charlotte wstać, nie puścił jej ręki.

– Czy jest pani pewna, że nie ma wobec mnie matrymonialnych zamiarów? Bo już narzuca mi pani rozkład dnia, całkiem jak żona.

Zaśmiała się nerwowo.

– Ani trochę, proszę mi wierzyć. Niezależnie od wysiłków mojej matki, nie podzielam jej nadziei. Bylibyśmy okropnym małżeństwem. Jestem o wiele za młoda dla pana.

– Już mi to pani dała do zrozumienia.

– Jest pan wzorem przyzwoitości.

– A pani jest… tutaj. Sama jedna.

– Właśnie. Mogę więc mówić, co mi serce dyktuje, a tymczasem pańskie…

– Ani drgnie.

Charlotte dałaby wiele, żeby przełamać krąg polarny jego sarkazmu.

– Rzecz w tym, milordzie, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Bylibyśmy dwojgiem obcych sobie ludzi w jednym domu.

– Jestem markizem. Mam pięć domów.

– Ależ rozumie pan chyba, o co mi chodzi. Byłaby to zupełna katastrofa.

– Nijaka, mdła egzystencja, przerywana od czasu do czasu cierpieniem.

– Bez wątpienia.

– Łączyłoby nas jedynie małżeńskie pożycie.

– Co… co takiego?

– Mam na myśli łóżkowe igraszki, panno Highwood. Przynajmniej one byłyby czymś nie do pogardzenia.

Zaczerwieniła się cała.

– Ja… pan sądzi, że…

Gdy rozpaczliwie usiłowała pokonać jąkanie, uśmiechnął się nieznacznie.

Czyżby lód zaczął topnieć? Poczuła ogromną ulgę.

– Chyba pan żartuje, milordzie?

Wzruszył ramionami.

– Pani wszystko zaczęła.

– Ależ skąd.

– Powiedziała pani, że jestem stary i nieciekawy.

Stłumiła uśmiech.

– Wie pan przecież, że nie to miałam na myśli.

Niesłychane. Gdyby wiedziała, że on potrafi sobie kpić i pozwala, żeby z kolei kpiono z niego, wydałby się jej o wiele bardziej pociągający.

– Panno Highwood, mnie nie można zmusić do niczego, a już na pewno nie do małżeństwa. Byłem dyplomatą, miałem do czynienia z królami i generałami, despotami i szaleńcami. W jaki sposób mam pani wytłumaczyć, że nie obawiam się matrymonialnych machinacji pani mamy?

– Pan jej jeszcze nie zna – westchnęła.

Jakże mogła mu uzmysłowić powagę sytuacji?

Lord Granville nie wiedział – choć zapewne nie przejąłby się tym wcale – że Charlotte miała coś więcej do stracenia. Nie chodziło jej wyłącznie o plotki i skandalizujące pisemka. Razem z Delią Parkhurst chciała opuścić Londyn na cały najbliższy sezon i wyjechać na kontynent. Zaplanowały już sobie wszystko: sześć krajów w cztery miesiące, dwie najlepsze przyjaciółki, jedna wyjątkowo pobłażliwa przyzwoitka – i żadnych męczących krewnych.

Nim jednak spakowały sakwojaże, musiały zapewnić sobie pozwolenie. To jesienne party dawało jej szansę, by dowieść sir Vernonowi i lady Parkhurst, że plotki, jakie o niej krążyły, były wyssane z palca. Że wcale nie jest zuchwałą łowczynią fortun, ale przyzwoitą młodą kobietą ze sfer ziemiańskich i lojalną przyjaciółką, z którą śmiało można wysłać ich córkę na Grand Tour, czyli wielką podróż kształcącą.

Charlotte nie mogła zaprzepaścić takiej szansy. Delia liczyła na nią. Nie mogła też znieść, by wszystkie jej marzenia przepadły.

– Milordzie, błagam, gdybyśmy tylko się zgodzili co do tego, że…

– Cicho!

W jednej chwili uległo zmianie całe jego zachowanie. Nie był już chłodnym arystokratą, tylko czujnym i zaniepokojonym mężczyzną. Nadsłuchiwał z głową zwróconą ku drzwiom.

Ona też to usłyszała. Czyjeś kroki w korytarzu, coraz bliższe.

A także stłumione głosy, tuż za drzwiami.

– Och, nie! – jęknęła w panice. – Nie mogą nas tutaj zastać razem!

Ledwie to powiedziała, cały pokój nagle zawirował wokół niej.

Charlotte nie umiałaby powiedzieć, co się właściwie stało.

Czy zerwała się w panice z miejsca? No i dlaczego w jakiś dziwny sposób znalazła się niespodziewanie w jego ramionach?

W jednej chwili spoglądała ze zgrozą na poruszającą się klamkę, a w drugiej tkwiła już we wnęce okiennej, za ciężkimi, aksamitnymi zasłonami.

Przyciśnięta do piersi markiza Granville'a.

Mężczyzny, którego zamierzała unikać za wszelką cenę.

Och, Boże.

Ściskała kurczowo wyłogi surduta lorda, tkwiąc jednocześnie w jego ramionach. Jedną ręką obejmował ją w pasie, a drugą za ramiona. Patrzyła prosto w jego nieskazitelnie biały halsztuk.

Mimo niewygodnej pozycji starała się nie wydawać najmniejszego dźwięku. Gdyby ich teraz zaskoczono razem, byłaby skończona. Matka rzuciłaby się wówczas na lorda Granville'a i nie puściła go więcej. To znaczy, gdyby wcześniej Charlotte nie umarła ze wstydu.

Ale mijała chwila za chwilą i coraz wyraźniej wydawało się, że nikt nie odkryje ich obecności.

Do pokoju weszło bowiem dwoje ludzi, którzy bez żadnej ceremonii zabrali się do rzeczy.

Dźwięki, jakie wydawali, były ciche i słabe. Jakieś zdławione chichoty, jakieś szelesty tkanin.

Woń silnych, duszących perfum przeniknęła gęstą falą za zasłony.

Spojrzała ku górze, usiłując w półmroku dojrzeć reakcję Granville'a. Patrzył prosto przed siebie i znowu przypominał bryłę lodu.

– Czy sądzisz, że on to zauważył? – mruknął męski głos.

Odpowiedział mu stłumiony głos kobiecy:

– Cicho. Pospiesz się.

Charlotte słuchała z rosnącą grozą nieznośnych odgłosów, jakby plaskania czegoś wilgotnego.

Tylko nie to – zanosiła w duchu błagania, zaciskając mocno powieki. – Tylko niech nie chodzi właśnie o to!

Prośby jej nie zostały wysłuchane.

Potem rozległy się jakieś rytmiczne trzaski dobiegające, jak przypuszczała, od blatu biurka. Jakby ktoś gwałtownie się po nim turlał. A gdy starała się to za wszelką cenę wytrzymać, usłyszała z kolei gardłowe pomruki.

Przyszło jej na myśl, że ludzkie ciało jest bardzo dziwną rzeczą. Można zamknąć oczy, jeśli nie chce się czegoś widzieć. Zacisnąć wargi, broniąc się przed niemiłym smakiem. Ale nie ma organu pozwalającego na uniknięcie dźwięków.

Nie można bowiem zatkać uszu, kiedy nie śmie się nawet poruszyć dłonią, a ona właśnie nie śmiała tego zrobić. Nisza okienna była zbyt ciasna. Najlżejszy ruch mógłby poruszyć zasłony, ujawniając obecność ich dwojga.

Nie miała wyboru: musiała wysłuchać wszystkiego. A jeszcze gorsza była świadomość, że lord Granville też to wszystko słyszy. Każde skrzypnięcie blatu, każdy pomruk godny wręcz zwierzęcia.

A chwilami dolatywało też do nich przenikliwe pojękiwanie.

– Ach!

Głuchy pomruk.

– Aa!

Kolejny głuchy pomruk.

– Oo! Oo!

Wielkie nieba. Czy ta kobieta jęczy z rozkoszy, czy ćwiczy wymowę samogłosek?

W gardle Charlotte narastał złośliwy chichot. Usiłowała stłumić go, zdusić w sobie, ale bez skutku. Może był rezultatem zdenerwowania, a może po prostu żenującej sytuacji. Im więcej wysiłków czyniła – ze względu na własną reputację, na plan podróży z Delią, na całą swoją przyszłość – tym bardziej śmiech w niej potężniał.

Zaciskała i zagryzała wargi, rozpaczliwie próbując go powstrzymać. Mimo najlepszych chęci ramiona jej zaczęły jednak drgać konwulsyjnie.

Kochankowie poruszali się w coraz szybszym rytmie, aż wreszcie stękanie przeszło w ostre dźwięki podobne do głośnego skomlenia psa. Niewidoczny mężczyzna wydał wreszcie z siebie gardłowy charkot:

– Chrrr!

Charlotte przegrała swoją walkę i wybuchnęłaby śmiechem na cały głos, gdyby lord Granville nie przycisnął jej głowy do swojej piersi, tłumiąc go własną kamizelką.

Schwycił Charlotte mocno, gdy już trzęsły się jej ramiona i łzy spływały po

policzkach, jakby przyjmował na siebie wybuch granatu rzuconego przez jakiegoś żołnierza, uciszając ją skutecznie.

To najdziwniejszy uścisk, jakiego doświadczyła w życiu, ale też i taki, jakiego rozpaczliwie pragnęła.

Potem zaś, na całe szczęście, było już po wszystkim.

Kochankowie na chwilę przed rozstaniem wzdychali i wymieniali pocałunki, po czym poprawili na sobie odzież. Drzwi otwarły się, a potem zamknęły. Tylko słabnący zapach perfum unosił się w powietrzu.

Nie było już słychać niczego prócz głuchego, rytmicznego dudnienia.

Zrozumiała, że to bije serce lorda Granville'a.

Najwyraźniej nie zlodowaciało ze szczętem za kręgiem polarnym.

Nabrał tchu gwałtownie i głęboko, a potem ją puścił.

Charlotte usiłowała na niego nie patrzeć. Nie wiedziała też, co powiedzieć.

Wpatrzyła się w swoje dłonie, a potem wygładziła nimi suknię, chcąc się upewnić, że wciąż jest cała i zdrowa. Najgorzej chyba wyglądały jej włosy.

Granville odchrząknął.

Spojrzeli na siebie.

– Czy mogę mieć nadzieję, że jest pani zbyt niewinna, by pojąć, co się tu działo? – spytał.

Popatrzyła na niego z pogardą.

– Niewinność to niekoniecznie nieświadomość. Mogę być niewinna, ale ignorantką nie jestem.

– Właśnie to uważam za przerażające.

– Użył pan właściwego słowa – wzdrygnęła się. – To było… przerażające. Okropne.

Przejechał ręką po włosach.

– Nie musimy więcej o tym mówić.

– Ale będziemy myśleć. I nie zapomnimy tego. Wryje się nam w pamięć. Za dziesięć lat będziemy może żyć własnym życiem, poślubieni jakimś ludziom. Ale pewnego dnia spotkamy się przypadkiem w sklepie czy w parku i – tu strzeliła palcami – z miejsca przypomnimy sobie o tej niszy okiennej.

– Najchętniej zapomniałbym o tym incydencie. Doradzam pani to samo. – Granville uchylił nieco zasłonę. – Chyba nie ma się już czego obawiać.

Wyszedł z niszy pierwszy, energicznym krokiem. Znów ją zdumiało, w jaki sposób zdołał się tam z nią ukryć tak szybko. Musiał mieć imponujący refleks.

Ujął za linkę do zasłon i zaczął je na nowo zaciągać.

Charlotte zebrała suknię, gotując się do wyjścia z kryjówki.

– Proszę zaczekać, pomogę pani – powiedział.

Tylko że ona uniosła już nogę, no i to, co miało być zgrabnym ruchem, zmieniło się w niezręczne potknięcie. Podtrzymał ją, żeby nie upadła, a gdy usiłowała stanąć mocno na nogach, znalazła się znów w jego ramionach.

W jego mocnych, opiekuńczych ramionach.

– Dziękuję – powiedziała oszołomiona. – Po raz drugi.

Spojrzał na nią, znów z tym nieznacznym, ale miłym uśmiechem.

– Jak na kobietę, która nie chce mieć ze mną nic wspólnego, lgnie pani do mnie z niepokojącą częstością.

Zaczerwieniła się i wyswobodziła z jego objęć.

– Chętnie bym zobaczył, jak pani potraktuje mężczyznę admirowanego przez siebie.

– Nigdy nie będę miała takiej szansy.

– Proszę nie mówić głupstw. – Ujął znów za linkę od zasłon. – Jest pani młoda, ładna, bystra i pełna życia. Gdyby lejce zerwane na Rotten Row sprawiły, że każdy mężczyzna godny tego miana chciałby pani unikać, obawiałbym się o przyszłość tego kraju, bo Anglię czekałoby wyludnienie.

Charlotte wzruszyła się szczerze.

– Miło mi, że pan tak mówi. To wielka uprzejmość z pańskiej strony.

– Skądże. Po prostu trafna uwaga.

– Mimo to jednak… – Charlotte zdrętwiała z przerażenia. – O Boże!

Zostali zdekonspirowani. Drzwi biblioteki otwarły się na oścież.

Edmund Parkhurst, ośmioletni dziedzic majątku i tytułu swojego ojca, wpatrywał się w nich z okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Ach, to ty, chłopcze. – Charlotte z ulgą przycisnęła dłoń do piersi. – Edmundzie, kochanie, czy nie powinieneś już leżeć w łóżeczku?

– Słyszałem jakieś hałasy! – oznajmił malec.

– Nie było żadnych – zapewniła go Charlotte, nachylając się, żeby mu spojrzeć w oczy. – Coś ci się zdawało.

– Ale ja je słyszałem! – upierał się chłopiec. – Jakieś groźne hałasy!

– Nie, nie. Nic groźnego się nie stało. Myśmy tylko… grali w pewną grę.

– To dlaczego płakałaś? – I Edmund wskazał palcem lorda Granville’a, który wciąż trzymał w ręce linkę od zasłon. – No i kim jest ten obcy pan ze sznurem?

– Przecież to nie żaden sznur. A lord Granville nie jest nikim obcym. To gość twojego taty. Przyjechał dzisiejszego wieczoru.

– Chodź, pokażę ci, co to jest. – Markiz zrobił krok naprzód i pociągnął za długą, aksamitną linkę, chcąc bez wątpienia uspokoić chłopca. Nie zdawał sobie sprawy, że wysoki, postawny mężczyzna może jedynie przestraszyć przerażone dziecko, które nigdy go przedtem nie widziało.

Edmund cofnął się i krzyknął z całej siły:

– Na pomoc! Morderstwo! Na pomoc!

– Edmundzie, skądże, to nie żadne…

– Morderstwo! – wrzasnął chłopiec i popędził przed siebie korytarzem. – Morderstwo!

Charlotte spojrzała na Granville'a.

– Niechże się pan ruszy. Musimy go zatrzymać!

– Mógłbym go złapać w holu, ale coś mi mówi, że to nic nie pomoże.

Po chwili zaniepokojony sir Vernon, ich gospodarz, zjawił się w bibliotece. A tuż za nim najbardziej nieodpowiednia osoba – matka Charlotte.

– Szukałam cię wszędzie! – upomniała córkę. – Gdzieś ty się podziała?

Sir Vernon usiłował uspokoić syna.

– Co się stało, chłopcze?

– Słyszałem hałasy. Mordercze hałasy! – Edmund wskazał na nich palcem. – Z tego pokoju!

– Żadnych morderczych hałasów tu nie było – powiedziała Charlotte.

– Chłopcu coś się zdawało – dodał lord Granville.

Sir Vernon położył Edmundowi dłoń na ramieniu.

– Powiedz mi, co właściwie słyszałeś.

– Kiedy byłem na piętrze – odparł chłopiec – zaczęło się od czegoś takiego: oo, och, och!

Charlotte zdrętwiała, kiedy Edmund zaczął zadziwiająco dokładnie naśladować dźwięki sprzed kwadransa: każdy jęk, skowyt i pomruk, które zdołał podsłuchać. Wszyscy mogli teraz dojść do wniosku, jakiej to jednoznacznej czynności oddawał się z nią markiz.

W najgorszych snach nie mogła sobie wyobrazić podobnej sceny.

– A potem ktoś okropnie zacharczał i usłyszałem, że jakaś kobieta krzyczy, więc przybiegłem tu, żeby zobaczyć, co się dzieje. – I Edmund znów wskazał palcem na niszę okienną. – A oni tam byli oboje.

Sir Vernon wyglądał na wyraźnie zaniepokojonego.

– No cóż – powiedziała matka Charlotte – z pewnością lord Granville nam to wytłumaczy.

– Przepraszam, madame, ale czy to nie pani córka powinna wszystko wyjaśnić? – Sir Vernon spojrzał na lorda Granville'a. – Bo w Londynie coś niecoś o niej mówiono.

Charlotte skuliła się z przerażenia.

– Może omówimy to w cztery oczy, sir Vernonie? – zaczął lord Granville.

– Nie, nie. To by ją wręcz pogrążyło. Wszyscy powinni usłyszeć prawdę, tu i teraz.

– Kiedy to wcale nie jest prawda! – parsknęła Charlotte. – Gdzież tam!

– Czy oskarża pani mojego syna o kłamstwo, panno Highwood?

– Nie, ale to wszystko jest nieporozumieniem! Nic się nie stało. Nikogo nie zamordowano ani nie napadnięto. Nie ma tu żadnego sznura! Lord Granville po prostu zaciągał linką zasłonę.

– A dlaczego nie była zaciągnięta? – spytał sir Vernon.

– Coś tu leży na posadzce! – zawołał Edmund.

A kiedy podniósł to coś, w Charlotte zamarło serce.

Była to podwiązka.

Szkarłatna jedwabna podwiązka.

– Nie należy do mnie! – zaprzeczyła rozpaczliwie. – Nigdy w życiu jej nie widziałam, daję słowo!

– A co tu jest takiego? – i Edmund odwrócił podwiązkę na lewą stronę, gdzie widniała wyhaftowana jedna jedyna litera.

Było nią C.

Charlotte i lord Granville spojrzeli na siebie z przerażeniem.

No i co teraz?

Pani Highwood powiedziała bardzo głośno:

– Nie mogę uwierzyć, że akurat lord Granville mógłby się zachować w tak bezwstydny i oburzający sposób wobec mojej córki.

Mamo, przestań.

– Mogę dojść tylko do jednego wniosku. Dał się ponieść namiętności! – oświadczyła jej matka, a córce szepnęła na ucho:

– Nigdy nie byłam z ciebie bardziej dumna!

– Mamo, błagam, nie rób sceny!

Tylko że pani Highwood właśnie pragnęła ją zrobić. Skwapliwie skorzystałaby ze wszelkiej okazji do skandalu, gdyby dzięki temu mogła zaręczyć córkę z markizem.

Charlotte usiłowała go właśnie przed tym ostrzec, ale teraz jej najgorsze

obawy stały się rzeczywistością.

– Mówię prawdę, mamo. Nic się nie zdarzyło!

– Nieważne! – syknęła jej pani Highwood w ucho. – Ważne, żeby wszyscy myśleli całkiem inaczej!

Charlotte musiała jak najszybciej coś zrobić.

– To wcale nie moja podwiązka! Wciąż mam na sobie obydwie i mogę tego dowieść! – zawołała, unosząc skraj sukni.

Matka trzepnęła ją po dłoni złożonym wachlarzem.

– Wobec mężczyzn?! Nie zrobisz chyba czegoś takiego!

Czyż ukazanie obydwu własnych podwiązek mogło być gorsze od przeświadczenia sir Vernona, że ona ma na sobie tylko jedną?

Po raz kolejny Charlotte usiłowała wyjaśnić, co się naprawdę stało.

– Lord Granville i ja po prostu rozmawialiśmy.

Matka zatrzepotała energicznie wachlarzem.

– Chciałabym wiedzieć, o czym!

– O morderstwie! – zawołał Edmund, przeciągając każdą sylabę, jakby śpiewał, i tupiąc nogą do taktu. – O mor-der-stwie!

– Wcale nie o morderstwie! – zaprzeczyła mu Charlotte. – Ani o żadnym innym przestępstwie! Mówiliśmy o… o…

– O czym? – zapytał sir Vernon.

Wtedy zabrał głos lord Granville. Unieruchomił Charlottę, kładąc jej dłoń na ramieniu, a potem odchrząknął i udzielił wszystkim najzupełniej prawdziwej, choć całkowicie druzgocącej odpowiedzi.

– O małżeństwie.

2

Następnego ranka Piers siedział przy stole w swoim apartamencie, trzymając w dłoni filiżankę kawy i pocierając skronie. Głowa pękała mu z bólu.

– Co się właściwie stało? – spytał z kąta pokoju Ridley, szczotkując jego granatowy surdut. – Wyjaśnij mi jeszcze raz.

– Nie jestem pewien, czy potrafię. A tobie doprawdy nie trzeba wcale tych wyjaśnień.

Ridley wzruszył ramionami i nadal szczotkował surdut.

– Nie sądzę. Byłbym spokojniejszy.

– Niech będzie.

Dla całej reszty obsługi Ridley był jego lokajem. Dla Piersa – kolegą ze służby. Zaufanym partnerem i profesjonalistą równym mu statusem i rangą. Jak zwykle, jego zadaniem w Parkhurst Manor było poznawanie opinii służby, podczas gdy Piers obracał się wśród elity. Piers nie lubił jednak prosić go o zwykłe, obowiązkowe usługi.

– Kiedy zaczął się kadryl, poszedłem do biblioteki – powiedział, próbując odtworzyć w sensowny sposób to, co robił poprzedniej nocy. – Zamierzałem rozpocząć śledztwo.

Śledztwo. Prawdziwy powód jego bytności na tym wiejskim party: sir Vernon Parkhurst nie wiedział, że pozostaje pod uważną obserwacją. Korona potrzebowała go jako odpowiedzialnego wysłannika, by wyjaśnić powikłaną aferę korupcyjną w Australii. Byłoby to dość proste… gdyby nie pewien szkopuł.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy sir Vernon wydał sporo pieniędzy. Niemałe sumy, w nieregularnych odstępach. Sto funtów tu, dwieście tam. Znikał też od czasu do czasu z Londynu na kilka dni. Najpewniej wskazywało to na hazard lub kochankę. Nie można też było wykluczyć szantażu.

Jeśli sir Vernon miał jakieś sekrety i płacił, by nie wyszły na jaw, zadaniem Piersa było je wykryć.

– Zamierzałem szybko przeszukać korespondencję w jego biurku. Przerwała mi to. Weszła bez uprzedzenia, nawet nie zapukała. Uznałem, że jest… prowokująca.

– No i ładna.

– Być może. – Nie miało sensu zaprzeczanie. Ridley nie był ślepy. Panna Highwood, w istocie całkiem ładna, patrzyła bystro i uśmiechała się szeroko, ze śmiałością. Miała także atrakcyjną figurę.

– A także pełna uroku. Dałbym głowę.

– Możliwe.

– Była również jak haust świeżego powietrza – ciągnął Ridley, gestykulując wymownie dłonią. – Słoneczny promyczek, gotów zmiękczyć zimne serce doświadczonego agenta.

Piers prychnął lekceważąco, a potem pociągnął łyk kawy, żeby zakończyć definitywnie ten dialog.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że Ridley znał go za dobrze i w pewnym stopniu miał rację.

Piers spędził zbyt wiele czasu w pałacach i parlamentach, całkiem jakby były sceną jakiegoś nieustannego spektaklu. Każda osoba, którą tam napotykał, od królów po kurtyzany, grała w nim jakąś rolę. Parkhurst Manor było właśnie jedną z takich scen – choć w gruncie rzeczy nudną.

I nagle wkroczyła na nią ta kobieta – urocze młode stworzenie w różowej sukni. Była najgorszą aktorką, jaką kiedykolwiek widział. Plątała swoje kwestie, wywracała do góry nogami oprawę sceniczną. Charlotte Highwood, choćby się nie wiem jak starała, potrafiła być tylko sobą.

Było to coś rzadkiego i odświeżającego, a Piers czuł się zanadto zblazowany, by nie ulec jej urokowi. Potrafił jednak czerpać z niego ulotną satysfakcję.

Będzie musiał zapłacić za tę chwilę nieuwagi.

A ona także.

– Pozwoliłem, żeby to trwało zbyt długo – ciągnął. – Nakryto nas. Nie mogłem się wytłumaczyć, nie prowokując kolejnych pytań.

Na przykład o to, co właściwie robił w prywatnej bibliotece sir Vernona. Lepiej było pozwolić gospodarzowi, by sądził, że Piers szukał ustronnego miejsca do romansu, niż ujawnić prawdziwy powód.

– Milordzie, ten błąd do pana nie pasuje – stwierdził Ridley.

No i rzeczywiście nie pasował.

Piers przetarł twarz dłońmi. Rozpamiętywanie tego wszystkiego nie miało

sensu. Należało jedynie działać. Stanąć twarzą w twarz z błędami i w miarę możności je naprawić. Lepiej, żeby szkoda była jak najmniejsza.

Do pewnego stopnia było to możliwe. Mógł wszystkiemu zaprzeczyć i wycofać się ze sceny rzekomego mordu, poniechawszy obowiązku i rzuciwszy niewinną młodą kobietę smokom na pożarcie.

Albo też mógł spełnić swój obowiązek w inny sposób.

– Rzecz jasna, zachowa się pan odpowiednio – powiedział Ridley. – Jak zresztą zawsze.

Piers spojrzał na niego z ironią. Obydwaj wiedzieli, że honor to w ich pracy rzecz złudna. Obydwaj mieli świadomość, czym jest patriotyczny heroizm – w końcu właśnie z jego powodu podjęli się tej roboty. Nigdy go jednak nie potrafili należycie odczuć, za to wstyd i poczucie winy zawsze im towarzyszyły.

Nauczył się, że najlepiej nie roztrząsać tego zbyt dokładnie. A w ostatnich dniach unikał, jak tylko mógł, analizy własnych odczuć. Resztkę honoru, jaka mu jeszcze pozostała, plamiły rozczarowanie i mrok.

Sprawa panny Highwood wyglądała podobnie i tym bardziej było mu żal dziewczyny. Zasługiwała na coś lepszego niż to, co zamierzał dziś zrobić.

Stuknął palcem w teczkę leżącą na stole. Zawierała informacje o każdym z gości i służących w Parkhurst Manor – w tym również o Charlotte Highwood.

– Czytałeś to. Streść mi, co tam o niej piszą.

Ridley wzruszył ramionami.

– Mogło być gorzej. Pochodzi z ziemiaństwa. Kilka pokoleń wiejskich dziedziców, majątek skromny, ale ze stałym dochodem. Ojciec zmarł po spłodzeniu trzech córek, syna nie miał. Majątek przeszedł na kuzyna, a one zostały ze skromnymi posagami. Charlotte jest najmłodsza. Najstarsza, Diana, cierpiała w młodości na astmę, rodzina przeniosła się więc nad morze ze względu na jej zdrowie. Tu się zaczyna coś ciekawego.

Piers wypił kawę do samego dna.

– Naprawdę?

– Osiadły w Spindle Cove.

– Spindle Cove. Brzmi jakoś znajomo.

– Przed swoim małżeństwem żona Christiana Pierce’a też spędziła tam trochę czasu.

– Violet? Masz rację. Interesujące. – Piers przypomniał sobie, że ta para małżeńska przebywa teraz na południu Francji.

– Spindle Cove to małe miasteczko. Córka sir Lewisa Finche’a przeobraziła je

w miejsce schronienia dla kobiet z jakimiś życiowymi problemami. Młode damy żyją tam wedle ścisłych reguł. W poniedziałki przechadzki po okolicy. We wtorki kąpiele morskie. W środy ogrodnictwo. W czwartki…

– Bez takich szczegółów – zniecierpliwił się Piers. – Wróćmy do sióstr Highwood. Mają jakieś koneksje?

– Dobre i złe.

– Najpierw chcę usłyszeć o złych.

– Najstarsza wyszła za miejscowego kowala.

Piers pokiwał głową.

– Niewiarygodne, że matka jej pozwoliła. Musiała nie mieć wyboru.

– Dobre: średnia dała się uprowadzić wicehrabiemu.

– Owszem, Charlotte napomknęła o niej. Jaki wicehrabia to zrobił?

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy Ridley je otworzył, stojący w korytarzy kamerdyner oznajmił:

– Wicehrabia Payne do pana, milordzie.

Ridley zamknął drzwi, a potem z szerokim uśmiechem powiedział:

– Właśnie ten.

– Colin, to naprawdę ty?

– Przybyłem z wizytą do mojej ukochanej siostrzyczki.

Charlotte przebiegła pędem przez bawialnię i wpadła w ramiona szwagra. Uściskała go z całej siły.

– Jak zdołałeś przyjechać tak szybko?

– Twoja matka przysłała mi pilną wiadomość. A ja słynę z talentów do szybkich wypraw na północ.

– Ogromnie się cieszę, że tu jesteś.

Colin mógł wszystko naprawić. Dokładniej mówiąc, najpierw wszystko zabałagani, ale potem uśmiechnie się rozbrajająco i uśmierzy wszelki skandal, a później oboje będą mogli zasiąść do śniadania.

Śniadanie! To zabrzmiało wprost cudownie. Choć rano nie mogła nic przełknąć, teraz strasznie zgłodniała.

– Tylko nie zrób czegoś tak głupiego, jak pojedynek – uprzedziła go. – Wiesz, że nawet ja strzelam lepiej od ciebie. Minerva nigdy by mi nie wybaczyła.

– Nie będziemy się strzelać. Nie ma takiej potrzeby.

Odetchnęła z ulgą.

– Och, jak dobrze!

– Granville zamierza oświadczyć ci się dziś rano, a ja się zgodziłem, że mu pozwolę.

– Oświadczyć mi się? Przecież to absurd. My tylko rozmawialiśmy ze sobą.

– Ale sam na sam – wytknął jej.

– Owszem, skryliśmy się jednak w niszy tylko dlatego, że do biblioteki weszły inne osoby.

– W niszy okiennej. – Spojrzał na nią znacząco. – Gdzie wyznaczyliście sobie namiętną schadzkę.

Charlotte westchnęła zgnębiona.

– Nie robiliśmy tam niczego!

Colin uniósł brew.

– Zetknąłem się z mnóstwem dwuznacznych sytuacji. Nie wierzę, że nic nie robiliście.

– Powtarzam ci jeszcze raz, że nic. Nie wierzysz mi?

– Ależ wierzę ci, kochanie. Tylko że póki ci zagadkowi kochankowie nie ujawnią się, żeby wziąć na siebie winę, nikt inny ci nie uwierzy. A prawdę mówiąc, zaskoczono was w sytuacji wystarczająco intymnej, by zepsuć ci widoki na przyszłość. Nieostrożnie postąpiłaś, Charlotte.

– A ty dbałeś o ostrożność? Jesteś nieuleczalnym zuchwalcem.

Uniósł palec w geście przeczenia.

– Byłem, ale teraz zostałem ojcem. Pozwól, że ci coś powiem: Minerva mogłaby wątpić, czy skruszeni zuchwalcy to najlepsi mężowie, ale pierwsza uzna ich za nadopiekuńczych ojców. Niegdyś wchodziłem do sali balowej jak do ogrodu pełnego kwiatów gotowych, by je zerwać. A teraz widzę tam tuziny takich córek, jak moja.

– To brzmi niepokojąco.

– Powiedz mi, co się właściwie stało. Wiem aż za dobrze, jak niestosowne myśli kryją się w męskich umysłach.

– W umyśle lorda Granville’a nie ma nic niestosownego! Przeciwnie, nigdy nie spotkałam kogoś porządniejszego.

Zdziwiły ją jednak własne słowa. Czy naprawdę tak było? Przypomniała sobie, jak biło jej serce w okiennej niszy, kiedy trzymał ją w ramionach. Pamiętała też jego dyskretny żarcik: „Mam na myśli łóżkowe igraszki, panno Highwood”.

Zrobiło się jej gorąco.

– Nie jestem jeszcze gotowa do założenia własnego domu. Owszem, chciałam

zabawić się podczas sezonu, ale żeby zaraz planować małżeństwo?

– Powiada się, że najlepsze plany myszy i ludzi potrafi zniweczyć los. To na pewno z Biblii?

– Nie, z wiersza Roberta Burnsa.

– Czyżby? – wzruszył lekceważąco ramionami. – Rzadko czytam jedno czy drugie. A właściwie nigdy. Wiem jednak coś niecoś o miłości i o tym, jak potrafi ona zadrwić z ludzkich zamiarów.

– Ależ tu nie ma mowy o miłości! Ledwie się znamy. On nie ma ochoty na ten związek bardziej ode mnie.

– Och, wątpię.

– Dlaczego?

Wskazał jej ruchem głowy lorda Granville'a siedzącego w fotelu na drugim końcu długiego, wysokiego pokoju. Nie zauważyła, kiedy wszedł. Czy był tam przez cały czas?

– Bo patrzy na ciebie w taki sposób, że chętnie bym mu dał po głowie.

– Colin, przecież nie jesteś rozrabiaką!

– Wiem. Wierz mi, dla mnie to również przykra myśl.

– Co za okropność.

Colin położył jej dłonie na ramionach.

– Wysłuchaj go, kochanie. Zważywszy że chodzi o całą twą przyszłość, jesteś to sobie winna. Będę cię wspierał niezależnie od twojej decyzji. Musisz się jednak na nią zdobyć.

Skinęła głową.

Po małżeństwie z Minervą Colin stał się głową rodziny, ale nie miał zbyt wielkiego autorytetu. Charlotte, choć ceniła sobie swoją niezależność, była tym niemalże rozczarowana.

Nigdy nie znała ojca. Wcześniej tęskniła za czyjąś silną, męską obecnością w jej życiu. Za starszym bratem czy stryjem… Nawet za kuzynem. Za kimś, kto mógłby mądrze, stanowczo i mając na uwadze jej interes, powiedzieć na przykład: „Idź do siebie na górę, Charlotte. Ja się wszystkim zajmę".

– Proszę iść do siebie i odpocząć, Charlotte – lord Granville wstał i przeszedł przez pokój. – Ja się wszystkim zajmę.

Nie, nie, nie.

To nie był ten człowiek.

No i dlaczego zwrócił się do niej po imieniu? Powinien wiedzieć, skoro jest przyzwoity, że podobna familiarność przystoi tylko krewnym.

Albo też narzeczonym.

Wpatrzyła się w dywan.

– Jeszcze nie jesteśmy zaręczeni, milordzie.

– Istotnie. Ale to wkrótce nastąpi.

Colin cmoknął ją w policzek.

– Zostawiam was samych.

– Nie rób tego! – syknęła, ciągnąc go za rękaw. – Colin, nie możesz!

Na próżno. Szwagier uwolnił się od jej kurczowego uchwytu i opuścił pokój.

Nie mając wyboru, spojrzała na markiza. Sądząc z jego podbitych oczu, nie spał dzisiejszej nocy więcej niż ona. Znalazł jednak czas, żeby się wykąpać, ogolić oraz włożyć granatowy surdut, dobrany kolorem do świetnie na nim leżących bryczesów i wyglansowanych butów.

Charlotte nie ufała ludziom, którzy dobrze się prezentują od samego rana.

Założyła za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Chyba nie zamierza mi się pan oświadczyć?

– I tak, i nie. Dałem słowo pani matce, sir Vernonowi, a teraz również pani szwagrowi, że to zrobię.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Sytuacja nie do zniesienia.

Nic nie powiedział.

– Przykro mi – ciągnęła – nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak bezwzględnie. Nie dlatego, by pan był ostatnim mężczyzną, za którego chciałabym wyjść. Nie jestem na tyle głupia, żeby tak sądzić. Zawsze śmieszy mnie, kiedy damy mówią coś w tym rodzaju. Ostatni, naprawdę? W końcu na świecie jest mnóstwo kryminalistów i głupców. A jeśli nawet ich pominiemy, zostają jeszcze miliony tych, którzy rzadko się kąpią.

– Daje mi pani do zrozumienia, że sytuuję się powyżej średniej?

– Skądże, na samym szczycie. Ale właśnie dlatego nie zasługuje pan na poślubienie pierwszej lepszej impertynenckiej dziewczyny, która mu się nawinęła.

Uśmiechnął się dyskretnie.

– Co każe pani myśleć, że jest pierwszą lepszą?

Och, teraz znów się jej wydał sympatyczny. Ale o tej porze dnia za wcześnie na subtelny humor. Nie była gotowa do obrony.

– Jest pan markizem i dyplomatą.

– Ale nie cierpię na amnezję. Pamiętam, kim jestem.

– A więc pamięta pan chyba, że trzeba mu eleganckiej i wytwornej żony. Wytrawnej gospodyni.

Spojrzał na nią jakoś dziwnie.

– Po małżeństwie spodziewam się tylko dziedzica, panno Highwood.

Przełknęła ślinę tak głośno, że było to chyba słychać.

– Nie muszę się żenić dla pieniędzy czy koneksji – ciągnął. – Pani jednak może skorzystać na małżeństwie ze mną. Ja zaś pragnąłbym żony młodej, zdrowej – a zwłaszcza rozumnej i łagodnej – która obdarzy mnie dziećmi i zapewni ciągłość rodu. Sytuacja, w jakiej się oboje znaleźliśmy, chociaż nieoczekiwana, może działać na naszą korzyść.

– A więc proponuje mi pan małżeństwo z rozsądku? Prostą transakcję? Pańskie bogactwo w zamian za moje łono?

– To niełądne określenie.

– A czy istnieje ładniejsze?

Może naprawdę nie chciał światowej, eleganckiej kobiety, bo poszukałby jej sobie gdzie indziej, tylko po prostu płodnej żony, nie wymagającej kłopotliwych zalotów.

Jeszcze jeden powód, żeby się z tego wycofała.

Podszedł z nią do pary krzeseł i dał ręką znak, by usiadła. Charlotte czuła, że cała sztywnieje.

– Może nie jest to małżeństwo z pani marzeń – powiedział – ale sądzę, że mogłoby się okazać zadowalające. Jako lady Granville miałaby pani piękny dom. A prawdę mówiąc nawet kilka.

– Owszem – odparła słabym głosem. – Zdaje mi się, że jest ich pięć.

– A także sporo pieniędzy, niezły spadek i wstęp do najwyższych kręgów społecznych. Gdyby zaś przyszły na świat dzieci, nie musiałaby się pani nimi osobiście zajmować. W sumie miałaby pani wszystko, czego mogłaby pragnąć.

– Z jednym tylko, ale istotnym wyjątkiem.

– Proszę go wymienić, a ja już sprawię, by przestał się liczyć.

– Czyżby to nie było oczywiste? Chciałabym się zakochać.

Zamilkł i namyślił się.

– Chyba można by się nad tym zastanowić. Ale dopiero po urodzeniu mi dziecka i po przyrzeczeniu dyskrecji.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie zrozumiał mnie pan, milordzie. Chciałabym pokochać mężczyznę, którego poślubię. W dodatku z wzajemnością. Czyż nie pragnąłby pan tego

samego?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Nie należy pan chyba do ludzi, którzy nie wierzą w miłość?

– Och, wiem, że ona istnieje. Ale sam nigdy jej nie pragnąłem.

– Dlaczego?

Spojrzał gdzieś przed siebie, jakby zastanawiając się nad doborem słów.

– Miłość zwykła zmieniać priorytety mężczyzn.

– No, mam nadzieję – Charlotte zaśmiała się niepewnie. – Jeśli jest prawdziwa.

– Właśnie dlatego to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić. Mam pewne obowiązki. Mnóstwo ludzi zależy od mojego trzeźwego sądu. Poeci słusznie mówią, że jest nieobliczalna. Nie można jej kontrolować ani nią kierować.

W pewien sposób mówił chyba prawdę. Ale jeśli nawet miała rozczarować ciężko Delię, stawić czoło plotkom i zrezygnować ze wszystkiego, czego – jak sądziła – pragnie, to nie mogła sobie wyobrazić swojej zgody na małżeństwo bez miłości.

„Miłością się nie najesz”. Całkiem, jakby słyszała mamę. Cóż jej jednak przyjdzie z pieniędzy? Nie zaznałaby czułości ani namiętności w dostatnim, lecz pustym domu. A nawet w pięciu domach.

Zbyt dobrze znała siebie. Małżeństwo z rozsądku długo by takim nie pozostało. Próbowałaby wzbudzić w mężu miłość, a gdyby się jej nie powiodło, czułaby coraz większe rozgoryczenie. Skończyłoby się na wzajemnej pogardzie.

Dlatego właśnie – nieważne, co matka planowała i knuła – Charlotte przyrzekła sobie, że pójdzie za głosem serca.

– Nie mogę się z tym zgodzić, milordzie. Pańska obowiązkowość jest godna podziwu, ale leżenie na wznak i myślenie o Anglii to nie dla mnie.

Zniżył głos.

– Nie mogę przyrzec wszystkiego, o czym pani marzy, ale jedno na pewno: w moim łóżku nie będzie pani myśleć o Anglii.

– Och.

Kiedy poprzedniej nocy mówił o łóżkowych igraszkach, oniemiała. Teraz zabrakło jej tchu.

Nie była najpiękniejszą z sióstr Highwood. Ten zaszczyt przypadał Dianie. Wiedziała jednak, że jest całkiem ładna jak na angielskie standardy. Znała admirację męską, a nawet całowała się już raz czy dwa. Tylko że ci jej adoratorzy, jak sobie nagle zdała sprawę, byli chłopcami.

A lord Granville mężczyzną.

Pod świetnie skrojonym surdutem kryła się imponująca muskulatura. Ciało miał twarde wszędzie tam, gdzie jej własne było miękkie. No i pewnie pokryte ciemnymi włosami w różnych intrygujących miejscach…

– Charlotte?

Oprzytomniała.

– O co chodzi?

Dobry Boże! Wyobrażała go sobie bez ubrania!

W pokoju zrobiło się nieznośnie gorąco.

– To po prostu nieuczciwe – rzekła, żałując, że jej słowa zabrzmiały tak dziecinnie – przecież my nie popełniliśmy żadnego grzechu! Czemu nie powiedział pan sir Vernonowi całej prawdy? Że wszedł pan do jego biblioteki, żeby… – urwała, zaintrygowana. – A co pan tam właściwie robił?

– Nieważne.

– Myślę, że ważne! To, że jakaś inna para skandalicznie sobie w niej poczynała, ma znaczenie! Nie powinniśmy ponosić za to odpowiedzialności.

Spojrzał jej w oczy.

– Jeśli się nie pobierzemy, tylko jedno z nas poniesie odpowiedzialność. I nie będzie chodziło o mnie.

– Wiem.

Świat wybaczał mężczyznom łóżkowe ekscesy, ale bezwzględnie traktował kobiety, gdy ośmielały się robić to samo. On mógł wyjść z tej sytuacji bez szwanku. Ona by sobie zrujnowała reputację. Zostałaby bez przyjaciół, bez miłości. Nic by również nie wyszło z Grand Tour.

Co za pech.

Lord Granville musiał być bardzo porządnym człowiekiem, skoro chciał to dla niej zrobić. Idealnym dżentelmenem.

Wyciągnął ku niej ręce i ujął ją za obie dłonie.

– Właśnie dlatego się pani oświadczam.

Tylko bez oświadczyn! Nie teraz, kiedy mój opór słabnie.

– Zawrzyjmy porozumienie – powiedział.

Spojrzała mu w oczy.

– Co za porozumienie? Co pan przez to rozumie? Całkiem się pogubiłam.

– Zapewnimy pani matkę i sir Vernona, że zawarliśmy pewne prywatne porozumienie, którego ustaleń będziemy dotrzymywać, póki tutaj pozostanę. Ogłoszenie zaręczyn po jednym dniu znajomości wzbudziłoby jeszcze więcej

plotek. Ale po dwóch tygodniach… nikt już tego narzeczeństwa nie będzie kwestionował.

Zaśmiała się głośno.

– Ależ wszyscy tak zrobią! Czy zapomniał pan o mojej reputacji? Nigdy nie uwierzą, że oświadczył mi się pan z własnej woli. Uznają, że miał pan szczęście, bo zdołał z tego wyjść cało.

Mimo swoich wątpliwości Charlotte wiedziała, że byłoby to najlepszym rezultatem ich rozmowy. „Porozumienie", jakie jej podsunął, dawało jej przynajmniej nieco czasu. Zyskałaby całe dwa tygodnie na znalezienie wyjścia z sytuacji.

A musiała jakieś znaleźć. Dla dobra ich obojga.

Znów usłyszała w duchu słowa Colina: „Ależ wierzę ci, kochanie. Tylko że póki ci zagadkowi kochankowie nie ujawnią się, nikt inny ci nie uwierzy".

Ale choć tajemnicza para najpewniej się nie ujawni, nie znaczy to, że nie będzie jej można znaleźć. Chodzi o prowincję, a nie o Londyn. Nie ma zbyt wielu rozwiązań. Jeśli wyśledzi, kim byli, zmusi ich, żeby się przyznali…

A potem ona i lord Granville uwolnią się od podejrzeń.

Dwa tygodnie z pewnością jej wystarczą. Na pewno.

– W porządku. Zawrzyjmy porozumienie. – Wstała i uścisnęła mu ręce, ale on, choć chciała już odejść, nie puścił jej dłoni.

Spojrzała na nią. A potem na niego.

– Milordzie?

– Czekają na nas pani matka, szwagier i sir Vernon. Nie pozwolę pani wyjść z pokoju w ten sposób.

Z zakłopotaniem dotknęła drugą dłonią włosów.

– To znaczy jak?

Wziął ją w ramiona.

– Bez pocałunku.

3

Charlotte spojrzała na niego oniemiała. Chyba się przesłyszała? Czy naprawdę powiedział przed chwilą „bez pocałunku”? Ale o jakież inne słowa mogło tu chodzić? Żadne nie miały sensu.

– A ma pan zamiar mnie pocałować?

– Chyba dopiero co tak powiedziałem.

– Tu i teraz?

Skinął głową.

– Właśnie to miałem na myśli.

– Ale… dlaczego?

Wydawał się zaskoczony jej pytaniem.

– Ze zwykłych powodów.

– Pewnie chciał pan, żebym się dała przekonać? Sądził pan, że zemdleję? Raz mnie pan dotknie ustami i już pozbędę się wątpliwości? O to panu chodziło?

Spojrzał gdzieś przed siebie, a potem znów w jej oczy.

– Zamierzam panią pocałować, Charlotte, bo mam nadzieję, że mi to sprawi wielką satysfakcję. A pani, jak się spodziewam, również.

Mówił półgłosem, co ją zdziwiło.

– Wydaje się pan bardzo pewny siebie, milordzie.

– A pani, panno Highwood, wydaje się grać na zwłokę.

– Grać na zwłokę? Ależ skąd. Ja wcale nie…

Uniósł ironicznie jedną z brwi.

– W porządku. – Nie miała już wymówki. Zrezygnowana, uniosła ku niemu usta. – Niech pan robi, co chce.

Spodziewała się zimnego, obojętnego całusa i tylko dlatego wyraziła zgodę. Potwierdzałoby to, że nic między nimi nie zaszło, co przecież było prawdą. A jeśli nie potrafią się nawet gorąco pocałować, jakże by wyglądało ich małżeństwo?

Może on się z miejsca rozmyśli?

Ale stało się całkiem inaczej. Jeszcze zanim ich usta się zetknęły.

Już sam jego mocny uścisk sprawił, że dreszcz przeszył jej ciało i przyprawił o zawrót głowy.

Spojrzała na niego, nie chcąc wyglądać na przestraszoną. A jednak tętno jej gwałtownie przyspieszyło. Poczuła się jeszcze bardziej bezbronna.

Wpatrzyła się w jego wargi. Kolejny błąd! Podbródek mówił o stanowczości, a usta były szerokie, choć zaciśnięte.

Całkiem zaciśnięte.

Choć powtarzała sobie, że chodzi tu tylko o wyzbyty emocji, chłodny całus, poczuła gwałtowny lęk, który tylko wszystko pogorszył.

Zwilżyła wargi językiem.

Charlotte. Jakaś ty głupia.

Może tego nie zauważył?

Och, na pewno zauważył.

Wszystko by zauważył. Jej skwapliwą zgodę. Jej zaciekawienie. Dreszczyk oczekiwania, jaki przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Całkiem jakby stanęła przed nim zupełnie naga.

– Proszę zamknąć oczy – powiedział.

– Niech pan najpierw zamknie swoje.

Dostrzegła, że się lekko uśmiechnął.

A potem poczuła jego wargi na swoich.

Pocałunek. Zupełnie do niego niepodobny. Lub raczej do niczego, co wiedziała o nim do tej pory. Wszystko świadczyło, że był powściągliwy i przyzwoity. Ale kiedy dotknęły jej jego wargi, okazały się gorące. Namiętne. Prowokujące.

A jego dłonie znalazły się wszędzie tam, gdzie idealny dżentelmen wcale nie powinien był jej dotykać.

Ześlizgnęły się powoli wzdłuż jej pleców – i nie była to wcale próba, tylko objęcie w posiadanie. Jakby postanowił poznać każdy cal tego, co mogło stać się jego własnością. Dotyk ich poczuła w całym ciele.

A potem jedna z nich ścisnęła ją mocno poniżej pleców, dając jej poznać swoją siłę i ciepło.

Zabrakło jej tchu. Zaszokowała ją ta śmiałość.

Jego język wniknął między jej wargi. Delikatnie, ale stanowczo. Zagłębiał się w nie po trochu. Zachęcał, żeby mu pocałunek oddała.

I tak właśnie zrobiła.

O Boże, zrobiła! Objęła go za szyję i oddała mu go. Całkiem jakby próbowała wyrobić sobie o tym pojęcie.

Najwyraźniej mu się to spodobało. Wydał głuchy pomruk z głębi piersi. Oszołomiła ją świadomość, że mogła wywołać podobną reakcję u mężczyzny. Objęła go mocno.

Coś się w niej przebudziło. Świadomość czegoś, co dopiero nadejdzie i do czego nie czuła się jeszcze całkiem gotowa.

Później, w chwili samotności, chciała powtórnie przeżyć każdą sekundę tego doznania. Czemu ugięły się wtedy pod nią kolana? W jaki sposób on sprawił, że go zapragnęła? A najgorsze, że…

Właściwie zaczęła go pragnąć.

Nie zaskoczyło go to.

Uznał, że jest atrakcyjna i pociągająca, kiedy ją tylko zobaczył. Gdy poczuł, jak jej delikatne, kobiece ciało przywiera mocno do niego w okiennej niszy biblioteki. A jednak nie odczuł wówczas podniecenia.

Dziś było inaczej.

Dziś nie musiał się wcale hamować. Gdy tylko z tego zrezygnował, zalało go wręcz pożądanie.

Nie zaskoczyło go, że mu się podobała, lecz siła tego pożądania wstrząsnęła nim do głębi.

Nie myliła się, był to pocałunek, który miał ją do niego przekonać. Winien był przekonać Charlotte Highwood, by się zgodziła oddać mu rękę – on zaś zachowałby pozór przyzwoitości i zapobiegł odkryciu właściwego powodu jego obecności w tym domu.

Pocałunek okazał się więc czymś w rodzaju obowiązku.

Tylko że obowiązek nigdy mu jeszcze nie sprawił takiej przyjemności.

Sprany muślin jej sukni był cieniutki, miękki, kuszący. Czuła, że idealnie do czegoś dojrzewa w jego ramionach.

No i bardzo jej z tym było dobrze.

Piers nie słodził herbaty i nie lubił czekolady, a jednak miał wrażenie, że pije coś bardzo słodkiego. Ulepek? Miód? Może chodziło tylko o jej naturalną słodycz? Obojętne zresztą o co. Nie mógł się jednak tym nasycić i pragnął tego zachłannie.

– Charlotte – mruknął. Odczekał chwilę i spojrzał na jej zwróconą ku górze twarz, nim pocałował ją w policzek. A potem w miękką szyję o jasnej skórze.

I choć nic tego nie wymagało – a nawet nie było wskazane – przygarnął ją do siebie jak najmocniej, a potem pocałował jeszcze raz.

Od bardzo dawna nie zrobił czegoś w tym rodzaju tylko dlatego, że tego pragnął. Chyba sobie jednak zasłużył na trzymanie w ramionach uroczej, powabnej kobiety.

Nie było to wobec niej uczciwe, ale życie nie jest uczciwe. Każdy się w końcu tego uczy, a ona bardziej niż większość innych kobiet nadawałaby się na markizę – zamożną, wysoko postawioną. Pozostawiona samej sobie mogłaby zapewne trafić dużo gorzej.

Odrzucił poczucie winy.

I jeszcze głębiej się w niej zatopił.

Nie był to jej pierwszy pocałunek, tyle tylko mógł stwierdzić, choć wątpił, czy którykolwiek z całujących ją przedtem młodzieniaszków miał świadomość, co właściwie robią. Poczuł nonsensowną złość na nich i tym bardziej zapragnął, żeby jego pocałunek uczynić doznaniem wyjątkowym. Na tyle powolnym, błogim i głębokim, by wymazać z jej pamięci wszystkie poprzednie.

Od dzisiaj będzie pamiętać tylko o nim, kiedy przyjdzie się jej całować.

Wyczuł moment, kiedy oprzytomniała i zesztywniała w jego ramionach.

Nie, nie.

Objął ją mocno. Nie mogła się uwolnić od jego uścisku. Jeszcze nie w tej chwili.

Całował ją teraz lekko, delikatnie, ledwie dotykając jej warg, raz za razem. Jeszcze jeden raz… i jeszcze jeden.

Kiedy ją puścił, miała wargi nabrzmiałe i poróżowiałe. Ten widok dał mu dogłębne, wręcz przewrotne zadowolenie.

Zamrugała, jakby coś przesłoniło jej wzrok.

– Ja… ja nie mam pewności, czy to był mądry pomysł.

– Pomówię z pani rodziną i z sir Vernonem. Niech pani się nie martwi. Wyrażą zgodę.

– Milordzie…

– Na imię mi Piers. Proszę się odtąd tak do mnie zwracać.

– A więc… Piers… – spojrzała mu w twarz. – Jakim właściwie rodzajem dyplomaty pan jest?

Gdybyś o tym wiedziała, moja miła, odwróciłabyś się z miejsca i jak najszybciej uciekła.

– Dosyć szczególnego rodzaju – powiedział całkiem szczerze. – Zajmuję się

negocjowaniem warunków kapitulacji.

– Porozumienie? – spytała matka, idąc za nią do sypialni. – Masz go w garści, a zawierasz z nim jakieś porozumienie?

Charlotte padła bezwładnie na łóżko.

– Sama się zgodziłam, że je zawrzemy, mamo.

– Jeszcze gorzej! Czyż nie nauczyłam cię niczego? Masz szansę, żeby wygrać.

Charlotte nakryła głowę poduszką. Nie chciała się kłócić z matką właśnie teraz. Pragnęła w samotności rozpamiętywać każdy moment pocałunku i uporządkować chaotyczne doznania. A potem podzielić swoje reakcje na dwie części: emocjonalne i fizyczne.

Emocjonalnych byłoby bez wątpienia dużo mniej. Dziki zamęt, jaki w niej wzbudził Piers, był jedynie kwestią ciała i pożądania. Serce nie miało z tym nic wspólnego.

Tak przynajmniej uważała. Czułaby się jednak dużo lepiej, gdyby potrafiła to potwierdzić.

Mogła słyszeć kroki matki krążącej po pokoju.

– Niemądra dziewczyno. Czy sobie zdajesz sprawę, że chodzi o całe dwa tygodnie?

– Tak, mamo. Wiem, że to potrwa dwa tygodnie.

– A jeśli się rozmyśli? – jęknęła matka. – Dałaś mu sposobność, żeby się wycofał. Może się w nocy spakować i uciec stąd.

Charlotte odrzuciła poduszkę.

– Miej do mnie zaufanie, mamo, niesłychanie mnie to inspiruje.

– Nie czas teraz na zuchwałe żarciki. On już się raz zaręczył, wiesz przecież. A potem przez osiem lat odkładał małżeństwo, aż w końcu dziewczyna poślubiła jego brata.

Owszem, Charlotte słyszała te plotki.

– To małżeństwo zaaranżowała rodzina. Oboje byli jeszcze młodzi i zmienili zdanie.

– Lepiej się módl, żeby on znów nie zmienił zdania. Jeśli odwoła wasze „porozumienie”, zostaniesz na lodzie. Chodzi o całe twoje życie!

– Och, wiem. – Charlotte usiadła na łóżku. – I tylko z twojej winy grozi mi to niebezpieczeństwo.

– Z mojej winy?

– Parłaś do skandalu i wymusiłaś na lordzie Granville’u oświadczenie, że się ożeni. Dzięki twemu gadaniu o porywie namiętności.

– Może i parłam do skandalu, ale ty go zaczęłaś. To ty ściskałaś się z nim za zasłoną. – Matka padła na fotel i rozłożyła wachlarz. – Po raz pierwszy jedna z moich córek dała mi powód do dumy. Miałam nadzieję, że usidlisz podczas tego party jakiegoś księcia. Sądziłam, że nie bez powodu nazywają to miejsce kolebką książąt, ale bardzo się pomyliłam.

– Rzeczywiście tak je nazywają, co nie znaczy, że książęta rosną tu w ziemi jak drzewka pomarańczowe.

– W każdym razie markiz jest prawie tak samo dobry! – mruknęła matka. – Mądrze postąpiłaś, zwabiając go w pułapkę.

– Wcale tak nie było!

– A teraz, kiedy już go złowiłaś, lepiej zrobisz, trzymając się go. Musisz się jak najlepiej sprawić przez dwa tygodnie. Zachowuj się jak należy, pilnuj swojego wyglądu i daj sobie spokój z głupimi żartami. Mniej mów, więcej się uśmiechaj.

Charlotte przewróciła oczami. Choćby się nie wiem jak uśmiechała, nie zrobi to z niej idealnej żony Piersa.

– Korzystaj z każdej okazji, żeby się z nim znaleźć w cztery oczy. Siadaj koło niego przy obiedzie i w salonie. Poproś, żeby przewracał ci strony nut przy fortepianie, ale na nim nie graj, bo go to odstraszy. – Trzepnęła Charlotte wachlarzem po biodrze. – Zawsze ci mówiłam, żebyś pilniej ćwiczyła!

– Przestań, mamo. Jeśli porozumienie przeobrazi się w narzeczeństwo (już ja się postaram, żeby do tego nie doszło, pomyślała sobie), nie będzie to miało nic wspólnego z moimi marzeniami ani z charakterem lorda Granville’a. Nie moje wdzięki do tego doprowadzą, tylko jego poczucie przyzwoitości.

Matka parsknęła donośnie.

– To człowiek honoru – powiedziała Charlotte.

Wolała nie dodawać, że to również ktoś, kto się całuje wcale nie jak skruszony rozpustnik.

Matka zdawała się zastanawiać nad jej słowami. Potem wstała, zamierzając wyjść z pokoju.

– Żeby się o tym upewnić, powiększę dekolt we wszystkich twoich sukniach. Zaraz o tym pomówię z główną pokojówką.

– Nie! – Charlotte zerwała się z łóżka i zastąpiła matce drogę. – Mamo, nie możesz nikomu o tym mówić!

– Ależ…

– Nie wolno ci pisnąć słowa. Ani służbie, ani lady Parkhurst. Ani sąsiadom, ani twoim korespondentkom. Nawet ścianom.

– Zwykle nie mówię do ścian – zaprotestowała pani Highwood.

Charlotte znała swoją matkę na wylot. Jeśli jej nie powstrzyma, zacznie o tym napomykać już przy drugim śniadaniu. A kiedy wszyscy zasiądą przy poobiednim sherry, zacznie się szczycić bliskim już małżeństwem i pisać listy do wszystkich przyjaciółek.

A wtedy nie będzie odwrotu.

– Lord Granville prosił, żeby wszystko zachować w sekrecie – ciągnęła. – Jest człowiekiem znanym i ceni sobie dyskrecję. Byłby bardzo zły, gdyby stał się tematem plotek. – Przyszło jej na myśl jeszcze coś. – W gruncie rzeczy… nie byłabym wcale zaskoczona, gdyby uznał to za rodzaj próby.

– Próby?

– Tak, próby. Żeby się przekonać, czy można nam zaufać. Jeśli szepniesz choć słówko, zaraz się dowie. A wtedy najpewniej się wycofa.

Matka westchnęła, wyłamując sobie palce.

– Och, Charlotte, nie myśl nawet o tym!

Córka położyła jej dłonie na ramionach.

– Wiem, że zdołasz wytrwać, mamo. Przez całe lata zachęcałaś córki do korzystnego małżeństwa… i weszło ci to w krew. Musisz pohamować chęć, żeby się chwalić. Ugryź się w język, jeśli trzeba. Wszystko zależy teraz od twojego milczenia.

– Owszem, ale to tylko…

Charlotte spiorunowała ją wzrokiem.

– Cicho!

Matka jęknęła, ale nic już nie powiedziała.

– W porządku – Charlotte, zadowolona, poklepała ją po ramieniu. – A teraz idź do sypialni i odpocznij. Muszę napisać kilka listów.

Wyprowadziła matkę z pokoju, zamknęła za nią drzwi i oparła się o nie całym ciałem.

O Boże. Kto by pomyślał, że chodzi o całe dwa tygodnie? Musiała jak najprędzej poznać tożsamość zagadkowych kochanków.

Podeszła do biureczka i zanurzyła pióro w atramencie. Nie kłamała: rzeczywiście musiała coś napisać.

Ściślej mówiąc – literę C.

Energicznie nakreśliła ją na papierze i usiadła, żeby się nad nią zastanowić. Miała rozwikłać tajemniczą zagadkę, a to była pierwsza poszlaka. Być może jedyna.

4

*P*iers pochylił się do przodu, przymknął oko i przymierzył się do strzału.

Bilard – podobnie jak wiele sportów – to ćwiczenie z geometrii i fizyki. Jeśli sprzęt był taki jak należy, a powierzchnia stołu gładka, jedynym zmiennym elementem, który mógł zawieść, okazywała się zręczność gracza.

Cały sukces zależał od koncentracji. Od skupienia uwagi na celu. Należało opanować się, unikać wszelkiego podniecenia, pozbyć się ludzkich słabości – żeby pozostało wyłącznie czyjeś ciało, cel i zamiar.

Szybkim pchnięciem posłał białą kulę ku czerwonej i obydwie potoczyły się po zielonym suknie wzdłuż idealnej, możliwej do przewidzenia trajektorii.

Przez większą część życia musiał dawać sobie radę z ludźmi przeważnie w taki właśnie sposób. Nie gardził nimi ani nie przeceniał własnej ważności, tylko po prostu emocje zbyt łatwo mogły sprawić, że nie trafi do celu. Najważniejszy był psychiczny dystans. Należało niczego nie robić na siłę.

Aż dotąd.

Aż do Charlotte.

Wytrąciła jego umysł i ciało z równowagi. Nie mógł przestać o niej myśleć. Bez przerwy pragnął jej słodyczy. Idealnego przylegania do jego własnego ciała. Sposobu, w jaki wbrew jego oporowi wślizgnęła mu się pod skórę.

Owszem, była młoda. Ale nauczył się szybkiej oceny ludzi, a Charlotte Highwood była czymś więcej niż tym, na co wyglądała. Miała w sobie jakąś prawość pozwalającą na zaufanie. Dobrze wiedziała, kim jest i kim są inni.

Do licha, to niebezpieczne. Ale może trzeba mu niebezpieczeństwa? Ta dziewczyna sprawiła, że krew w nim tętniła żywiej, a umysł się wyostrzył, całkiem jak podczas jego najbardziej ryzykownych poczynań na wojnie.

Ten pocałunek sprawił, że odżył.

– Au!

Coś długiego i ostrego dźgnęło go w pośladek.

A potem w bok.

Pomiędzy nim a drzwiami stał Edmund Parkhurst z kijem bilardowym w ręce. Zmarszczył gniewnie brwi i szturchnął go nim pod najniższym żebrem, niby mały kanibal mierzący w jeńca szpicem dzidy.

– Ja wiem! – syknął tonem groźnym jak na ośmioletniego chłopca. – Wiem, coś ty robił w bibliotece!

Do diabła ciężkiego. Znów zaczynał?

– Edmundzie, coś ci się zdawało. Jestem przyjacielem twojego taty. Nie robiłem nic złego. Przecież już to ustaliliśmy.

– Morderstwo! – Edmund szturchnął go kijem. – Chciałeś popełnić morderstwo! – Szturchnął go ponownie.

Piers rzucił z trzaskiem swój kij na stół. Gdzie byli rodzice smarkacza? Czy nie miał żadnej niańki ani guwernera? Ulubionych zabawek, hobby, zwierzątek?

– Nie jestem mordercą! – oznajmił stanowczo.

No i nie był mordercą. Formalnie rzecz biorąc, nie był nim, przynajmniej póki nie osądzano go według tych samych etycznych łamańców myślowych, dzięki którym rozgrzesza się żołnierzy i katów z ich krwawych obowiązków. Żaden angielski sąd nie oskarżyłby go o zbrodnię. Sądu bożego nie był już tak pewny, ale… tam wchodziła w grę wieczność.

– Wiem, co robiłeś. Zapłacisz za to! – Chłopiec uniósł kij bilardowy i zamachnął się nim jak pałaszem.

Piers uniknął ciosu, cofając się za stół.

– Edmundzie, dość tego!

Mógł łatwo wyrwać mu kij, ale szybko zrozumiał, co by się stało, gdyby uszkodził Edmundowi choćby mały palec. Smarkacz puściłby się biegiem przez korytarz, wrzeszcząc nie tylko „morderstwo!”, ale „napad!” i „okrutnik!” Pewnie by jeszcze dodał: „nie zapłacił podatku!”.

Edmund skradał się za nim wokół stołu bilardowego i nadal wymachiwał kijem. A gdy Piers się przed nim uchylił, cios trafił w wypchanego bażanta, wiszące na ścianie trofeum myśliwskie, i strącił go z haka. Piers gotów był przysiąc, że ptak zaskrzeczał. W powietrze wzbił się cały kłąb pierza, spadając im na ramiona jak płatki śniegu.

Na twarzy Edmunda odmalowały się kolejno: strach z powodu zniszczenia ojcowskiego trofeum, przeczucie kary, a wreszcie…

Furia w stanie czystym.

Dźgnął go znowu, prosto w pachwinę, i wlazł pod stół, podczas gdy Piers walczył o oddech.

– Ty podły mały… – Piers zgiął się cały z bólu i rąbnął pięścią w zielone sukno.

O, właśnie.

Dzisiaj Edmund Parkhurst dostanie solidną nauczkę.

– Czy mogę to już odłożyć? – spytała Charlotte nieco wymuszonym tonem. – Cała zdrętwiałam.

Delia nie uniosła nawet głowy znad deski rysunkowej.

– Jeszcze trochę. Muszę wykończyć fałdy twojej togi.

Charlotte starała się zignorować ból ramion.

– Nawiasem mówiąc, która z greckich bogiń trzyma jako emblemat srebrną tacę do herbaty?

– Żadna. Taca ma zastąpić lirę.

Charlotte tylko dla nielicznych osób gotowa była stać długo bez ruchu w saloniku porannym, owinięta prześcieradłem i z coraz bardziej jej ciążącą tacą do herbaty. Ale Delia Parkhurst była jedną z nich.

Odkąd „Prattler" zrobił z niej towarzyskiego wyrzutka, Charlotte dała sobie spokój z karnetami balowymi. Dąsy nie leżały jednak w jej charakterze. Skoro mężczyźni nią wzgardzili, poszukała sobie innych znajomości.

I znalazła Delię.

Delia była serdeczna, miała żywy umysł i również nie chciała podpierać ściany podczas balów, skoro urodziła się ze skrzywionym biodrem.

Szeptały ze sobą po kątach, wymyślając różne gry, jak na przykład „Rozpustny Książę", a ze zbędnych karnetów balowych robiły papierowe łódeczki i urządzały regaty w wazie do ponczu.

Bawiły się tak, póki nie zaczęły zastanawiać się nad czymś lepszym.

A mianowicie nad planami ucieczki.

– W przyszłym roku będziemy już o wiele mil stąd – powiedziała Delia. – Bez krewnych i z dala od wszystkich czytelników londyńskich bulwarówek. Ja zajmę się rysowaniem renesansowych rzeźb, ty – zwiedzaniem świątyń i oglądaniem nagrobków, a wieczory będziemy spędzać w otoczeniu *contes* i *cavalieri*, czyli hrabiów i zalotników. No i żadnych tac do herbaty.

Charlotte ogarnęło poczucie winy. Po tym, co zaszło w bibliotece, plany ich podróży po kontynencie legły w gruzach, choć Delia wcale o tym nie wiedziała.

A Charlotte wolałaby raczej nie żyć niż rozczarować przyjaciółkę.

Delia odłożyła ołówek.

– No, już. Skończyłam na dzisiaj.

Charlotte opuściła tacę i wyplątała się z prześcieradła, prostując zdrętwiałe kończyny.

– Czy możemy dziś porozmawiać o naszej podróży? – spytała Delia.

– Och, nie. Nie teraz.

Nie, skoro twój ojciec sądzi, że w jego bibliotece podkasałam suknię dla markiza.

– A dlaczego?

Charlotte odparła wymijająco:

– Nie miałam nawet dość czasu, żeby zaprezentować się twoim rodzicom z jak najlepszej strony. A już na pewno nie twojej siostrze. Frances patrzy na mnie tak, jakbym chciała zrujnować twoją reputację, pchając cię w ramiona pierwszego lepszego hulaki.

– Frances jest nadopiekuńcza i zanadto się przejmuje plotkami. Ale przynajmniej nie mam żadnych starszych braci. Jest tylko Edmund, ale jemu łatwo coś wyperswadować.

Nie byłabym tego taka całkiem pewna, pomyślała Charlotte.

– Co ci stoi na przeszkodzie? Lord Granville?

Pytanie zaskoczyło Charlotte.

– Skąd o tym wiesz?

Delia wzruszyła ramionami.

– Wyszłaś z sali balowej, gdy tylko się tam pojawił, a ja wiem, o czym myśli twoja matka. Nie martwiłabym się jednak, że chce zwrócić jego uwagę. Mógłby równie dobrze być na księżycu, tak daleko się znajduje poza jej zasięgiem.

Charlotte myślała podobnie. Póki nie tylko znalazła się w jego zasięgu, ale padła mu w ramiona. Poczuła, że dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa na samo wspomnienie.

Usiadła i wzięła Delię za rękę.

– Muszę ci coś powiedzieć i martwię się, bo nie wiem, jak to przyjmiesz.

– Charlotte, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Zawsze możesz mi zaufać.

Zaczęło ją dławić w gardle. Czy nadal będzie najlepszą przyjaciółką, gdy wyzna Delii prawdę?

Jakiś trzask w korytarzu odwrócił ich uwagę.

A potem drugi, głośniejszy, sprawił, że zerwały się na równe nogi.

Pobiegły obydwie ku porannemu salonikowi, a bez przerwy towarzyszył im trzask pękającej porcelany. Edmund, cały czerwony, stał nad szczątkami rozbitej

wazy.

W towarzystwie Piersa.

A każdy trzymał w ręce kij bilardowy.

Lady Parkhurst zbiegła pospiesznie ze schodów, w przekrzywionym czepku i bez tchu, jakby nagle ocknęła się z drzemki.

– Co u licha… – zaczęła, ogarniając całą scenę jednym rzutem oka. – Edmundzie! Powinnam była wiedzieć, co ty…

– Proszę o wybaczenie, lady Parkhurst – odezwał się Piers, składając jej ukłon. – To moja wina. Chciałem dać Edmundowi kilka lekcji fechtunku.

– Fechtunku? Kijami bilardowymi?

– Tak. Obawiam się jednak, że przesadziliśmy w zapale. Edmund był szybszy i w rezultacie rozbiłem wazę. – Jego wzrok powędrował ku innemu stosowi skorup w kącie. – A także amorka.

– No i bażanta w pokoju bilardowym! – krzyknął piskliwie Edmund. – To także on zrobił!

Piers odchrząknął.

– Owszem, cała wina jest po mojej stronie. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani niezręczność.

Charlotte zagryzła wargi, żeby się nie roześmiać. Niezręczność? Wiedziała już, po ich spotkaniu w bibliotece, że Piers ma błyskawiczny refleks i siłę. Po prostu wziął na siebie winę chłopca. Całkiem jak w jej przypadku.

– Oczywiście odkupię wszystkie obiekty – powiedział do lady Parkhurst.

– Och, proszę tego nie robić! – jęknęła Delia. – Były straszliwie brzydkie.

– Delio! – upomniała ją matka.

– Ależ tak, ohydne!

Lady Parkhurst spojrzała na córkę ostrzegawczo.

– Przyślę tu pokojówkę, żeby posprzątała. Bądź tak dobra i zabierz braciszka na górę.

Delia posłusznie ujęła Edmunda za rękę i popchnęła go ku schodom. Chłopiec uparcie zapierał się jednak nogami. Nim doszedł do szczytu schodów, obejrzał się przez ramię i syknął:

– To jeszcze nie wszystko. Będę miał cię na oku!

Charlotte spojrzała na Piersa.

– O co mu chodzi?

– Proszę nie pytać.

Charlotte uklękła w kącie i zaczęła zbierać szczątki rozbitego amorka.

Wprawdzie był tak samo mocno roztrzaskany jak waza, ale może dałoby się go skleić?

Piers nachylił się jak najniżej i podniósł część gipsowej statuetki, po czym umieścił ją ponownie na postumencie.

– Nie powinien mi pan pomagać – powiedziała półgłosem.

– Dlaczego?

– Bo jest pan markizem. Markiz nie robi takich rzeczy.

– A czemu? Jeśli coś rozbiłem w drobny mak, to sprzątam po sobie. Tak przecież powinno być.

Sięgnęła po resztkę nóżki amorka i również umieściła ją na podstawie.

– Sam pan w to nie wierzy. Rzecz jasna zawinił Edmund.

– Niezupełnie. – Piers podniósł z ziemi drugą nóżkę figurki. – Potyczka wymaga dwóch uczestników.

Charlotte podała mu kolejny fragment statuetki – białe kolana i pulchne uda amorka. Gdy je od niej odbierał, dotknął czubkami palców wnętrza jej dłoni. Było to tylko muśnięcie, ale elektryzujące.

Spuściła wzrok, wzięła do ręki okrągły tyłeczek amorka, chcąc dołożyć go do reszty składanego powoli z kawałków posążka. Palce jej drżały i odłamek gipsu ani rusz nie mógł trafić na właściwe miejsce.

– Chyba jeszcze czegoś brakuje – powiedziała. – Ten fragment tu nie pasuje.

– Może ja spróbuję? – Odebrał odłamaną cząstkę i przekręcił w drugą stronę. – Zdaje się, że teraz jest już dobrze.

O Boże! Odwróciła przedtem odłamek w niewłaściwą stronę, uparcie próbując dopasować go do całości. No i przez cały czas mały, pękaty kutasik amorka sterczał prosto ku górze niczym wskazówka zegara o północy!

Skuliła się z zażenowania.

– Zdaje mi się, że kolejny fragment leży o tam, za pani kolanem.

Sięgnęła po niego zbyt pospiesznie i zaraz upuściła, bo ukłuł ją w palec ostrym szpicem. W miejscu zadraśnięcia widniała kropelka krwi.

– Zraniła się pani.

– Drobnostka.

Ale on już ujął ją za dłoń, szybko przyjrzał się skaleczonemu palcowi, po czym uniósł go do ust i wyssał, sprawnie, bez żadnej dwuznaczności, Charlotte jednak i tak poczuła zawrót głowy.

A potem przycisnął mocno kciuk do zranionego miejsca, ciągle na nią patrząc. Serce zaczęło jej gwałtownie walić, jakby chciało, by palec nadal krwawił, jakby

ta chwila miała ciągnąć się bez końca.

– Doprawdy, milordzie…

– Jestem Piers – poprawił ją.

– Piers. – Spojrzała w głąb korytarza, jakby stamtąd miał nadejść ratunek. – Zaraz przyjdzie pokojówka. A my tu razem klęczymy, trzymając się za ręce, wśród resztek nagiej gipsowej figurki. Nikt nie powinien nas widzieć w takiej pozie.

– Przeciwnie, jest całkiem odpowiednia. Oznajmimy o naszych zaręczynach wcześniej niż za dwa tygodnie.

– Właśnie to próbuję powiedzieć. Nie powinniśmy tego robić.

Uniósł jedną z brwi.

– Czy zapomniała pani, co się zdarzyło w ostatnich dniach?

– Nie.

Nie mogłaby zapomnieć jego ironii. Ani uścisku mocnych ramion. A już na pewno nie gorącego, namiętnego pocałunku.

Wyszarpnęła mu rękę.

– Do zdarzenia w bibliotece doszło wyłącznie z mojej winy. Nie powinnam była nigdy tam wchodzić w ślad za panem.

– A ja nie powinienem był pozwolić, żeby pani tam została. Potyczka wymaga dwóch przeciwników.

Charlotte wzruszyła się. Usiłował ją usprawiedliwić. Ceniła sobie jego słowa więcej niż mógł być tego świadomy. Ale tym bardziej pragnęła mu się odwzajemnić.

– Ja narobiłam całego kłopotu i ja zamierzam z nim skończyć.

Musiała zebrać całą swą odwagę, żeby się do niego uśmiechnąć.

– Mam pewien plan.

5

*M*iała pewien plan.

Piers zauważył, że te jej żarliwe oświadczenia układają się w schemat:

Nie obawiaj się.

Chcę cię uratować.

Mam pewien plan.

Postanowiła sobie, że go ochroni. Charlotte Highwood nie przyszło jakoś na myśl, że to raczej on mógłby ochraniać ją, a nie na odwrót.

Nie potrafił rozstrzygnąć, czy była naiwna, czy też miał do czynienia z przypadkiem łagodnego obłąkania.

Przestał zbierać szczątki amorka i pomógł jej się podnieść.

– A więc ma pani jakiś plan?

– Tak.

Rozejrzała się najpierw po holu, a potem powiedziała zniżonym głosem:

– Zamierzam wykryć kochanków. Tych, którzy naprawdę urządzili sobie schadzkę zeszłej nocy. A kiedy przedstawię dowody matce i sir Vernonowi, wcale nie będziemy musieli zawierać małżeństwa.

A więc to jest jej wielki plan? Było w nim tyle słabych punktów, że Piers nie wiedział, od którego zacząć.

Słysząc odgłos kroków pokojówki, wciągnął Charlotte do pustego saloniku muzycznego, gdzie mogli porozmawiać w cztery oczy.

– Wie pan, ja całkiem nieźle radzę sobie ze śledztwem. – Cofnęła się za półotwarte drzwi. – Kiedy moją siostrę Dianę oskarżono o kradzież rzeczy z domu do wynajęcia, niemal rozwikłałam tę zagadkę.

– Niemal?

– Tak. Musiałam zgadnąć, kto to zrobił. Tylko że wspólnik tej osoby mnie zaskoczył.

Relacja Charlotte o „niemalże” rozwikłanej tajemnicy domu do wynajęcia nie zaciekawiła go specjalnie. Zbytnio skupił się na obserwacji, jak bardzo wielkie

okna pokoiku muzycznego skąpały ją w słonecznym blasku. Złociste światło podkreśliło jej delikatny profil i przeświecało przez luźne pukle włosów.

Dobry Boże, o czym on myśli? O złocistym świetle i luźnych puklach włosów? Wnet zacznie pewnie układać wiersze.

Stwierdził w duchu, że chyba się zakochał. Niemożliwe. Po prostu zwykł zwracać uwagę na szczegóły – i to wszystko. Na przenikliwe obserwacje. Na tajemnice państwowe. Wszystko miało idealny, racjonalny sens.

– To proste – wyjaśniła. – Jakaś osoba – a raczej dwie osoby – wyznaczyły sobie namiętną schadzkę w bibliotece. Wiemy, że nie chodzi o nas. Musimy się tylko dowiedzieć, kim one były, i zmusić je, żeby się przyznały.

Spojrzał na nią sceptycznie.

– Osoby, które wyznaczyły sobie namiętną schadzkę w bibliotece, nie będą też sobie życzyły ujawnienia, kim są. A tym bardziej nie zechcą przyznać się do niej.

– A więc trzeba je jakoś zmusić. Albo zaskoczyć. – Machnęła lekceważąco ręką. – Mamy na to całe dwa tygodnie. Już ja sobie poradzę! Przede wszystkim musimy ustalić, o kogo chodzi.

– To niemożliwe.

– Właśnie że całkiem możliwe.

– Staliśmy za zasłoną. Nie widzieliśmy ich.

– Istotnie, ale przecież zauważyliśmy dużo. Na przykład słyszeliśmy ich. Jeśli nie ich głosy, to przynajmniej… pewne odgłosy.

Zbliżało się drugie śniadanie, więc nie warto było tego rozpamiętywać.

– Nie jestem pewien, co mogły pani powiedzieć pomruki i stękanie.

– W każdym razie zyskaliśmy dzięki nim pewność, że chodzi raczej o mężczyznę i kobietę, a nie o dwie kobiety albo dwóch mężczyzn.

Zatkało go. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Czy wyglądam na osobę, która o takich rzeczach nie wie? – spytała. – Przecież one istnieją. Wczorajszej nocy powiedziałam, że jestem niewinną, ale nie ignorantką.

Zachęcił ją gestem dłoni:

– Proszę dalej.

Ta dziewczyna kryła w sobie pełno niespodzianek. Z czym jeszcze wyskoczy?

– No i perfumy – ciągnęła. – Bardzo szczególne. Z pewnością się zorientuję, jakie, jeśli poczuję je po raz drugi.

– Nie wydaje mi się, zważywszy, że damy nie używają perfum w sklepie lub

na nabożeństwie.

– Istotnie. Ale mamy też najważniejszy dowód. Podwiązkę.

– Niewiele z niej pani przyjdzie.

– Widocznie się pan rzadko z nimi stykał.

– No, nie powiedziałbym. Ale przyznaję, że ich nie noszę.

Uśmiechnęła się.

– Przede wszystkim szkarłatna barwa. To nie tylko zmysłowy kolor, ale też niepraktyczny. Jest z jedwabiu, a zatem musiała sporo kosztować. Nie chodzi więc o służących. Przynajmniej nie o dwie osoby ze służby. Gdyby jakaś służąca umówiła się z dżentelmenem, mógłby to być prezent od niego. Podwiązka była też całkiem spora; wiem, bo ją rozciągałam. Mówi mi to coś o rozmiarach tej kobiety.

– Proszę dalej – mruknął Piers w zamyśleniu.

Przez chwilę ujrzał w wyobraźni Charlotte unoszącą suknię, żeby wciągnąć szkarłatną podwiązkę na gładkie, jasne udo.

– Nie wspomniałam jeszcze o najważniejszym. Na podwiązce wyhaftowano literę C. – Rozejrzała się ponownie, po czym wyjęła z kieszeni złożoną kartkę i rozwinęła ją. – Zrobiłam listę wszystkich osób, które tej nocy były w Parkhurst Manor. Rodziny, goście, służba.

– Jak ją pani sporządziła? Z pamięci?

– Niezupełnie. Służbę i rodzinę oczywiście znam dokładnie. A jeśli chodzi o gości, wślizgnęłam się rankiem do salonu lady Parkhurst i skopiowałam listę zaproszonych osób. A potem wybrałam kobiety z inicjałem C w nazwisku lub tytule. Oczywiście z wyjątkiem mnie samej.

Spojrzał na nią spod oka.

– Niech pan nie przygląda mi się z dezaprobatą. Wiem, że postąpiłam niełądnie, ale musiałam to zrobić. Chodzi o całą naszą przyszłość.

Spojrzenie Piersa wcale nie oznaczało dezaprobaty, tylko uznanie. Wiedział, że Charlotte jest bystra, ale nie spodziewał się, że tak zręcznie daje sobie radę z dedukcją.

A ona mówiła dalej:

– Kiedy zawęzimy krąg podejrzanych, ustalenie nazwiska kobiety powinno być łatwe. A skoro je poznamy, pozostanie nam tylko poznać tożsamość mężczyzny. Jeśli mi dopisze szczęście, rozszyfruję nazwiska zagadkowych kochanków w parę dni.

– Skąd pani wie, że są zagadkowi?

– Co pan ma na myśli?

– Słowo „kochankowie” sugeruje, że chodzi tu o uczucie. Można się bowiem kochać, ale można też… – urwał, chcąc wybrać najmniej wulgarne słowo – … dogadzać sobie.

– W czym tkwi różnica?

Coś podobnego!

– Mężczyzna bez zasad mógłby to uznać za zachętę do zademonstrowania tejże rzeczy.

– Na szczęście pan jest człowiekiem z zasadami. Nie tak jak oni.

Nie mogła bardziej się mylić.

– Wystarczy, jeśli powiem, że schadzka, której odgłosy słyszeliśmy, należała do drugiej kategorii. Brakowało jej pewnej… subtelności.

– A może to panu brak wyobraźni?

Piers z rozbawieniem pokiwał głową. Nie brakowało mu wyobraźni.

W tej akurat chwili wyobrażał sobie, że przyciska ją do pełnej luster ściany. Patrzy na jej rozświetlone złotym blaskiem rzęsy i całuje ją powoli, folgując namiętności, wciągając ją w jej atmosferę. A potem, gdym ona zacznie błagać o więcej, uniesie jej muślinową suknię i osunie się na kolana. Dając jej rozkosz raz za razem.

A potem jeszcze raz.

Żeby jej w końcu powiedzieć: „tak się właśnie ludzie kochają”.

Wzdrygnął się. Dość tego. Zrobi to dopiero po ślubie. W jego majątku było pełno luster.

A ona powinna się była właśnie tam znajdować. Dopiero gdy ją już poślubi, weźmie do łóżka i zaszyje się z nią gdzieś na wsi, będzie mógł wziąć się w karby.

– Może pan to dowolnie nazywać – odparła. – Ja wolę wierzyć, że chodzi o dwoje kochanków. I zamierzam ich znaleźć.

– Nie może pani krążyć po całym Nottinghamshire, bawiąc się w rozwikływanie tajemnic. To nie tylko niestosowne. Jest już za późno. Zawarliśmy porozumienie.

– Może, ale nie jest za późno. Ani na rozszyfrowanie kochanków, ani dla nas. – Spojrzała na niego błękitnymi oczami. – Chciałabym wyjść za mąż z miłości. A że mam o panu dobre mniemanie, pragnę tego również i dla pana. Jest pan przyzwoitym, honorowym mężczyzną.

Co za słodka, niewinna dziewczyna. Może zna się na dedukcji, ale on nie

może pozwolić, żeby poznała prawdę o nim. Przyzwoity? Honorowy? Gdzież tam. Zimnokrwisty kłamca bez serca. I jeszcze gorzej.

– Charlotte, ja…

– Wiem, nie chce pan miłości, bo sądzi, że ona pana osłabi, ale to ogromna pomyłka. Miłość do właściwej osoby czyni ludzi silniejszymi. Lepszymi niż mogliby być w pojedynkę. Wiem o tym. Widziałam to. Właśnie dlatego zamierzam rozwikłać zagadkę. Oboje zasługujemy na coś lepszego niż zakłamany związek.

– Nie zawrzemy wcale takiego. Pobierzemy się wskutek jednego tylko zdarzenia: ściskałem się z panią po kryjomu w okiennej niszy. Już sam ten fakt był wystarczająco nieprzystojny.

– Tylko w dosłownym znaczeniu.

– Właśnie ono się liczy.

Nie podobała mu się myśl o Charlotte krążącej wszędzie wokół, wąchającej perfumy kobiet i mierzącej ich uda. Mogła jednak z tego wyniknąć jakaś korzyść: jeśli Charlotte zajmie się badaniem podwiązek, nie będzie mu zadawać pytań o niego.

Był to wszakże ryzykowny plan i pod wieloma względami mógł się nie powieść.

– Nie pochwalam tego – powiedział jej. – No i z pewnością nie chcę pani pomagać.

– Wcale się nie spodziewałam pańskiej pomocy. – Rzuciła mu kokieteryjne spojrzenie spod zmrużonych powiek. – Założę się jednak, że pan na tym straci. Myślę, że przydałaby się panu w życiu jakaś intryga.

Och, Charlotte. Nie wiesz, o czym mówisz.

– Proszę mi zdradzić, co pani zrobi, jeśli nie znajdzie…

Spojrzała na niego z wyrzutem.

Poprawił się.

– A co będzie, jeśli pani przez dwa tygodnie nie zdoła znaleźć zagadkowych rozpustników? Zamierza pani dać mi kosza i zrujnować sobie reputację?

Spojrzała gdzieś w bok.

– Nie jestem głupia.

No i nie była, ani trochę. Okazała się za to bystra, uparta i – co zaczynał doceniać – niebezpiecznie spostrzegawcza.

Właśnie to go niepokoiło.

Wkrótce po drugim śniadaniu Charlotte dostała liścik od matki. Odłożyła odpowiedź na godzinę, potem na dwie, póki nie uznała, że może to w końcu zrobić.

Ale gdy szła do pokoju matki, Frances Parkhurst zatrzymała ją w korytarzu.

– Może zamienimy kilka słów, panno Highwood?

Nie mogła znaleźć powodu, żeby odmówić.

Frances powiedziała stłumionym głosem:

– Powinna pani wiedzieć, że bardzo mnie obchodzi los siostry.

– Mnie także. Przecież jest moją bliską przyjaciółką.

Frances spojrzała na nią nieufnie.

– Naprawdę? Najwyraźniej dziś rano zaprzyjaźniła się pani blisko z lordem Granville'em. W pokoiku muzycznym.

– Szpiegowała nas pani?

– Nie musiałam tego robić. Drzwi były otwarte.

– W takim razie wie pani doskonale, że po prostu rozmawialiśmy.

Po prostu rozmawiali.

Ile razy już tak powiedziała w ostatnich dniach? Znużyło ją nie tylko ciągłe powtarzanie tych słów, ale to, że nikt jej nie wierzył.

– On nigdy się z panią nie ożeni – powiedziała Frances. – Zawraca mu pani tylko głowę, usiłując go usidlić.

Co za zuchwalstwo! Charlotte odruchowo zacisnęła dłoń w pięść.

Ona uważa, że chroni Delię – upomniała się w myśli. Nie możesz jej za to winić. Wie o tobie tylko to, co pisały bulwarówki.

– Wcale nie usidlam lorda Granville.

– Doprawdy? Czyżbym nie wiedziała, do czego pani zmierza wraz ze swoją pazerną matką? Wasze nadzieje na korzystny mariaż są śmiechu warte. Brak pani manier i dobrego pochodzenia. A przede wszystkim co za bezwstyd! Zanim reszta Londynu należycie pani nie pozna, proszę się nie poufalić z moją siostrą!

– Czy zatrzymała mnie pani na korytarzu tylko dla zniewag? – spytała chłodno Charlotte. – Bo ja mam co innego do roboty.

– Zrobiłam to, żeby panią o czymś uprzedzić. Nie pozwolę wykorzystywać serdeczności Delii czy doprowadzać ją do desperacji.

– Do desperacji? – Charlotte rozgniewała się na dobre. – Delia pragnie desperacko chyba tylko jednego: by pani trzymała się z dala od nas.

– Jest wrażliwa, bezbronna i zanadto ufna.

– Delia jest dorosła i sama może sobie dobierać przyjaciół. Mam nadzieję, że

nigdy się nie dowie, jak nisko pani ceni jej inteligencję.

Oczy Frances zwęziły się ze złości.

– Jeśli wyrządzi pani krzywdę mojej siostrze, obiecuję, że zrujnuję pani reputację, i to nie tylko w Londynie. Każda porządna rodzina w Anglii dowie się, kim pani jest.

Po czym odwróciła się i odeszła, pozostawiając Charlotte pełną gniewu.

Tyle tylko, że po utarczce z Frances Parkhurst wolała już raczej pójść do matki.

Zapukała do drzwi.

– Chciałaś się ze mną widzieć, mamo.

– Tak. Chodź tu i usiądź koło mnie.

Matka powiedziała to dziwnie łagodnym tonem, co zaskoczyło Charlotte, ale nie zmartwiło. Potrzebowała jakiejś pociechy.

Siadła na łóżku obok matki.

– Droga Charlotte, nadszedł czas, żebyśmy pomówiły o tym, czym właściwie jest małżeństwo.

– Ależ mówiłyśmy już. Odkąd skończyłam trzynaście lat, wciąż mi powtarzasz, jakie jest ważne.

– A więc dziś jeszcze raz powtórzę. – Uniosła siwiejące brwi. – Dobre małżeństwo jest najważniejszym celem życia kobiety. Od wyboru małżonka zależy całe jej przyszłe szczęście.

Charlotte milczała. Nie wierzyła w to, co matka mówi. Z pewnością niektóre kobiety całkiem dobrze sobie radzą bez małżeństwa. A życie tych, które za mąż wyszły, nie zawsze wygląda różowo. Owszem, małżeństwo sprawia radość, ale przyjaźń również, podobnie jak śmiałe przedsięwzięcia i kształcenie umysłu.

Matka wyszła za mąż, mając siedemnaście lat i owdowiała w wieku dwudziestu czterech, nie znając wcale świata. Całe bezpieczeństwo i ciepło domowego ogniska znikło wraz ze śmiercią ojca, a pani Highwood w rezultacie zgorzkniała. Potem zaś stała się przedmiotem kpin.

Charlotte postanowiła sobie mocno, że z nią będzie inaczej. Niezależnie od matrymonialnych machinacji matki, nie chciała wychodzić za mąż, póki nie będzie na to gotowa. No i pójdzie wyłącznie za głosem serca.

– Mąż i żona muszą być należycie dobrani – ciągnęła matka.

– Mamo, wiem o tym. Możesz sobie oszczędzić fatygi.

– Nie mówię o czymś oderwanym, córko, tylko o małżeństwie, i o tym, co w nim jest najważniejsze. To nie tylko jedność serc i umysłów, ale… – i tu matka

się nieco skrzywiła – ciał.

– Aha.

O tym więc chciała z nią mówić. A Charlotte się spodziewała, że nie spotka jej nic gorszego od napaści Frances.

– Może zauważyłaś – mówiła dalej matka, starając się nie patrzeć na nią – że wśród zwierząt samce i samice różnią się pewnymi organami.

Wszystko, tylko nie to! Charlotte rozejrzała się rozpaczliwie po pokoju. Nie było z niego ucieczki.

– Mamo, nie musimy o tym mówić.

– To mój obowiązek jako twojej matki.

– Owszem, ale nie teraz!

– Może już nie być lepszej okazji.

– Czytałam różne książki. Mam zamężne siostry. Wiem o…

– Charlotte! – Matka klasnęła w dłonie. – Hamuj się! Daj spokój!

Charlotte poczuła się pokonana. Złożyła ręce na kolanach, chcąc, żeby jak najprędzej było po wszystkim.

– Widzisz, mężczyźni… hm… zbudowani są pod pewnym względem inaczej niż kobiety… – tu matka zatrzepotała dłonią – …a w łożu małżeńskim będą chcieli umieścić tę… tę swoją część… – matka jeszcze mocniej zatrzepotała dłonią – wewnątrz ciebie.

– Wewnątrz mnie?

– No właśnie. A potem…

– A potem zaczną się małżeńskie obowiązki, będę leżeć na wznak i myśleć o Anglii. Już to wszystko wiem. Dziękuję, mamo.

Próbowała wstać z łóżka, ale matka pchnęła ją tak, że opadła na nie z powrotem.

– Cicho bądź!

Charlotte, zgnębiona, zamilkła.

– Myślę, że trudno to ująć słowami. Dlatego przyniosłam tu kilka rzeczy tytułem przykładu. – Matka sięgnęła po koszyk, nakryty lnianą serwetką. – Może widziałaś podczas kąpieli, że między twoimi nogami jest… hmm… pewna szczelina.

Charlotte milczała.

Jakże mogła tego nie zauważyć, skoro miała już dwadzieścia lat?

Być może istnieje jakaś dziewczyna, która nie wie, jak jest zbudowana poniżej pępka, ale ona za nic nie chciałaby się z podobną nieszczęśnicą

zaprzyjaźnić.

– Trochę tak jak tu.

I matka wyciągnęła z koszyka okrągły owoc.

Charlotte przyjrzała mu się.

– Czy to brzoskwinia?

– Tak. Intymne części kobiet wyglądają podobnie.

– Dlaczego właśnie brzoskwinia, a nie orchidea, róża czy jakiś inny kwiat?

– Bo brzoskwinia ma szczelinę i odpowiedni kolor. A także… porasta ją meszek – upierała się matka.

– Ale chyba na tym podobieństwa się kończą? Może to mniej poetyckie, ale czy główka kapusty nie miałaby przynajmniej właściwej wielko…

– Charlotte, proszę cię, pozwól mi mówić.

Tylko że Charlotte wcale tego nie chciała. Za nic na świecie. Wolałaby już biczowanie pod pręgierzem niż dalszy ciąg tej rozmowy.

Albo nawet śmierć.

Objęła się ciasno rękami, gdy matka znów sięgnęła do koszyka.

– A teraz co do mężczyzn. To ważne, żebyś się nie przeraziła. W stanie spoczynku ta… ta ich…

– Męska część – mruknęła Charlotte.

– … nie jest zbyt wielka. Ale w innych okolicznościach wygląda miej więcej tak.

I matka wyciągnęła spod serwety jakieś warzywo. Podłużne, zakrzywione i pokryte grubą, błyszczącą, purpurową łupiną.

Charlotte spojrzała na nie ze zgrozą.

Nie. Niemożliwe.

Ale zdaniem matki właśnie było to możliwe.

– Jak bakłażan?

– Ogórek byłby lepszy, ale w kuchni go nie mieli.

– Rozumiem – powiedziała Charlotte głuchym głosem.

– W porządku. – Matka położyła bakłażan na kapie łóżka – Możesz teraz pytać.

Pytać? O co? Przyszło jej na myśl jedno jedyne pytanie: Czym sobie na to zasłużyłam i dlaczego jest za późno na skruchę?

Charlotte ukryła twarz w dłoniach. Czuła się tak, jakby przeżywała jakiś upiorny sen. Albo jakby oglądała fatalny spektakl w teatrze pod tytułem *Brzoskwinia i bakłażan*, tragikomedię w jednym, ciągnącym się bez końca akcie.

Na całe szczęście miała przyjaciół, powieści i tyle zdrowego rozsądku, żeby się o pewnych rzeczach czegoś dowiedzieć już dawno temu. Bo gdyby była zmuszona zadowolić się jedynie tym…

Założyła się w myślach z samą sobą, że jeśli matka zamierza zmusić ją do słuchania jej nadal, ciężko za to zapłaci. Istniał tylko jeden jedyny sposób, żeby się zrewanżować za tę godną śmiechu naukę.

Wziąć ją na serio.

Uniosła głowę i przybrała minę wcielonej niewinności. Wskazała palcem na bakłażan.

– Czy to jest takiej wielkości?

– Nie u każdego mężczyzny. U niektórych te części są mniejsze. Ale bywają i większe.

– Mam nadzieję, że nie są tego koloru? – Charlotte wzięła brzoskwinię i bakłażan do rąk, po czym zbliżyła je ku sobie, marszcząc z zakłopotaniem brwi.

– Jakże bakłażan może zmieścić się wewnątrz brzoskwini?

Twarz matki zesztywniała.

– Brzoskwinia wydziela rodzaj nektaru, który to ułatwia.

– Nektar? Coś nadzwyczajnego.

– Jeśli mężczyzna jest zręczny, nie boli to zanadto.

– A co z kobiecą zręcznością? Czy brzoskwinia powinna wiedzieć, jak się spodobać bakłażanowi?

Matka milczała przez chwilę.

– Czasem… to znaczy… niektórzy mężczyźni życzą sobie… hmm… żeby ich po tym głaskać.

– Głaskać? Jakże można głaskać bakłażana? Tak jak kota? – Charlotte położyła bakłażan na dłoni i dotknęła go ostrożnie końcem palca. – A może jak szczotkę do włosów? – spytała, gładząc energiczniej warzywo.

Matka wydała z siebie zduszony jęk.

– A może, o tak? – i Charlotte wsunęła matce bakłażan w stuloną dłoń. – Dlaczego mi tego nie pokażesz?

Na widok spurpurowiałej, przerażonej twarzy matki Charlotte nie zdołała się pohamować i wybuchnęła dzikim chichotem. A potem schowała głowę pod kołdrę, żeby uniknąć ciosów bakłażanem.

Matka rzuciła w nią jeszcze brzoskwinią, nim Charlotte zdołała dopaść drzwi.

– Co ja z tobą pocznę?!

– Nigdy więcej nie rób mi wykładu o bakłażanach i brzoskwiniach!

6

Piers przyjrzał się uważnie swemu odbiciu w lustrze, opłukał brzytwę w miedniczce i starł resztę mydlanej piany z podbródka.

Gdyby tego zażądał, Ridley pomógłby mu przebrać się do obiadu. „Sługa” potrafił być lokajem nie tylko z nazwy i być może należało robić użytek z tych jego umiejętności – choćby na rzecz wyglądu. Piers miał jednak zwyczaj golić się samemu od początku służby. Nikomu nie ufał na tyle, by pozwolić mu na przykładanie brzytwy do swojej szyi.

Nawet teraz, gdy był już doświadczonym agentem, wciąż wolał robić to własnoręcznie. Nie dlatego, by nie ufał Ridleyowi. Po prostu nie był przekonany, że zdoła go ogolić z dostateczną starannością.

Gdy nałożył koszulę i zaczął zapinać mankiety, coś przyciągnęło jego wzrok. Przerwał swoje zajęcie i wpatrzył się uważnie w lustro.

To coś było za oknem.

Coś albo ktoś. Za jego oknem.

Wmawiał sobie, że to gałąź drzewa. Albo jakiś ptak nie poszedł jeszcze spać, albo jakiś nietoperz za wcześnie wyleciał wieczorem.

Starał się jednak nie okazywać otwarcie zaniepokojenia. Nie odrywał wzroku od swego odbicia i nadal zapinał koszulę.

Wtedy usłyszał jakiś hałas.

Coś zachrobotało.

Piers nadal oddychał miarowo, a gdy nabierał tchu, lustrował wszelkie możliwe rodzaje broni w pokoju. Otwarta brzytwa leżała nadal na umywalce i wciąż jeszcze była mokra. Łopatka do węgla byłaby groźna, gdyby zadać nią cios. Przygotowany już halsztuk mógł się zacisnąć na czyjejś szyi i udusić kogoś niczym hiszpańska garota. Przekonał się o tym pewnej dusznej nocy w Rzymie.

Ale tego wieczoru nie musiał wysilać wyobraźni. Nie wtedy, gdy w szufladzie umywalki leżał naładowany pistolet. Metoda może niewyszukana, ale skuteczna.

Chrobot przerodził się w zgrzyt, a potem w stukot. Intruz chciał wejść przez

okno.

Piers postarał się, by puls mu nie przyspieszał. Chciał, by krew w jego żyłach była chłodna jak strumień w lutym. Wysunął szufladkę, odgarnął stosik złożonych we czworo chustek do nosa i wyjął mały pistolet.

A potem czekał. Gdyby się odwrócił zbyt szybko, przestraszyłby niepotrzebnie napastnika i naraził się na kolejny jego atak.

Cierpliwości. Jeszcze nie teraz.

Chłodny powiew sprawił, że zjeżyły mu się włosy na karku.

Teraz.

Okręcił się na pięcie, odwiódł kurek i wycelował w intruza.

Zamachała szybko dłonią.

– Proszę się nie bać! To tylko ja.

– Charlotte?

Z miejsca opuścił kurek.

Przez okno wsunęła się smukła noga w pończosze, a w ślad za nią reszta Charlotte, lądując na podłodze z głuchym stukiem: kłąb zabrudzonego listowiem muślinu, zabłocone sznurowane trzewiki i potargane jasne włosy.

– Co u diabła pani tu robi? – spytał, pomagając jej wstać z podłogi.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, a jej wzrok wędrował od rozpiętego kołnierza koszuli do jej luźno zwisającego brzegu.

Widok Charlotte, zadyszanej, zaróżowionej i uśmiechniętej spowodował, że zimna krew w jego żyłach nabrała temperatury lawy przed wybuchem wulkanu.

Ulżyło mu, ale był wściekły. No i mimo wszystko rozbawiony. Bynajmniej nie zimny i obojętny.

– Powinna pani być w swoim pokoju.

– Bardzo bym tego chciała, ale nie teraz. – Spojrzała na jego broń.

– Och! Czy to pistolet Fincha?

Sięgnęła po pistolet, wciąż jeszcze trzymany przez niego w prawej ręce. Pozwolił jej, żeby go wzięła do ręki. Obracała broń w dłoniach, a potem wymierzyła w otwarte okno i przymykając jedne oko, wzięła coś na cel.

Musiał przyznać, że przyjęła pierwszorzędną strzelecką pozycję.

– Po czym pani poznała, że to pistolet Fincha?

Opuściła go i obróciła powtórnie w dłoniach, chcąc się mu dokładniej przyjrzeć.

– Córka sir Lewisa Fincha jest ze mną blisko zaprzyjaźniona. Przez całe lata żyłam w Spindle Cove.

Spindle Cove.

Przypomniała mu się zwięzła relacja Ridley’a o tej miejscowości.

„W poniedziałki przechadzki po okolicy. We wtorki kąpiele morskie. W środy ogrodnictwo. W czwartki…

– W czwartki uprawiała pani strzelectwo – powiedział.

– A więc słyszał pan o tym? – Uśmiechnęła się do niego. – Byłam w salonie strzeleckim sir Lewisa, ale nigdy nie widziałam tak pięknego egzemplarza. Jest raczej lekki i nieduży, prawda?

– Specjalny model – wyjaśnił. – Istnieje tylko kilka egzemplarzy.

– Godne uwagi. – Oddała mu pistolet. – Jak się panu dostał?

– Chyba to ja będę pani zadawał pytania. – Piers umieścił ponownie pistolet w szufladce, a potem odwrócił się ku niej. – Proszę się wytłumaczyć. Po co, u licha, wlazła do mnie pani przez okno?

– Słuszne pytanie. Dzisiejszego popołudnia pan Fairchild… to proboszcz, jeśli sobie pan przypomina…

– Owszem.

– …Przyszedł porozmawiać z lady Parkhurst. Mówił o programie świątecznym na plebanii. O doborze utworów muzycznych i takich tam rzeczach. Najwyraźniej zajmie im to parę godzin, zrozumiałam więc, że mam szansę.

– Szansę na co?

– Żeby pogadać z panną Caroline Fairchild. Figuruje na mojej liście podejrzanych. Przypomina pan sobie mój poranny plan?

Uniósł rękę ku skroni.

– Owszem.

– No cóż, mam aż pięć podejrzanych z inicjałami C. Muszę je kolejno wyeliminować. Jeśli Caroline Fairchild nawiązała potajemny romans i wie, że ojca nie będzie w domu przez parę godzin, byłoby to doskonałą okazją, żeby sobie zaplanować randkę. No nie?

Piers nie wiedział, jak ma dyskutować z tym rozumowaniem, co było dość irytujące.

– Oznajmiłam więc, że mam migrenę i poszłam do swego pokoju. Pokojówkom powiedziałam, żeby mi nie przeszkadzać. A potem zamknęłam drzwi i wyślizgnęłam się przez okno.

– Pani okno znajduje się na wysokości prawie dwudziestu stóp nad ziemią. Nawiasem mówiąc, moje także.

– Oczywiście! Ale wzdłuż wszystkich biegnie bardzo odpowiedni gzyms, a tuż przy północno-zachodnim narożniku domu rośnie platan. Można na niego przeskoczyć.

Zacisnął szczęki, usiłując odsunąć od siebie obraz Charlotte przeskakującej z okna piętra na gałąź platanu.

– No i co potem?

– Potem pobiegłam przez łąki do miasteczka. – Usiadła na ławeczce u stóp jego łóżka i zaczęła rozsznurowywać trzewiki. Podeszwy ich nosiły wyraźne ślady wędrówki po pastwiskach i zabłoconych uliczkach. – Poszłam na plebanię i zapytałam o pannę Fairchild. Była tam. Sama.

– Nie w ramionach uwodziciela?

– Nie. Wyglądała zresztą na osamotnioną i aż nadto zadowoloną z mojej wizyty. Miła dziewczyna, ale nie odniosłam wrażenia, żeby choć próbowała nawiązać romans. Z pewnością nie czytała żadnych porządnych powieści.

Zrzuciła trzewiki, a potem wsunęła stopy pod suknię, siadając na ławeczce ze skrzyżowanymi nogami.

Piers uznał, że on też mógłby usiąść. Osunął się na fotel.

– Sądzę, że spokojnie mogę skreślić pannę Fairchild z mojej listy podejrzanych – uznała.

– A co będzie, jeśli ktoś spyta, jak pani mogła jednocześnie leżeć z migreną i odwiedzać w miasteczku pannę Fairchild?

Machnęła tylko ręką.

– Och, nikt się nie połapie. Wszystkie dni tych wiejskich wizyt wyglądają podobnie. Nie sposób sobie przypomnieć, czy ktoś otrząsał jabłka w poniedziałek, czy we wtorek; czy nie w środę mieliśmy rano ulewę? Uzna się to po prostu za przypadkową pomyłkę, jak zwykle. Co zresztą najczęściej mija się z prawdą. Wie pan, jak z tym jest.

Piers wiedział, jak to z tym jest. I nie tylko wiedział, ale też robił z tego użytek. Nawyk zwracania uwagi na szczegóły, czego nie czynił nikt inny z jego otoczenia, dawał mu wyraźną przewagę.

Ale jeśli Charlotte Highwood robiła tak jak on, tracił nad nią przewagę.

Co go zmartwiło.

– Skądinąd miałam zamiar wdrapać się na drzewo i wślizgnąć do mojego pokoju. Zostawiłam okno otwarte. Ale kiedy wróciłam, było zamknięte.

– I dlatego wlazła pani przez moje?

– Cóż innego mogłam zrobić? Wejść frontowymi drzwiami? Przyznać się, że

skłamałam, mówiąc o migrenie, i uciekłam przez okno?

Piers wsparł łokcie na kolanach i przetarł twarz oburącz.

– Później, wieczorem – ciągnęła Charlotte – kiedy wszyscy pójdą spać, wślizgnę się przez okno gospodyni, odnajdę jej pas z kluczami i wrócę do siebie. Albo też – uniosła przy tych słowach palec – wzniecimy pożar.

– Nie zrobi pani tego.

– No, nie taki prawdziwy pożar. Tylko fałszywy alarm, żeby wszyscy zerwali się z łóżek, bo wtedy zyskam szansę, żeby niepostrzeżenie wrócić na własne. – Wstała z ławeczki, okrążyła jego łóżko i siadła na jego brzegu. – Zadecydujemy o tym później. Mogę udać drzemkę, kiedy pan zejdzie na obiad. Czy mogę się spodziewać, że wsunie pan do kieszeni kanapkę i przyniesie mi? Umieram z głodu.

Wsparła się na łokciu. Na jego łóżku. Tylko częściowo ubrana. A zgodnie z jej planem miała zamiar zostać u niego przez większą część nocy.

Nie. Niemożliwe.

Wstał i zaczął zakasywać rozpięte rękawy aż po same łokcie.

– Otworzę drzwi pani pokoju.

– Przecież powiedziałam, że są zamknięte.

– Proszę zostawić to mnie.

Uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Czekał przez chwilę, żeby się upewnić, że nikt nie nadchodzi, a potem odwrócił się ku niej i dał znak, żeby poszła za nim.

– Ma pan na sobie trochę piany z mydła do golenia. – Dotknęła go lekko końcami palców pod dolną szczęką. – O, tutaj.

Miękkość jej dotyku czuł jeszcze przez dłuższą chwilę.

Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego, po czym mruknęła w zamyśleniu:

– Dopiero teraz zauważyłam, że nigdy nie widziałam pana bez wierzchniego okrycia. Jest pan solidniej zbudowany niż można przypuszczać.

Przesunęła dłoń na jego ramieniu w stronę łokcia, wzdłuż konturów mięśni. Mimo całego rozsądku drgnął.

Zauważyła to.

Męska duma wzburzyła w nim krew.

Coś z tobą nie tak, kochanie?

– Chodźmy już – powiedział. – Proszę iść za mną. I trzymać się blisko.

Charlotte pomodliła się w duchu i poszła za nim korytarzem, niosąc trzewiki

w jednej ręce. Piers trzymał ją mocno za drugą. Prawdę mówiąc, szli krótko, ale jemu się zdawało, że to całe mile.

Poruszył klamką, a potem przyłożył ucho do drzwi.

– Mówiła pani, że klucz był w zamku?

Skinęła głową.

– Teraz go nie ma.

– To dziwne.

Charlotte nagle zdała sobie sprawę, że on wie, które drzwi prowadzą do jej pokoju. A nie zapytał jej o to. Ciekawa była, dlaczego, ale inne kłopoty przeważyły.

Rozległ się odgłos odległych kroków od strony kuchennych schodów.

– Ktoś nadchodzi! – szepnęła. – Musimy wrócić do pańskiego pokoju.

Nie przejął się tym.

– To potrwa tylko chwilę.

Wyjął szybko z kieszeni onyksową szpilkę do halsztuka, zgiął jej koniuszek, tworząc w ten sposób haczyk, energicznym ruchem wsunął ją w dziurkę od klucza i obracał nią pod różnymi kątami niby dźwignią.

Charlotte patrzyła na to oniemiała, zdumiewając się, że złota i onyksu można używać do tak pospolitego celu. Nie mówiąc już o arystokratycznych dłoniach markiza Granville'a.

Kroki na schodach kuchennych były coraz głośniejsze. W każdej chwili któraś ze służących mogła pojawić się na końcu korytarza. Charlotte poczuła, że serce jej załomotało.

– Szybciej! – syknęła.

Nie zwrócił na to uwagi.

Jego powolne ruchy doprowadzały ją do szału. Nie mogli dać się zaskoczyć. Nie dałoby się wówczas wyjaśnić, dlaczego Charlotte nie leży wewnątrz z migreną, tylko stoi, bez tchu i rozczochrana, w korytarzu, przed zamkniętymi drzwiami własnego pokoju. I co gorsza, w towarzystwie lorda Granville'a.

Nie zdołałaby już wówczas uniknąć małżeństwa z nim.

Przyszła jej do głowy okropna myśl. Może on właśnie tego chciał? Może nawet nie próbował go uniknąć? Może całe to bzdurne manipulowanie szpilką jest na niby?

Kroki doszły już do podestu na schodach. Charlotte dostrzegła przez moment czarny strój z grubej wełny na końcu korytarza.

Chciała się ukryć, ale gdzie? Nie było tu, jak na złość, żadnych roślin w

donicach ani marmurowych statui.

Serce podeszło jej do gardła.

– Gotowe – wyszeptał.

Drzwi otwarły się z cichym stuknięciem.

Jednym ruchem wciągnął ją do środka i zamknął je za nimi tak szybko, że nabrała gwałtownie tchu z zaskoczenia.

A on przycisnął ją do drzwi całym ciałem.

Trwali bez słowa i bez ruchu, póki kroki służącej nie oddaliły się wzdłuż korytarza. Nuciła coś pod nosem.

– Mówiłem, że zdążę – mruknął.

– Istotnie. Zdążył pan i nawet włosy się panu nie rozwiały. Czym je pański lokaj nasmarował?

– Niczym. Nikt nie śmie tknąć moich włosów.

– Nikt? – Przyjrzała się jego gęstej, ciemnej fryzurze. – Niesłychane.

Jego serce wciąż biło tuż przy jej własnym, ale wyraz twarzy, choć jak zawsze trudny do odczytania, nie świadczył o wzburzeniu.

Raczej o rozbawieniu.

Czyżby idealnego, powściągliwego markiza Granville'a bawiło skradanie się po korytarzach i otwieranie zamków szpilką od halsztuka?

Ciekawe. Może atmosfera niebezpieczeństwa go ożywia?

Charlotte też czuła coś takiego. Nie tylko z powodu podniecenia sytuacją, której zdołali uniknąć, ale bliskością jego ciała.

Silne, muskularne ramiona, którymi ją z obu stron przyciskał do drzwi, obiecywały obronę, ale w mrocznym spojrzeniu kryło się coś niebezpiecznego.

– Może pan już odejść – powiedziała, wyślizgując się z jego uścisku. – Powinien pan dokończyć przebierania się do obiadu.

– Chwileczkę. – Zatrzymał ją na miejscu ruchem dłoni. – Przeszukam najpierw pokój. Ktoś w nim przebywał podczas pani nieobecności.

– Naprawdę? Skąd może pan wiedzieć?

– Z której strony był klucz? – Zajrzał pod łóżko i do szafy. – Oczywiście, ktoś tu myszkował.

Rozejrzała się po pokoju.

– Skądże. Wszystko jest tak, jak zostawiłam.

– Zostawiła pani to w takim stanie? – Podniósł z podłogi szal, trzymając go za sam koniec frędzli, a potem cisnął go na kupkę pończoch i sznurowadeł.

– Nie jestem porządnicka – wyjaśniła.

Uniósł ciemną brew, odwrócił się i zajrzał do szafy ściennej.

Charlotte podeszła do okna.

– Ktoś tu rzeczywiście był, bo okno jest nie tylko przymknięte, ale dokładnie zamknięte. Dziwne. Chyba musiała to zrobić pokojówka.

– Pokojówka? – Cofnął się, strzepnął z ramion drobiny kurzu i z irytacją mruknął: – Proszę mi wierzyć, w tym pokoju nie było żadnej służącej.

– Ale to nie mogła być moja matka. Wszczęłaby alarm słyszalny w całym domu. A jeśli nie pokojówka i nie mama, to kto?

– Pewnie ktoś, kto wie o pani zamierzeniach i chce panią powstrzymać.

– Sądzi pan, że to ktoś z zagadkowych kochanków?

– Proszę mnie posłuchać, Charlotte. Nie wie pani, w jakie sekrety wtyka nos ani do czego zagadkowi rozpustnicy mogą być zdolni, żeby ochronić swój sekret. Czas dać temu spokój.

Dać spokój?

Nie mogła! Gdyby zrezygnowała z poszukiwań, mogłaby równie dobrze zrezygnować z reszty życia.

– Skoro dajemy sobie wzajemnie rady, milordzie, sądzę, że powinien pan myśleć więcej o miłości. Byłby pan w niej dobry.

– Nie mam pojęcia, co każe pani tak mówić.

Wzruszyła ramionami.

– Jest pan przecież dobry we wszystkim innym. Ale może martwi się pan, że w miłości byłoby inaczej? Czy brak panu pewności siebie?

W odpowiedzi wyprostował się jak struna i spojrzał na nią ze złością.

– Nie sądzę, że tak być powinno – ciągnęła – ale nie potrafię uwolnić się od myśli, że choć oświadczył się pan dwu kobietom, obydwie były zmuszone się na te oświadczyny zgodzić: pierwsza dlatego, że jej małżeństwo zaaranżowała rodzina, a ja z lęku przed skandalem.

Podszedł ku jej komódce.

– Niech pani sobie bada życie córki proboszcza. Moje się do tego nie nadaje.

– Może i tak, ale sam pan jest najbardziej intrygującą zagadką. Nie potrafię pana rozgryźć. – Zbliżyła się do łóżka i wsparła o jego kolumienki. – Nie jest pan typem człowieka, który obawia się zaangażowania w jakąś sprawę. Przecież zajął się pan moją z najbłahszego powodu. Dlaczego nie miałby pan zalecać się do kobiety, która mu się spodoba?

Zignorował jej pytanie i wysunął jedną z szuflad komódki.

– Jest pusta. Co pani w niej trzymała?

– Nic. Nie używałam jej do tej pory.

Przyjrzał się stosikowi bielizny na podłodze.

– Wie pani chyba, do czego służy szuflada?

– Nie wszyscy trzymają swoje chustki w idealnym porządku. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Powiedziałam już, że byłabym fatalną żoną. A to jeszcze jeden dowód więcej, że nie pasowalibyśmy do siebie. Jestem za młoda, nieodpowiednia i nie nadaję się na panią domu. A panu nawet się nie podobam – ot, impertynencka dziewczyna, która zaskoczyła pana w bibliotece. Nie musi pan grzęznąć w tej sytuacji.

– Grzęznąć – powtórzył, wsuwając szufladę z powrotem. – Sądzi pani, że biorąc ją za żonę, ugrzęznę w fatalnej sytuacji?

– Wszyscy tak myślą.

– Pani jest najmniej nadającą się do tego istotą, jaką spotkałem w życiu. Nie czułem, bym w czymś ugrzązł, od pierwszej chwili, kiedy się zetknęliśmy ze sobą.

– Czy powinnam być z tego dumna? – spytała, rozbawiona.

– Z pewnością nie. – Zbliżył się ku niej. – Nie przyszło pani na myśl, że mógłbym mieć bardzo konkretny i pilny powód, żeby chcieć panią poślubić?

Jego wzrok nie pozostawiał złudzeń co do tego powodu.

– Przecież może panu to dać każda inna kobieta.

– A ja chcę, żeby tylko pani.

Przełknęła nerwowo ślinę.

– Stanowczo powinien pan sobie stąd pójść. Zaraz zadzwonią na obiad.

– Jestem tu gościem honorowym. – Odgarnął pasmo włosów, które spadło jej na czoło, a ona poczuła, że od tego dotknięcia mrowi ją w karku. – Poczekają na mnie.

– Gdyby moja matka wiedziała, że pan tu jest…

– Byłaby wstrząśnięta.

Było to aż nadto prawdziwe.

– Mogłabym zacząć krzyczeć.

– Żeby nas zaskoczono razem w jeszcze bardziej kompromitujących okolicznościach niż poprzednio?

– Proszę sobie stąd zaraz iść!

Westchnęła. Doprawdy, stawiał ją w sytuacji bez wyjścia.

Był tylko jeden sposób, żeby zmienić reguły tej gry i potrząsnąć nim.

„Nikt nie śmie tknąć moich włosów”, powiedział.

Jak dotąd.

Wyciągnęła dłoń i wsunęła w nie palce. Lekko, żartobliwie, tak że starannie ułożone loki rozwichrzyły się, co zabawnie kontrastowało z jego ostrym spojrzeniem i poważną miną.

Najwyraźniej nie wiedział, jak ma na to odpowiedzieć.

Och, tego mężczyznę koniecznie należało wpędzić w krańcowo kłopotliwą sytuację.

Czyżby mu był całkowicie obcy wszelki fizyczny kontakt? Może po prostu do tego nie nawykł? Zbyt długo się od niego powstrzymywał? Powściągliwość jego przypominała za mocno wykrochmalony halsztuk, który dławił nurtujące go odczucia. Nic dziwnego, że nie widział powodu, by oczekiwać małżeństwa z miłości. Przez całe lata nieskazitelnej powściągliwości zapomniał widocznie o uroku wzajemnej bliskości.

Jeżeli kiedykolwiek go czuł.

Bzdurzysz – powiedziała sobie w duchu. Przestań mieć opory. To bogaty, potężny markiz, a nie bezradny smarkacz.

Dopomogła sobie teraz drugą dłonią, jeszcze śmielej. Stłumiła przewrotny uśmieszek i zanurzyła palce jeszcze głębiej w gęstwę jego włosów, tak że sterczały teraz we wszystkich kierunkach i zaczął wyglądać niczym rozjuszony niedźwiedź ze zjeżoną sierścią. A potem zebrała wszystkie razem na czubku jego głowy, nadając mu wygląd Mohikanina.

– Bawi to panią? – spytał cierpko.

– Bardziej niż mógłby pan sądzić.

Grdyka uwypukliła mu się na szyi. Ale nie powiedział, żeby przestała. Trochę było jej go żal, przygładziła mu więc włosy palcami i przejechała paznokciami nad czołem.

Przymknął oczy i odetchnął ciężko.

– O, tak – szepnęła, muskając miękkie, krótkie włosy na jego karku. – Trochę czułości. Trzeba się jej poddać. To żaden wstyd.

Wiedziała, że rozpoczęła niebezpieczną grę. Z każdym pieszczotliwym ruchem coraz bliżej było jej do uzyskania odzewu. Ryzykownie igrała ze swoimi uczuciami i cnotą. Ale przecież to nie były jakieś szkodliwe igraszki. Należało mu okazać nieco uczucia. Tylko tyle, by otworzył się na możliwość miłości.

W pewnej chwili chciała się już zatrzymać. Powinna była bez problemu wysunąć dłonie z jego włosów, ale nie mogła. Palce zaplątały się jej w ciemne kędziory. Objął ją w pasie.

Trzymała w objęciach jego. A on ją.

Spojrzał na jej wargi.

Zrozumiała, że zaraz ją pocałuje.

Wiedziała też, że mu na to pozwoli.

Wszystko wydawało się całkowicie nieuniknione i przewidywalne – a jednak nigdy jeszcze się tak niczym nie przejęła.

Oddychaj – powiedziała sobie. – Oddychaj teraz głęboko, bo za chwilę będzie zbyt późno.

Piers obejmował ją mocno. Z konieczności, a nie z wyboru. Nie mógł się już bronić i niczego udawać.

Co w niej takiego było? Przecież jej palce nie różniły się zbytnio od palców innych kobiet. Owszem, była ładna, ale nie najpiękniejsza ze wszystkich widzianych przez niego piękności. Jak mu już przypomniała, była młoda, bez ogłady, impertynencka. Taki mężczyzna jak on nie mógł pragnąć podobnej osoby.

A jednak jej pragnął.

Igrała sobie z nim i z jego włosami. Wierzyła, że zasłużył sobie na to. I na coś więcej.

Nie mógł przewidzieć, jak to na niego wpłynie. Nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek to ujrzał. Pragnął ją posiąść i zaszyć się z nią gdzieś, gdzie nie byłaby już w stanie niszczyć w takim stopniu jego samokontroli.

Nie chciał jej jednak uwodzić. Pragnął jedynie położyć jej głowę na swojej piersi i pozwolić, żeby mierzwiła mu włosy przez całą noc.

– Co ty ze mną wyrabiasz – mruknął.

Dopuścił do tego, żeby ich ciała całkowicie się ze sobą stykały – szczytami bioder, miękkością brzuchów, jej piersiami opierającymi się jego muskułom. Żeby wspólnie biły ich serca i łączyły się oddechy.

Przywarł do niej każdym calem twardego, krwistego, męskiego ciała. Żeby je całe poczuła, żeby poznała jego kształt i siłę. Żeby zlękła się tego, co z nim zrobiła i co on zamierzał zrobić z nią. Chciał, żeby straciła oddech, żeby cała drżała.

O Boże, chciał, żeby się go choć trochę zlękła.

Bo wstrząsnęła nim do głębi.

Przycisnął twarz do jej twarzy i objął ją jeszcze mocniej w talii.

Cofnij się – błagał ją bez słów. – Nie pozwól, żeby to się stało.

A potem ich usta się zetknęły i nic już ich więcej nie dzieliło. Jakby nieważne było, co ich dzieli, skoro łączyło ich to jedno, co było odpowiedzią, a także powodem tego wszystkiego.

Jej wargi stały się darem bez żadnej osłony. Całował ją głęboko, z coraz większym pośpiechem, a ona wygrywała z nim raz za razem. Objęła go mocno za szyję, tak że jego ciało musiało na to dać odpowiedź.

Objął jej pierś dłonią. Wciągnęła gwałtownie powietrze tuż przy jego ustach i przerwała pocałunek, ale wciąż trzymała go w uścisku. Oddech jej przyspieszył, gdy ścisnął jej pierś mocniej, tak że poczuł na wewnętrznej stronie dłoni zesztywniały sutek.

Zacisnął powieki, usiłując się opanować. Musiał się zatrzymać. Jeśli jej teraz nie puści, to nie zrobi tego, póki ona nie legnie pod nim nago, w jego ramionach.

Oderwanie się od niej, podobnie jak wiele rzeczy, które już w życiu robił, było czymś zimnym, bezlitosnym i niezbędnym.

– Obiad – powiedział. – Czekają tam na mnie.

Skinęła głową.

Dotknął jej policzka wierzchem dłoni. Miała gładką, zaróżowioną skórę. A potem wyślizgnął się z tego pokoju, nie spoglądając za siebie.

W końcu ujrzałaby, jakim był naprawdę. Zewnętrzny polor, który ją omamił, zniknął, ukazując mroczną głębię.

Ale on nie był gotów. Jeszcze nie teraz. Dosyć mu się podobał łagodny, współczujący sposób, w jaki na niego patrzyła, choć wiedział, że na to nie zasługuje. Że nigdy nie mógł na to zasłużyć.

Mogłaby rzec: „Przyszłam, żeby pana uratować”.

Była słodką, uroczą dziewczyną. Ale zjawiła się o pół życia za późno dla niego.

7

A potem – powiedziała ze zgorszeniem Charlotte – dała mi po głowie tym bakłażanem.

– Ojej! – zaśmiała się serdecznie Delia.

– To nie jest śmieszne.

– To niesłychanie śmieszne – stwierdziła Delia z rozbawieniem. – A ty o tym wiesz.

O, tak. Charlotte wiedziała. Okoliczności mogły oddalić ją od Delii, ale przewrotny humor nadal był źródłem ich przyjaźni.

– Szkoda, że mnie tam nie było. Strasznie bym chciała zobaczyć twój… – Delia skrzywiła się nagle i zwolniła kroku na ścieżce wśród drzew.

Charlotte też się lekko skrzywiła.

– Może przystaniemy na chwilę? – spytała, zbaczając na małą, słoneczną polankę. – Widzę kilka jagód po lewej stronie.

– Nie jedzmy ich! – Delia wsparła się o drzewo.

Charlotte zerwała z krzaka jagodę i położyła ją na rozpostartej płasko dłoni.

– Dlaczego?

– Wiesz przecież, co mówią. Nie powinno się jeść jagód po świętym Michale, bo mogą być splugawione przez diabła.

– W jaki sposób?

– Pluje na nie.

– Pluje? – parsknęła Charlotte lekceważąco. – Co za wstrętny przesąd. Holenderskie dzieci wierzą, że święty Mikołaj chodzi od domu do domu, wkładając im słodycze do buta. A my, Anglicy, twierdzimy, że diabeł w dzień świętego Michała pluje na jagody!

– Może w tym jest źdźbło prawdy. Pewnie jakąś średniowieczną gospodynię rozbolał brzuch po zjedzeniu jagód i uznano, że to diabelska sprawka.

Charlotte nie była tego zbyt pewna.

– Już raczej jakiś zły mąż wypił za wiele mocnego piwa, miał kaca i

następnego dnia zwalił winę na jagody.

– Chyba nie ma znaczenia, jak naprawdę było. Wystarczy, że nam je obrzydzili.

– Tylko jeśli im na to pozwolimy – Charlotte wybrała sobie jedną z trzymanych w dłoni jagód.

– Pozwolisz, żebym zjadła jedną?

Delia skinęła głową.

– W takim razie to zrobię. Zjem je razem z diabelską plwociną. – Odchyliła głowę w tył, trzymając jagodę nad otwartymi ustami. – Masz ostatnią sposobność, żeby mnie powstrzymać.

– Nigdy bym nie próbowała – odparła Delia. – To akurat najlepszy sposób, żeby cię zachęcić.

No i rzeczywiście tak było. Delia znała ją aż za dobrze.

Charlotte wrzuciła jagodę do ust i żuła ją powoli.

– Jest raczej mączysta – stwierdziła, połykając ją i rzucając resztę owoców na ziemię. – Może te gospodynie miały jednak trochę racji.

– Chodźmy już.

– Poczekaj. – Charlotte przycisnęła dłoń do żołądka i zgięła się wpół. – Ja… nagle poczułam się jakoś dziwnie.

– Co ci jest? – spytała Delia.

– Boli! Jakby coś paliło mnie w środku. Czuję posmak siarki. – Schwyciła się za szyję i zaczęła krztusić. – Myślę, że… że to chyba diabelska ślina!

Zatoczyła się, padła za krzaki i znieruchomiała. Czekała na śmiech Delii.

Ale Delia wcale się nie zaśmiała, tylko szepnęła:

– Charlotte, wstawaj! Lord Granville tu idzie.

– Skądże – odparła Charlotte. Delia chciała się jej widocznie zrewanżować innym żartem.

– Ależ tak! – syknęła Delia. – To on!

– Nie dam się łatwo oszukać. – Charlotte uklękła i wyjrzała zza krzaków. – Ojej!

Istotnie zbliżał się do nich Piers długimi, zamaszystymi krokami.

Charlotte podniosła się i strzepnęła trawę z sukni.

– Czego może chcieć?

– Czegokolwiek chce – mruknęła Delia – wydaje się wyraźnie, że jest zdecydowany to osiągnąć.

No i rzeczywiście.

O Boże, jakiż był przystojny. Oczywiście, nie było to niczym nowym, ale działało teraz jakoś inaczej. Poczuła, że rośnie w niej dziwna chęć zagarnięcia go dla siebie. Jakby w całym swoim zmysłowym uroku należał do niej.

Zdenerwowało ją to wrażenie. Rozpaczliwie usiłowała je w sobie zdusić.

Tylko że bezskutecznie.

Złożył im ukłon.

– Witam panie.

Charlotte i Delia dygnęły w odpowiedzi. Z pozoru wszystko wyglądało bardzo przyzwoicie, mimo niestosownych myśli, jakie się w niej rodziły.

– Czy idzie pan do wsi? – spytała Delia.

– Nie. Przyszedłem, bo szukałem pań.

Spojrzał na Charlotte uważnie, wręcz zachłannie. W leśnej scenerii poczuła się niczym Czerwony Kapturek wobec wilka.

Zbyt dużo folkloru jak na jeden dzień.

– Czy się pani dobrze czuje dziś rano, panno Highwood?

– Ja… – Czy wyczuł jej wewnętrzne wzburzenie? Czyżby się aż tak rzucało w oczy? – A dlaczego miałoby być inaczej?

– Bo chwieje się pani na nogach i trzyma za gardło. A wczoraj wieczorem była pani cierpiąca.

– Ach, rzeczywiście.

Na wzmiankę o wczorajszym wieczorze poczuła, że lekki wietrzyk przestał wiać. Zrobiło się jej duszno i gorąco.

– Jeśli już o tym mówimy, to przedwczoraj wyszłaś wcześnie z balu – zauważyła Delia.

– Niepokojące objawy – stwierdził. – Czy mówiła pani o tych nawrotach złego samopoczucia z lekarzem, panno Highwood?

– To nie są żadne nawroty! – odparła Charlotte z uśmiechem, choć miała ochotę zgrzytnąć zębami. – Nie trzeba mi doktora.

– Nie chcę się z panią spierać, ale jeśli to się powtórzy i będzie pani musiała opuścić jakieś wspólne wyjście lub obiad, poślę po mego osobistego lekarza. Znakomicie sobie z tym radzi dzięki pijawkom i środkom przeczyszczającym.

Delia stłumiła śmiech.

– Co za uprzejma oferta z pana strony, milordzie.

O, tak. Miał rzeczywiście świetny pomysł, żeby ją zmusić do pokazania się na obiedzie. Pod groźbą przystawienia pijawek.

Jeśli Piers sądził, że powstrzyma ją od śledztwa, udowodni mu, iż się mylił.

Wcale jej nie bawiło udawanie chorej i okłamywanie Delii oraz jej rodziców. Robiła to dla jego dobra – a także… dla swojego.

– Czy nasi goście uprawiają może strzelectwo, biegi lub jakieś inne sporty? – spytała. – Sądziłam, że dziś przyjdzie na nie kolej.

– Trochę wędkowaliśmy wczesnym rankiem, ale teraz sir Vernon rozmawia ze swoim rządcą. Ja mam coś do załatwienia na mieście. Wysunięto więc pomysł, żeby damy poszły do sklepów.

Charlotte dałaby głowę, że to pomysł jej matki, która skwapliwie zawiązała wstążki od kapelusza i sięgnęła po torebkę, gdy tylko zaczęto o tym mówić. Chwyciłaby się każdej sposobności, by Piers i Charlotte znaleźli się w tym samym miejscu.

– Delio, ty i Frances możecie tam pójść, ale ja tu zostanę. Byłoby nas zbyt wiele. Nie chciałabym, żeby kareta jego lordowskiej mości była przepełniona.

– Zbędna troska – odparł. – Mój powóz jest na tyle obszerny, by panie wszystkie się zmieściły.

No i rzeczywiście tak było.

Zeszli ze ścieżki na podjazd. Przed Parkhurst Manor stało ogromne, najelegantsze chyba lando, jakie Charlotte kiedykolwiek widziała. Lśniący czernią powóz ze złotym herbem na drzwiczkach, zaprzężony w cztery kare konie tak doskonale dobrane, jakby je odlano z jednej sztancy.

Frances i Delia wsiadły do niego pierwsze, lord Granville za nimi. Charlotte ulokowała się na przeciwległym siedzeniu.

A wtedy przemówiła matka.

– Charlotte, musisz się przesiąść. Wiesz dobrze, że nie mogę siedzieć tyłem do kierunku jazdy.

– Mamo, nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek o tym wspominała.

– Źle mi to robi na żołądek. No, siądź po drugiej stronie.

Było wręcz boleśnie oczywiste, czemu tak mówi.

Charlotte wolała nie robić sceny i usłuchała. Oznaczało to, rzecz jasna, że Piers znalazł się obok niej.

Frances, czego się spodziewała, spiorunowała ją wzrokiem. Delia była na tyle miła, że uśmiechnęła się tylko do niej współczująco. Dobrze mieć choć jedną przyjaciółkę, która nie uważa jej za zuchwałą bezwstydnicę.

A może naprawdę była zuchwałą bezwstydnicą?

Czując Piersa tuż przy sobie, nie mogła zapomnieć o poprzedniej nocy. O tym, jak mierzwiła mu włosy. Jak się temu poddawał i szeptał cudowne, całkiem

niestosowne słowa.

Powóz podskoczył, natrafiając na koleinę i Charlotte przez moment zsunęła się z siedzenia.

Piers złapał ją wpół i przyciągnął ku sobie, a w niej wszystko gwałtownie zawirowało.

Cóż to za człowiek, pozornie powściągliwy, a jednak pełen namiętności. Wobec ludzi chłodny jak lodowiec, ale ją całował tak, jakby była dla niego oazą na rozległej, jałowej pustyni.

– Co ty ze mnie zrobiłaś – wyszeptał.

Charlotte nie miała pojęcia.

Cokolwiek to jednak było, odwzajemniał się jej jak najbardziej.

W sklepie tekstylnym matka skierowała się prosto ku okropnym koronkowym czepeczkom.

– Chodź tu, Charlotte. Powiedz mi, który ci się wydaje najlepszy?

Charlotte skrzywiła się. Mężatki noszące szkaradne koronkowe czepeczki wzmagały jej determinację, żeby nie wychodzić młodo za mąż.

– Żaden.

– Spytajmy jego lordowskiej mości.

– Mamo, nie! – Zniżyła głos do szeptu. – Pamiętaj, ani słowa!

– Bzdury. Przecież mówimy tylko o czepkach. – Matka zatrzepotała dłonią i zawołała przez cały sklep: – Lordzie Granville! Och, lordzie Granville! Proszę podejść tu i pomóc nam. Tutaj, do koronek.

Piers uniósł głowę – powoli, jakby wzywano go z jakiejś dalekiej, fantastycznej krainy. Nikt nie miałby przecież na tyle złych manier, żeby nawoływać markiza tak głośno, jakby się wzywało dorożkę.

Nikt prócz jej mamy.

Charlotte chętnie by się skryła za pękiem strusich piór, ale na próżno. No cóż, jeśli Piers na serio zastanawia się nad poślubieniem jej, powinien wiedzieć, czym to grozi.

Prawda zaczęła mu chyba świtać, kiedy się do nich zbliżał.

– Lordzie Granville – zaczęła matka – pewna znana mi, świeżo zaręczona młoda dama zastanawia się, jakie czepeczki winna nosić po zawarciu małżeństwa. Który by pan wybrał?

Piers spojrzał na rząd czepków.

– Nie sądzę, żeby choć jeden mi się podobał.

Matka zaśmiała się nieco zbyt entuzjastycznie, by zabrzmiało to szczerze.

– Nie chodzi mi o pana, milordzie. Który wybrałby pan dla żony?

– Nie mam pojęcia.

Matka zaczęła się niecierpliwić.

– Chyba pragnie pan, żeby podziwiano przyszłą lady Granville?

– Z pewnością. Jednakże, choć powierzyłbym jej prowadzenie domu, przyjmowanie gości i wychowywanie dzieci, nie sądzę, bym potrafił wybrać dla niej czepek.

Matka nie przestała jednak nalegać.

– Niektórzy są zdania, że mąż powinien służyć żonie radą pod każdym względem.

– Niektórzy są istotnie takiego zdania – odparł obojętnie – ale ja bym się tym nie przejmował.

Po czym skłonił się im lekko i odszedł.

Matka została sama, z wachlarzem i wielce urażoną godnością.

Za to Charlotte nie posiadała się wprost z radności.

No cóż, mamo, czy wciąż jeszcze chcesz mnie wydać za markiza?

Piers Brandon nie był kimś, kogo można nękać, namawiać, błagać lub spierać się z nim. Matka była całkowicie niezdolna do manipulowania tym człowiekiem.

Zresztą Charlotte również.

Bez wątpienia zaczął rozumieć, jak ogromna przepaść ich dzieli. Zwłaszcza jeśli w ogóle mógł sobie zdać sprawę, czym byłoby posiadanie takiej teściowej… Że też był zdolny myśleć o powierzeniu Charlotte pieczy nad pięcioma domami, skoro widział, jak wygląda jej sypialnia. Istne wariactwo.

Delia ujęła Charlotte za rękę.

– Chodźmy do sklepu obok. Jest w nim całe mnóstwo wstążek.

– Idź pierwsza. Zaraz tam przyjdę.

Podeszła do okna i wyjrzała przez nie, patrząc na długi rząd sklepów. Nie potrzebowała koronek, wstążek ani rękawiczek.

Potrzebne jej było tylko to, dzięki czemu mogłaby poznać tożsamość zagadkowych kochanków.

Spojrzenie jej padło na mały sklepik z drukowanym afiszem od frontu. Musiała wytężyć wzrok, żeby przeczytać napis: „Najlepsze francuskie perfumy”.

Perfumy!

To jest to.

Puls jej przyspieszył z podniecenia. Odczekała chwilę, niepostrzeżenie wysunęła się ze sklepu tekstylnego i przebiegła przez ulicę.

W sklepie z perfumami nie było nikogo prócz właściciela z przerzedzonymi włosami i w brunatnym surducie o kroju z zeszłego stulecia.

Spojrzał na nią sponad okularów.

– Czym mogę służyć, panienko?

– Szukam jakichś nowych zapachów.

– Znakomicie. – Sklepikarz zatarł dłonie, a potem wyciągnął spod kontuaru tacę. Leżało na niej mnóstwo buteleczek, każda ze szkła innego koloru i kształtu.

– Te z brzegu są głównie kwiatowe – dotknął flakoników w pierwszym rzędzie. – To są znów aromaty piżmowe. A tamte, niech pani raczy się trochę cofnąć, wydadzą się bardziej wyraziste, leśne.

Charlotte nie miała pojęcia, jakich perfum szuka. Ani też czy ich zapach można by określić jako kwiatowy, leśny, piżmowy czy jeszcze jakiś inny. Mogła tylko mieć nadzieję, że je rozpozna po powąchaniu.

– Szukam czegoś wyjątkowego – powiedziała. – Luksusowego. Nie zwykłego kwiatu pomarańczowego czy lawendy.

– Trafiła pani do właściwego sklepu – powiedział z dumą zasuszony staruszek. – Mój kuzyn przywiózł mi najnowszy towar z Paryża. Mam tu perfumy, których nie znajdzie pani nawet w Londynie.

Zabrzmiało to obiecująco.

– Co by mi pan polecił?

– Jeśli szuka pani czegoś naprawdę wyjątkowego, radziłbym zacząć od tego. – Sklepikarz odkorkował flakonik ze środka tacy i podał jej.

Charlotte ujęła go za szklaną szyjkę i przytknęła do nosa. Poczuła silny zapach, tajemniczy i egzotyczny.

– Proszę nałożyć tego trochę na nadgarstek, moja droga. Nie poczuje pani należycie zapachu, wąchając flakonik. – Odebrał go od niej i nachylił się nad jej dłonią w rękawiczce. – Czy mogę?

Charlotte odpięła guziki rękawiczki i wyciągnęła ku niemu ramię. Sklepikarz pociągnął szklanym koreczkiem po jej nadgarstku, rozprowadzając na nim cieniutką warstewkę perfum. Poczuła chłód na skórze.

– A teraz – powiedział – proszę spróbować.

Charlotte powąchała dłoń raz i drugi. Miał rację, perfumy zaczęły działać pod wpływem ciepła ciała, ujawniając różne odcienie zapachu. Było to coś innego niż przy wąchaniu pączka lub cieplarnianego kwiatu w pełnym rozkwicie.

– Z czego się składa? – spytała.

– To rzadki aromat, panienko. Lilie i ambra z odrobiną cedru.

– Ambra? Co to takiego?

Sklepikarz był najwyraźniej zdumiony jej ignorancją.

– Jedna z najrzadszych i najcenniejszych substancji w perfumiarstwie. Wydzielina wnętrzności wielorybów.

– Wielorybów? – Charlotte spojrzała na swoją dłoń i zmarszczyła nos. – Czy otwiera się im brzuchy, żeby ją uzyskać?

– Nie, nie. Wieloryby, widzi pani, wymiotują tym, a potem ambra pływa sobie po oceanie przez parę lat w kawałkach i twardnieje. – Zrobił falisty gest, jakby chciał bez słowa zobrazować ten proces. – A w końcu osiada na brzegu jako białawy albo szarawy kamyk. Ambra to skarb na wagę złota.

– Fascynujące – powiedziała.

Aż niedobrze się robi, pomyślała.

Miała zeschnięte i spłukane przez morze wymiociny wieloryba na nadgarstku. A gdyby chciała zabrać je do domu, musiałaby zapłacić – dyskretnie spojrzała na przywieszoną karteczkę z ceną – funta i osiem szylingów.

Niesamowite.

– Może pokaże mi pan inne pachnidło? Mające mniej wspólnego z morzem?

– Mam coś takiego. Idealnego dla młodej damy z dobrym gustem. – Sięgnął po elegancki flakonik z błękitnego szkła i zachęcił Charlotte, by podsunęła mu drugą rękę.

– A co pani sądzi o tej?

Uniosła dłoń do nosa, tym razem ostrożniej. Ciepły zapach podziałał jej na wyobraźnię.

– Och, ta mi się podoba.

– No chyba. Wszystkim młodym damom się podoba. Jest świeża jak trawa, prawda? To lipia i kwiat gardenii. Ale cały sekret kryje się w utrwalaczu. Kilka kropli kastoreum sprawia, że te słoneczne wonie utrzymują się długo i nie słabną.

– Tym razem nie chodzi o wieloryby?

– Bynajmniej. – I zachichotał.

Charlotte również się roześmiała.

– Och, jak to dobrze. Ulżyło mi.

– To się otrzymuje z bobrów.

Przestała się śmiać.

– Chyba pan nie mówi, że…

– Chodzi o wydzielinę z gruczołów kanadyjskich bobrów – powiedział, otwierając szeroko oczy z podniecenia. – Znajdują się pod ich ogonami. – Uniósł ręce, jakby znów chciał coś wymownie zobrazować. Kiedy traperzy już je wypatroszą…

Dzwonek przy drzwiach oznajmił, że nadchodzi nowy klient.

Charlotte nigdy jeszcze nie cieszyła się tak bardzo z przerwania czyichś wyjaśnień.

Sklepikarz uśmiechnął się wyrozumiale na widok entuzjastycznej zgody Charlotte i pomógł dwóm leciwym damom wybrać wodę toaletową.

Kiedy to robił, skorzystała ze sposobności, żeby pogrzebać w tacy z próbkami. Bóg jeden wie, jakie jeszcze zwierzęce wydzieliny mogły się tam znajdować. Nie odważyła się pytać. Jej żołądek by tego nie wytrzymał.

Po kilku minutach przejrzała całą tacę. Nie miała jednak szczęścia. Żadne z tych pachnideł nie przypominało bardzo charakterystycznej woni, jaka do niej dotarła przez zasłonę w bibliotece Parkhurst Manor.

– Ach, tu pani jest. Szukałem pani.

Słowa, choć wypowiedziane głębokim, znanym jej już głosem, sprawiły, że drgnęła zaskoczona. Odwróciła się gwałtownie, omal nie wywracając tacy.

– Nie słyszałam, jak pan wchodził.

– Nie spostrzegłem, że pani wyszła.

– Wszyscy wydawali się czymś zajęci, uznałam więc, że przyjdę tu, żeby coś kupić.

– Chyba raczej, żeby coś wywęszyć.

Charlotte postanowiła zmienić temat.

– Nie uwierzy pan, co to takiego. – Podsunęła mu pod nos uperfumowany nadgarstek. – Proszę mi powiedzieć, który zapach by pan wolał. Lilie z wymiocinami wieloryba czy melisę z wydzieliną spod bobrowego kupra?

Uśmiechnął się kątem ust, ujął jej prawą dłoń w swoją, nachylił głowę i mocno pociągnął nosem.

Potem zrobił to samo z jej lewym nadgarstkiem, nie spuszczając z niej wcale oczu. Odczuła coś bardzo intymnego i zmysłowego. Mimo że starsze damy gawędziły obok ze sprzedawcą – coś niemal gorszącego.

– No i co? – spytała. Zaschło jej nagle w ustach.

Nie wyswobodził jej rąk, tylko je opuścił niżej. Wsunął kciuki okryte skórzanymi rękawiczkami pod rozpięte mankiety jej własnych, przesuwając

nimi tam i z powrotem po nadgarstku Charlotte. Skóra prześlizgiwała się po jej nagim ciele. Puls jej przyspieszył tak mocno, że poczuła go w uszach.

Zrobiło się jej gorąco.

Przysunął się bliżej, tak że stali tuż przy sobie, i nachylił głowę, która znalazła się nad jej szyją.

Charlotte przez chwilę nie mogła złapać tchu.

– Myślę – mruknął – że wolę ten zapach.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Ależ ja nie używam żadnych perfum.

– Na pewno? – Uniósł dłoń ku jej włosom, odsunął starannie utrefione loki za ucho i odchylił głowę Charlotte, obnażając jej szyję. A potem znów głęboko wciągnął dech.

Wydając przy tym jakiś stłumiony dźwięk.

Męski dźwięk.

Zmysłowy.

Pełen satysfakcji.

O mało nie jęknęła.

– Starannie wyprasowana, wyschnięta na świeżym powietrzu bielizna. Lawenda i różana saszetka ze szkatułki. Czekolada wypita na śniadanie. A pod tym wszystkim ciepła skóra, wymyta jaśminowym mydłem. – Wyprostował się z powrotem. – Tak, to jest mój ulubiony zapach.

Poczuła skurcz mięśni wewnątrz swojego ciała.

Jak mu się udało tego dokonać? Ledwie musnął jej skórę. Niedaleko nich dwie starsze panie stały i targowały się o cenę wody kwiatowej. A mimo to Charlotte…

Była cała jak w ogniu. Bała się, że spłonie od niego i obróci się w popiół cały strój, który ma na sobie, zostawiając ją nagą i drżącą. Wydaną wszystkim na łup. Żaden flirt nie mógł się równać nawet setnej części tej potężnej siły.

Kochał się z nią wręcz jawnie w obecności innych osób. Tak to właśnie odczuwała. Jako coś zakazanego, podniecającego i niebezpiecznego.

No i zgoła niestosownego.

– Wybrała pani coś?

Otwarła oczy tak szeroko, jakby ich już nie miała wcale zamknąć.

Jak długo tutaj stała niby w hipnotycznym transie? Piers się oddalił. Stał tyłem do niej i przyglądał się rzędowi flaszek z wodą kolońską.

Co z niego za człowiek! Wiedziała, że nie pochwala jej śledztwa. Musiała to

być świadoma próba wytrącenia jej z równowagi.

I udała mu się natychmiast.

Odchrząknęła i skierowała wzrok na flakoniki z próbkami.

– Obawiam się, że żadna z nich nie jest tym, czego szukam. Miałam nadzieję, że znajdę coś wyjątkowego, co mogą nabyć tylko nieliczne kobiety. Czy na pewno nie ma pan czegoś innego?

– Dostałem coś nowego z Paryża. Tylko dwa flakony, a jeden już sprzedałem. – Przeszedł kilka kroków po sklepie i wrócił do niej, niosąc buteleczkę z przydymionego szkła, zatkaną pozłacanym koreczkiem.

Charlotte przypatrzyła się jej nieufnie, nim jeszcze ją powąchała.

– Co to takiego?

Uniósł brew dramatycznie.

– Namiętność.

– Ale co tam konkretnie jest? – spytała zniecierpliwiona.

– Maki, wanilia i czarna ambra.

– Czarna ambra? – Charlotte przygryzła wargę. – A co to takiego?

– Żywica, panienko. Z krzewów skalnej róży.

– Aha – powiedziała z ulgą. – To nie brzmi źle.

Przynajmniej nie chodziło tym razem o żadne zwierzęce pośladki.

– Uzyskuje się ją w bardzo szczególny sposób – i sprzedawca znów zaczął obrazowo gestykulować. – Koczowniczy pasterze z Ziemi Świętej otrzymują tę substancję, wyczesując brody i boki wypasanych przez siebie kozłów.

– Niesłychane!

Urwała, zastanawiając się, czy rzeczywiście chciałaby wąchać jakąś wodę toaletową z koźlej sierści, ale nie było już odwrotu. Może w ten sposób dojdzie, kim byli zagadkowi kochankowie.

Uniosła buteleczkę do nosa.

Rozpoznała zapach w jednej chwili, błyskawicznie, całkiem jakby znów się znalazła za aksamitnymi zasłonami w bibliotece, słysząc szepty i szelest tkanin. Niemalże usłyszała ponownie jęki i pomruki.

Poczuła, że Piers ją obejmuje. Opiekuńczo. Mocno.

– To właśnie ta woń – powiedziała, porzucając raptownie wspomnienia. – Czy nie przypomina sobie pan – spytała sprzedawcy – kto kupił tamten flakon? Jeśli to mają być moje ulubione perfumy, wolałabym wiedzieć, która z innych pań je nabyła. Poruszamy się bowiem wśród tych samych osób.

– Może znajdę to w moich… – sprzedawca nie dokończył zdania.

Piers stanął tuż koło niej przy ladzie i skinął krótko głową, a sklepikarz bez trudu pojął, że znaczy to: „Proszę szybko zapakować tę butelkę. Cena nie gra roli”.

Piers nie potrzebował słów, żeby go z miejsca zrozumiano.

Sklepikarz pospiesznie odparł, sięgając po monetę rzuconą przez Piersa na kontuar:

– Nie przypominam sobie nazwiska tej damy, panienko.

– Chwileczkę. – Charlotte nakryła dłonią monetę. – Nie może pan sprawdzić w rejestrze?

– Zapłaciła gotówką, nie prosiła, żebym jej zborgował. Nie będzie jej nazwiska w rejestrze.

Z westchnieniem cofnęła dłoń. Nie warto było nalegać. Dzięki temu, że Piers szybko mu zapłacił, sklepikarz nie dał jej szans. Nawet gdyby przypomniał sobie nazwisko damy, nigdy nie zdradziłby go teraz, bo oznaczałoby to gwarantowaną utratę sprzedaży.

Gdy obaj mężczyźni zakończyli transakcję, wstąpiła w nią nagle nadzieja. Nie mogła stąd wyjść bez żadnej informacji. Oznaczałoby to, że na darmo wąchała wydzieliny bobrów i wymiociny wieloryba, co było nie do zniesienia.

– Nie pamięta pan, jak wyglądała? Czy była stara, czy młoda? Czy ktoś jej towarzyszył?

– Po co tak natarczywie wypytywać, panno Highwood? – Piers wziął pakiet i położył Charlotte dłoń na ramieniu, popychając ją ku drzwiom.

– Wcale nie byłam natarczywa. Po prosu się o coś spytałam.

– Właśnie to pytanie wyraźnie świadczyło o natarczywości.

– A pańskie słowa – szepnęła – o wścibstwie.

– Miała ciemne włosy! – zawołał za nimi sprzedawca tonem, jakim przekupka zwraca się do kota, rzucając mu nędzny kąsek. – Chyba była brunetką. Innych szczegółów nie pamiętam.

Ciemne włosy.

To już było coś. Niewiele, ale coś.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do sklepikarza. – Jestem bardzo wdzięczna, że poświęcił mi pan tyle czasu.

– Nie podziękuje mi pani za perfumy? – spytał Piers, gdy wyszli ze sklepu.

– Dziękuję, że udaremnił pan moje próby odszukania zagadkowej pary kochanków.

– Zagadkowych rozpustników – poprawił ją.

– Widzi pan, jestem pewna, że on zna jej nazwisko, ale nie zaryzykował, bo nie chciał stracić zysku. A wtedy pan zaczął przeszkadzać mi w zadawaniu pytań.

– Spieszyło mi się.

– Przeszkodził mi pan. Proszę nie myśleć, że nie wiem, po co pan wąchał moją szyję i nadgarstki. Żebym się nie mogła skoncentrować.

– Należało się pani – odparł spokojnie. – Za to, że ja nie mogłem się skoncentrować.

Zatrzymała się i odwróciła ku niemu.

– Czy ani na chwilę nie może pan zrezygnować z tej nieznośnej perfekcji? Żeby choć przez moment nie dbać o honor i przyzwoitość. Może potem pan zrozumie, że chcę pana uratować.

– Nie jest pani w stanie tego zrobić.

– Owszem, jestem! Mogę uratować nas oboje przed całymi latami przygnębienia i kłótni. Nawet pan, który ma za nic miłość, nie może uważać takiego losu za idealne…

Stanęła nagle na ulicy jak wryta.

– Gdzie pański powóz? – spytała, rozglądając się wokoło, póki jej wzrok nie padł na witrynę sklepu z tekstyliami. – Gdzie się podziały Delia, Frances i moja matka?

– Musiały wrócić. – Spojrzał jej w oczy, chłodno i z powagą. – Właśnie dlatego pani szukałem. Miał miejsce pewien incydent.

8

*I*ncydent? O jakim incydencie pan mówi?

Podczas gdy Piers się w nią wpatrywał, zaczerwieniła się cała z gniewu. Podał jej ramię i przynajmniej raz nie sprzeciwiała się temu.

– Wyjaśnię wszystko – powiedział.

Poprowadził ją przez ulicę i placyk. A potem, spokojnie i beznamiętnie, opowiedział, co zaszło przez ostatnie pół godziny. Gdy pani Highwood dostrzegła po jakimś czasie, że córka oddaliła się od całej grupy, dostała w sklepie tekstylnym nagłych zawrotów głowy, których nie złagodziło ani energiczne wachlowanie, ani pełna współczucia pomoc.

– Pani matka uznała, że byłoby lepiej, gdyby siostry Parkhurst wróciły z nią zaraz do pałacu, a potem powóz przyjedzie po nas.

Charlotte pokiwała głową.

– No jasne, że im to podsunęła.

– Nie martwi się pani zbytnio o jej zdrowie?

– Nie trzeba. Gdyby istniał jakiś istotny powód do troski, od razu powiedziałby mi pan o tym w sklepie.

Szybko potrafiła się zorientować, o co chodzi w takich przypadkach.

Na Piersie zrobiły spore wrażenie jej pytania o szczegóły techniczne w sklepie z perfumami. Brakowało jej subtelności, ale miała wyczucie i była bystra.

Kiedy po raz pierwszy przedstawiła mu swój plan, nie zareagował przychylnie – lecz uznał go w głębi duszy za nieszkodliwy.

Ale kiedy zeszłej nocy wlazła do niego przez okno, zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że może jest inaczej.

Że gdyby zaniechał ostrożności, ktoś mógłby wskutek tego poważnie ucierpieć.

Zacisnęła dłoń w pięść.

– No i teraz pozostaniemy we dwoje bez przyzwoitki co najmniej przez następną godzinę. A Frances aż się skręca z ochoty, żeby narobić plotek. –

Odeszła od niego i siadła na ławce parkowej. – Nie wolno nam robić wrażenia flirtującej pary.

Usiadł obok niej.

– Nie mogę jednak zostawić pani zupełnie samej w obcym mieście.

– Niechże pan chociaż nie siedzi tuż obok. – Odsunęła się na kraniec ławki. – Ani mi się tak nie przypatruje. No i niech się pan więcej nie waży mnie wąchać!

– A może…

– Nie. – Zabębniła niecierpliwie palcami po ławce. – Atak nerwowy. Doprawdy, moja matka jest bezwstydna, a nawet gorzej niż bezwstydna.

– Wydaje mi się, że chce pani zapewnić bezpieczną przyszłość.

Charlotte znów pokiwała głową.

– Nadaje się do zamknięcia w zakładzie. Po prostu zbzikowała.

– Skądże.

– Mówię panu, że zbzikowała. Całkiem straciła rozum.

– Ależ nie – powtórzył jeszcze bardziej stanowczo. – Bynajmniej.

– Jestem tego świadoma, to w końcu moja matka.

– Owszem, ale nie przypomina wcale mojej własnej matki, która naprawdę postradała zmysły. Wiem zatem dobrze, co o tym sądzić.

– Och, Piers. – Przesunęła się bardziej ku środkowi ławki. – Co za okropność.

– Stało się tak bardzo dawno temu. Było i minęło.

– Mimo wszystko to straszne.

– Inni mieli gorzej.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Ale i tak mówimy o czymś strasznym. Nieważne, kim pan jest ani to, ile czasu upłynęło od tamtej pory. Proszę nie udawać, że jest pan człowiekiem nieczułym. Nie wspomniałby pan o tym, gdyby nie przyczyniało mu to bólu. Co się stało?

Ograniczył się do najprostszych faktów.

– Zawsze była niezrównoważona, odkąd mogę sobie przypomnieć. Gwałtowne wybuchy przeplatały się z całymi tygodniami melancholii. Po wielu latach cierpień zmarła we śnie.

Charlotte wsunęła mu ramię pod rękę i cicho westchnęła.

– Miała łagodną śmierć – powiedział.

Może i tak, ale po latach cierpień. Jej słowa nękały go dotąd.

„Nie mogę. Nie mogę tego znieść”.

– Musiał to być okropny wstrząs.

Zacisnął usta.

– Nie dla każdego. Mój brat był zbyt mały, żeby wszystko zrozumieć, a rodziny takie jak nasza nie mówią o podobnych rzeczach. Sam zresztą nie wiem, dlaczego teraz o tym powiedziałem.

Nigdy o tym nie mówił. Nikomu.

– Wiem, dlaczego. Chciał pan mnie skarcić, i podziałało. Mówiłam wciąż o mojej mamie, nie dbając o pańskie uczucia. Jakby było najgorszym brzemieniem mieć matkę, która się o mnie troszczy. Musiał pan uznać, że jestem bez serca. – Ścisnęła go za ramię. – Przepraszam.

– Skąd mogła pani wiedzieć.

– Ale teraz wiem i jest mi przykro. Naprawdę.

I rzeczywiście było jej przykro. Wyczuł to w jej głosie. Żałowała, że utracił matkę, a także tego, że niechcący go uraziła. Ale nie usprawiedliwiała się i unikała ckliwej, melodramatycznej przesady.

Ciekaw był, czy zdawała sobie sprawę, jak rzadki jest jej talent do szczerych, zwykłych przeprosin. Tej dyplomatycznej umiejętności sam nigdy nie zdołał opanować.

Na wszystko reagowała otwarcie, a on doznał już ostatnio dosyć rozczarowań.

A te jej różane wargi i jasne włosy…

Nigdy jeszcze nie czuł równie ostrej pokusy.

Gdy siedzieli bez słowa, gładziła go lekko palcami po rękawie, niszcząc to, co jeszcze zostało z jego samokontroli. Każdy z jej ruchów wnikał w niego głęboko, a ich wzajemny kontakt nabierał coraz większej intensywności.

Nie potrafił zaprzestać śledzenia rytmu jej oddechu, pulsu, który wyczuwał ramieniem. Ciepła jej ciała. Jej zapachu.

Powiódł czubkiem buta po żwirze ścieżki. Czemu powóz tak długo nie wraca? Nie ma go chyba od godziny czy nawet dwóch.

Piers mógł znieść różne rodzaje tortur, ale godzina akurat tej gotowa była go złamać.

W każdej chwili mógł stracić panowanie nad sobą. Nawet na ławce gotów byłby porwać ją w ramiona, objąć uściskiem. Zanurzyć dłonie w rozsłonecznioną gęstwę włosów, zmierzwić je gwałtownie, zagarnąć ją całą uściskiem.

I trzymać mocno. I nie puścić.

Dobry Boże, co się z nim dzieje?

Weź się w karby, człowieku.

Odchrząknął.

– Może pójdziemy na zakupy? Co mam kupić pani? Czepek albo jakiś inny fatałaszek?

– Coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Charlotte bez sprzeciwu poszła za nim do gospody, gdzie obydwoje zjedli stek i placek z cynaderkami. Piers zamówił dla siebie piwo, a lemoniadę dla niej. Przez jakiś czas oboje zgodnie uznali, że jedzenie jest lepsze od rozmowy.

Kiedy już nie była głodna, wyjęła z kieszeni listę podejrzanych. Po przykrej rozmowie o matce Piers będzie bez wątpienia wolał inny temat. Ona zaś była mocniej niż kiedykolwiek przeświadczona, że Piers potrzebuje miłości, choć się przed nią broni.

Zaczęła od pierwszych pięciu nazwisk, eliminując je kolejno. Teraz chodziło już tylko o to, żeby przyporządkować pozostałym następujące cechy:

obecność na balu

inicjał C

pełną figurę

Dodała do tej listy jeszcze jeden punkt:

ciemne włosy

Spojrzała na kartkę.

– Och, niech to licho.

– Wciąż mamy więcej niż jedną podejrzaną?

– Gorzej. Żadna nie pasuje. Lady Canby jest chuda jak tyczka. Cathy nie miała sposobności, a ja wykluczyłam już Caroline Fairchild. Zostają tylko Cross – pokojówka – i pani Charlesbridge. Żadna z nich nie ma ciemnych włosów. – Potarła nos. – Może ten sklepikarz nas okłamał?

– Już chyba raczej pominęła pani kogoś lub nawet parę osób, z pierwotnej listy.

– Może.

Charlotte była przygnębiona, ale nie poddawała się.

– Muszę jeszcze pomyśleć, a wtedy znajdę odpowiedź. – Wbiła widelec w ciasto cytrynowe. – Czemu nie opowie pan o swoim psie?

– Nie mam psa.

– Tutaj nie, ale gdzie indziej musi pan przecież jakiegoś mieć. Każdy dżentelmen ma psa.

– To był buldog. Wabił się Ellingworth. Dostałem go jako szczenię, jak byłem

na uniwersytecie. Podczas mych pobytów za granicą zajmowali się nim ojciec lub brat. Kiedy wreszcie wróciłem z Wiednia, był już bardzo stary, ale mnie poznał. Dbaliśmy o niego bardzo, jednak nie żyje od roku.

Coś w jego spojrzeniu powiedziało jej, żeby nie wypytywać go dokładniej.

Odkaszlnął.

– Teraz pani kolej.

– Moja? Ja nigdy nie miałam psa.

– W takim razie niech pani mówi o swojej rodzinie.

– Nie ma tu wiele do powiedzenia. Zna pan już moją matkę. – Dźgnęła widelcem w ciasto. – Nie pamiętam ojca. Umarł, kiedy byłam małym dzieckiem. Majątek przeszedł na kuzyna. Matka wyszła za mąż młodo i owdowiała wcześnie. Miała trzy córki do wychowania i wydania za mąż. Pewnie te troski odcisnęły na niej swoje piętno.

– Czemu szwagrowie pani nie pomogą? Przynajmniej oferując jej gościnę.

– Colin i Aaron? – Wzruszyła ramionami. – Ubóstwiam ich, ale obaj dopiero co zostali ojcami i radują się szczęściem małżeńskim. Nie chciałam, żeby matka zwaliła się im teraz na głowę.

– Czy wiedzą, jak fatalnie panią potraktowano na sezonie?

– Ma pan na myśli tę bzdurną Zdesperowaną Debiutantkę? – potrząsnęła głową w geście przeczenia. – Nie sądzę.

– A pani im o tym nie powiedziała?

– Nie chciałam, żeby mieli wyrzuty sumienia.

– Ale przecież są za panią odpowiedzialni. To w końcu szwagrowie.

– Nie zależy mi na takiej odpowiedzialności. – Przygryzła wargę z wahaniem. – Nie chcę, żeby czuli się odpowiedzialni za moje upokorzenie.

– Aha. Bo do ich własnych małżeństw doszło w dość specyficznych okolicznościach?

– Minerva to nieśmiała gąska. I mól książkowy. Ostatnia kobieta, która, jak sądzono, dałaby się uprowadzić przez czarującego hultaja. O ich małżeństwie zawsze krążyły plotki. A z Aarona jest najlepszy człowiek na świecie, ale to kowal. Wiedział, że zaszkodzi moim szansom na korzystne zamążpójście, kiedy ożeni się z Dianą. Właśnie dlatego najpierw mnie poprosił o pozwolenie.

– Panią? O pozwolenie? Kiedy miała pani… ile… piętnaście lat?

– Chyba szesnaście.

– I udzieliła go pani?

– Oczywiście, z wielką chęcią. Cieszę się ogromnie z jego związku z Dianą,

podobnie jak z małżeństwa Minervy i Colina.

– Ale ich szczęście sprawiło, że trudniej pani osiągnąć własne.

Wsparła łokieć na stole, a potem podbródek na dłoni.

– Przeciwnie, uważam, że ich zawarte z miłości małżeństwa to najlepsza rzecz, jaka mogła się im zdarzyć. Dzięki temu uwierzyłam, że i ja mogę znaleźć miłość. A jeśli okoliczności, w jakich ich małżeństwa zostały zawarte, mogą odstręczać potencjalnych wielbicieli… to również będzie dla mnie z korzyścią. Nie muszę marnować czasu na mężczyzn, którzy łatwo się zniechęcają.

Przypatrywał się Charlotte z uwagą.

Dostrzegł w jej oczach coś innego poza beznamiętnym, trzeźwym sądem. Jakby cień bezwzględności.

– O czym pan myśli?

– Próbuję osądzić, czy pani naprawdę wierzy w to, co mi powiedziała, czy też próbuje się tylko pocieszyć, czekając za palmą w donicy na kolejnego kadryla.

Zaskoczyło ją to całkowicie.

Owszem, były takie chwile, kiedy stała, zagubiona w tłumie, i w haniebny, niewybaczalny sposób litowała się nad sobą ku własnemu zawstydzeniu.

– Kiedy pani zostanie markizą – rzekł, pociągając od niechcenia łyk piwa – nadejdzie chwila odwetu. Już im pani wtedy pokaże.

Musiał to być jego sekret, dzięki któremu potrafił naginać królów i despotów do swojej woli. Przeniknąć ich na wskroś i wyzyskać ich daremne marzenia jako środek nacisku.

Najbardziej niebezpieczną bronią jest ta, która trafia prosto w serce.

– Myli się pan.

Odstawił kufelek.

– Czyżby?

– Pański plan ma jeden słaby punkt. Jeśli zostanę markizą, przekonam tylko dobre towarzystwo, że jestem właśnie tym, za co mnie uważają. Bezwstydną intrygantką, gotową na wszelkie poniżenie, byle tylko zdobyć zamożnego męża z dobrą pozycją. Chyba że…

– Chyba że co?

– Chyba że ten markiz zakocha się we mnie szaleńczo, nieprzytomnie i jawnie.

Zakrztusił się swoim piwem.

Charlotte uniosła brwi. Potrafiła być bezwzględna. Ona również.

Nie potrzebowała, by przyszła jej w sukurs rodzina lub Piers. Gdy tylko

rozszyfruje, kim są zagadkowi kochankowie, przekona i matkę, i sir Vernona, że Piers nie ponosi tu żadnej odpowiedzialności. A podczas następnego sezonu będzie już zwiedzać kontynentalną Europę razem z Delią. Londyn będzie musiał sobie więc znaleźć nową ofiarę, żeby się z niej do woli wyśmiewać. Kiedy zaś wróci, z doświadczeniem i szerszymi horyzontami, będzie jej wolno poślubić, kogo zechce, albo czekać na kogoś takiego.

Nagle najpotężniejsze łapsko, jakie w życiu widziała, łupnęło Piersa w ramię, tak że aż podskoczyła z wrażenia.

Potężna łapa należała do równie potężnego mężczyzny o szerokich ramionach i ciemnych, falistych włosach.

– Piers, czy to ty?

Piers odsunął stół i wstał.

– Rafe!

Obydwaj uściskali się gorąco, nim wyjaśnili Charlotte, kim jest przybysz.

Zupełnie jakby tego potrzebowała. Cała Anglia wiedziała, jak się nazywa i jaką ma reputację.

– Panno Charlotte Highwood, przedstawiam pani lorda Rafe'a Brandona. Mojego brata.

Wyciągnęła ku niemu dłoń, a barczysty gigant nachylił się nad nią, nim przysunął sobie krzesło i dosiadł się do nich.

Sposób bycia miał tak bezpośredni i naturalny, jak Piers był powściągliwy i do przesady przyzwoity.

– Mam nadzieję, że to piwo Czempiona – powiedział, mierząc palcem w kufelek Piersa.

– Jak zawsze. – Piers wydawał się urażony kwestionowaniem jego lojalności. – Czy zjawiłeś się tutaj, żeby wyrównać z kimś rachunki?

– Szukam miejsca na regionalny browar. Clio koniecznie chce rozwinąć działalność bardziej na północ. – Rafe skinął na dziewczynę z gospody, żeby przyniosła trunki.

– Mam nadzieję, że dobrze się miewa?

– O, tak. Choć pracuje o wiele ciężej, niżby mi się podobało.

Charlotte była zdumiona tym, z jaką naturalnością obydwaj mówią o byłej narzeczonej Piersa, którą poślubił lord Rafe. A Piers wcale nie wyglądał na kogoś, kto ma do nich o to pretensję.

– Świetnie się składa, że cię tu znalazłem – lord Rafe odchylił się do tyłu w krześle. – Zabawne, jak często interesy sprawiają, że obaj się spotykamy.

– Och, lord Granville nie przyjechał tu wcale w interesach – powiedziała.

Lord Rafe z rozbawieniem przeniósł wzrok na Piersa.

– A więc dla własnej satysfakcji?

Zaczerwieniła się.

– Nie to miałam na myśli. Jesteśmy obydwoje przez najbliższe dwa tygodnie gośćmi sir Vernona Parkhursta. Lord Granville był tak uprzejmy, by zawieźć damy do miasta na zakupy, ale zdarzył się pewien incydent i musieliśmy podzielić się na dwie grupy, żeby wrócić do domu.

– Incydent, mówi pani? – Rafe ujął przyniesiony mu kufelek i wypił połowę jego zawartości jednym haustem. – Wiem, że memu bratu często zdarzają się różne incydenty.

– Nieważne – odparła – bo mojej matce zdarzają się one dwa razy częściej! Lord Granville może to poświadczyć.

Piers wzruszył ramionami.

– Pani Highwood uważa, że jej córka zasługuje na admirację ze strony wysoko postawionych dżentelmenów. No i ma rację.

Charlotte odłożyła z uśmiechem widelec.

– Doprawdy, dlaczego bierze pan jej stronę?

– Przepraszam, sądziłem, że biorę pani stronę.

Charlotte zarumieniła się nieco i odwróciła wzrok. Lord Rafe odchrząknął:

– No, dobrze.

– Wróć razem z nami na obiad – powiedział Piers. – Sir Vernon ucieszy się, że może cię spotkać, a ma syna, któremu potrzeba nieco rozrywki.

Charlotte wątpiła, by Piers zapraszał lorda Rafe’a ze względu na sir Vernona lub Edmunda. Mógł być człowiekiem powściągliwym, ale nie potrafił ukryć serdeczności względem brata. Ucieszyło ją, że znał przynajmniej to uczucie. Skoro stracił rodziców, narzeczoną, a nawet psa, potrzebował tego.

– Chyba nie będę mógł – odparł Rafe. – Obiecałem, że zacznę zbierać się do powrotu dzisiejszego popołudnia.

Bracia gawędzili jeszcze ze sobą przez chwilę, opowiadając sobie wzajem o swoich domach i interesach. Piers poszedł uregulować rachunek.

Kiedy zostali sami, Rafe zwrócił się ku Charlotte i poufale zniżył głos.

– Proszę mi wybaczyć, że opuszczam was tak szybko, ale chodzi tu nie tylko o mój browar. Moja żona wkrótce sprawi, że rodzina się nam powiększy, ujmując to jak najdelikatniej.

– Ależ to wspaniale. Proszę przyjąć gratulacje.

– Mam nadzieję, że może niedługo zrobi to pani osobiście.

– Och, wątpię, bym miała tę satysfakcję.

Zaśmiał się nad kuflem.

– A ja bynajmniej!

O Boże. To była nieprzewidziana komplikacja. Charlotte miała nadzieję, że szybko skończy z zagadkowymi kochankami i zdusi w zarodku wszelkie plotki. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, był własny brat Piersa rozsiewający pogłoski o ich przyszłych zaręczynach.

– Czy Piers… (Och, do licha!) Czy lord Granville coś mówił? Chyba nie dał panu do zrozumienia, że…

– Ależ nic poza tym, że akurat jadł lunch z panią w Nottingham w tym samym czasie, kiedy byłem tu przejazdem. Chyba był jednak rad, że się oboje poznaliśmy.

Nie posiadając się ze złości, wyszeptała:

– Lordzie Rafe, proszę nie udawać, że pan nie zrozumiał. To był…

– Incydent.

– Tak. To tylko przypadkowy incydent.

– Gdyby pani znała mego brata, a wydaje mi się, że tak właśnie jest, zrozumiałaby to pani. – Uniósł brew. – Piersowi nie zdarzają się żadne incydenty.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Widziałem, jak na panią patrzył. Na Boga, całkiem jakby sobie z pani żartował. A on tego nie robi.

Dziwne, że tak powiedział. Piers sobie z niej przecież żartował od pierwszego spotkania. A cóż miał na myśli, mówiąc, że to wcale nie incydent?

– On panią lubi – powiedział lord Rafe.

– Nie, nie lubi.

– A więc kocha?

Nie!

Charlotte nie miała czasu na dalszą sprzeczkę, bo Piers wrócił po zapłaceniu rachunku.

Nie usiadł jednak ponownie przy stole, tylko pomógł jej wstać.

– Panno Highwood, chyba zbliża się już nas powóz.

– A mój dyliżans też zaraz odjeżdża – i lord Rafe znów klepnął brata po ramieniu, spoglądając przelotnie na Charlotte. – Przywieź ją ze sobą do zamku, kiedy będziesz mógł znaleźć na to czas. Mamy tam mnóstwo wolnego miejsca.

9

Kiedy Piers pożegnał się z bratem i wyszli z gospody, miał nadzieję, że Charlotte przestanie go nękać pytaniami.

– Wyjaśnijmy sobie jedno – powiedziała. – Co jest tym pańskim wielkim sekretem?

Wpatrzył się w bruk, żeby ukryć prawdziwą przyczynę swego potknięcia.

– Sekret? Co każe pani myśleć, że mam jakiś sekret?

– To, że akurat teraz spotkał się pan z lordem Rafe.

Zaklął w duchu. Rafe był jednym z niewielu ludzi, którzy znali prawdziwą rolę, jaką odgrywał w Foreign Office, a i tak unikali w rozmowach wszelkich konkretnych szczegółów. Jeśli Rafe cokolwiek jej zdradził…

– Czy Rafe coś pani powiedział?

– Nic konkretnego, jeśli to pana niepokoi. Tylko sposób, w jaki mnie traktował… Jakbym była najnowszym członkiem ekskluzywnego klubu, który rozumie, kim naprawdę jest Piers Brandon. Co więc znaczy ten poufny uścisk dłoni? Czego pan mi nie chce zdradzić?

Dobry Boże. Czegóż on narobił, wikłając się w znajomość z tą kobietą? Wszystko było dla niej zagadką wymagającą rozwiązania. A tymczasem gdy tylko znajdował się blisko niej, cała jego przenikliwość i umiejętność maskowania się brały w łeb. Już jej zdradził stare rodzinne sekrety. Pozwolił, żeby mierzwiła mu włosy. Wciągnął ją za okienne zasłony i trzymał mocno.

Gdyby była obcym agentem, problem byłby o wiele łatwiejszy do rozwiązania. Nie potrzebowałby się z nią żenić. Mógłby ją uwięzić, zabić albo wygnać na Korsykę. Być może ten ostatni sposób byłby najlepszy. Tylko że Nottinghamshire nie miało dostępu do morza.

– Musiało to mieć coś wspólnego z pańskim pobytem za granicą – mruknęła w zamyśleniu.

– Pracowałem jako dyplomata dla Foreign Office. O tym już pani wie.

– Od jakiegoś czasu się nad tym zastanawiam. Wiem, że musiało chodzić o

coś więcej. Jakiż dyplomata umie otwierać zamki i całuje się niczym rozpustnik?

– Najwyraźniej taki jak ja.

Westchnęła ostentacyjnie.

– Jeśli mi pan nie chce powiedzieć, będę zmuszona się domyślać.

Nie powiedział ani słowa, co uznała za zachętę.

– Zastanówmy się tylko. Bywał pan w domach gry wiedeńskiego półświatka. Połowa Habsburgów zawdzięcza panu swoje fortuny.

– Nie obchodzą mnie cudze fortuny. Mam własną.

– W takim razie chodzi o włamania.

Odrzucił i tę sugestię.

– Jeszcze mniej mnie obchodzą drobne kradzieże.

– Nie nazwałabym tego drobnymi kradzieżami. Mogła to być jakaś bardzo znacząca kradzież mająca szlachetną przyczynę. No, na przykład odzyskanie bezcennych dzieł sztuki z siedzib francuskich arystokratów, co uratowałoby je przed zniszczeniem przez rewolucjonistów.

– Znów niewłaściwy domysł.

– Jeśli więc nie sztuka, to może… sekrety? Ach, już mam! Był pan międzynarodowym agentem wypełniającym ryzykowne misje, udaremniał pan groźne spiski pod płaszczykiem kariery dyplomatycznej.

– Niech pani przestanie pleść głupstwa.

Zatrzymała się gwałtownie.

– Och, Boże. Już mam!

– Co?

– Ach, trafiłam! O to więc chodzi. Jest pan szpiegiem!

Uniosła wysoko brwi i zakryła usta dłonią, chcąc stłumić okrzyk.

A niech to diabli.

Ujął ją za łokieć i zepchnął z ulicy w mroczny zakamarek.

– Przecież pani mówiłem. Nie jestem…

– Niechże pan nie kłamie. Już wiem, co mi o tym powiedziało. – Uniosła dłoń ku jego twarzy. – Pańska lewa brew drgająca co chwilę.

– Tylko że ja – odezwał się, całą siłą woli ignorując jej dotknięcie – nie jestem wcale byłym międzynarodowym szpiegiem. Czy o tym drgająca brew też pani powiedziała?

– Nie – odparła rozczarowana.

Piers odetchnął z ulgą.

– A zatem w porządku.

– Nie jest pan więc byłym szpiegiem. – Ale po krótkiej pauzie wciągnęła gwałtownie dech. – Tylko wciąż czynnym.

Jezu Chryste.

Szturchnęła go lekko w ramię.

– Och, to znakomicie. A wszyscy myślą, że jest pan tylko nudnym, nadętym, do przesady przyzwoitym lordem! Nic dziwnego, że pański brat wyglądał jak kot, co sperkę zjadł. Piers, to po prostu niesłychane!

Niesłychane?

Stanowczo nie. To był poważny kłopot. No i całkiem prawdopodobnie, także koniec jego kariery.

A przedtem był w niej taki dobry. Hm, czy naprawdę?

Miała naiwne, fantazyjne wyobrażenie o szpiegostwie, które kojarzyło się jej z piciem mocnych trunków i krążeniem po domach gry. Gdyby znała brutalną prawdę, pożałowałaby swych dociekań.

Ujął ją za ramiona i potrząsnął.

– Proszę się pozbyć bzdurnych domysłów. Prawda wygląda właśnie tak: jestem nudnym, nadętym, nieznośnie wręcz przyzwoitym lordem. Nie wypełniam żadnych niebezpiecznych misji ani nie mam na sumieniu budzących grozę wyczynów. A już stanowczo nie jestem szpie…

Urwał. I wepchnął Charlotte za siebie.

Jakiś opryszek wychynął z cienia i sięgnął jedną ręką po jej zawieszoną na ręce torebkę, wywijając trzymanym w drugiej nożem o zabrudzonej czymś klindze.

Przydały mu się teraz lata ćwiczeń.

Piers lewą ręką złapał rzezimieszka za dłoń, unieruchamiając ją, a prawym łokciem rąbnął go po niej – nie aż tak silnie, żeby ją złamać, choć nędznik zasłużył sobie na to.

Kiedy zaś nóż z brzękiem padł na ziemię, kopnął go błyskawicznie w brzuch i pchnął do rynsztoka.

W kilka sekund było po wszystkim. A gdy napastnik leżał już zgięty wpół i jęczał, Piers poprawił tylko rękawiczki.

Charlotte otwarła szeroko oczy, patrząc to na rzezimieszka, to na niego.

– Co pan takiego powiedział?

Powinna była przewidzieć, jak Piers zareaguje na odkrycie przez nią jego

tajemnicy.

Z całą pewnością niedobrze.

Nie mówiąc nic więcej, pchnął ją energicznie ku czekającemu powozowi i niemal siłą wcisnął ją do niego.

– W porządku – zapewniła go, kiedy pojazd ruszył i byli już w nim sami. – Obiecuję, że nikomu nic nie powiem.

Nie patrzył na nią.

– Nie ma tu nic do gadania, komukolwiek.

– Trudno mi wprost uwierzyć, że nie domyśliłam się wcześniej. Powinnam była to zrobić już po ujrzeniu specjalnego pistoletu od Fincha. Albo od otwarcia zamku szpilką od krawata.

– Każdą szpilką można otworzyć taki zamek.

– Czy ma pan jakieś inne szpiegowskie narzędzia? – spytała, rozglądając się po wnętrzu pojazdu. – Fałszywe lusterka? Specjalne naboje, które mogą przestrzelić drzwi na wylot? Och, idę też o zakład, że pod siedzeniem jest tu skrytka.

– Każdy powóz ma taką skrytkę.

– Czy ukrywa pan szpiegowskie szyfry za wstążką kapelusza? Och, a ta laska? – Sięgnęła ku laseczce spacerowej leżącej z tyłu. – Mężczyzna w kwiecie wieku nie potrzebuje jej wcale. Założę się, że to w istocie szpada albo strzelba, jeśli się tylko wie, jak ją otworzyć – uznała, machnąwszy nią kilka razy w powietrzu.

Wyszarpnął jej z ręki laskę i odłożył na bok.

– To zwykła laska, nic więcej.

– Ale jako agent Korony musi pan mieć przy sobie jakąś niesłychaną, śmiercionośną broń.

– Skoro już o tym mowa… – Złapał ją wpół i przycisnął do siebie, mrucząc uwodzicielsko:

– To wcale nie pistolet w mojej kieszeni.

Roześmiała się. Jakże on przedtem mógł ukryć przed nią ten swój przewrotny, niebezpieczny urok?

Jej ironia nie wzięła się znikąd. Nie należało się tak skwapliwie starać, by odkryć jego tajemnicę, bo zwiększyło to niesłychanie jego atrakcyjność i mógł się jej jeszcze bardziej podobać. Nie tylko chwilami, ale bez większych przerw.

Od tego był zaś tylko krok do przyjaźni. A jeszcze bliżej do przywiązania… lub czegoś jeszcze gorszego.

Och, niech to licho. Czemuż była taka ciekawska?

Nie można już tego cofnąć.

Nie rozszyfrowała go co prawda całkowicie, ale miała już dość dużo danych, by zrozumieć jedno: Piers Brandon był kimś bardziej złożonym niż sobie w najśmielszych rojeniach wyobrażała. Ani trochę nie przypominał kogoś nieznośnie wręcz przyzwoitego.

Tylko idealnie podniecającego.

– Czy ma pan jakąś misję do spełnienia w Nottinghamshire? Dlatego wymknął się pan do biblioteki? – Stuknęła się w czoło. – No oczywiście! Wszystko teraz pasuje do siebie. Nie może pan zdradzić swego zadania. Dlatego upierał się pan przy zaręczynach. Nikt nie jest na tyle człowiekiem honoru, a ja wiedziałam, że nie mogę się panu zbytnio spodobać.

– Proszę posłuchać. – Ujął ją za podbródek, tak żeby nie mogła odwrócić wzroku. – Niemal wszystkie te domysły są błędne, ale nie ten ostatni. Rzeczywiście to jest coś całkiem innego.

– Naprawdę?

Pokręcił głową. Powiódł kciukiem po jej wargach.

– Nie sposób tego opisać. To raczej przypomina… obsesję. Zachwyt. A może przekleństwo. Jest pani małą jasnowłosą czarownicą, która rzuciła na mnie urok, a ja nie potrafię się od niego uwolnić, nie mogę spać ani myśleć o czymś innym niż o słuchaniu pani śmiechu, trzymaniu jej w objęciach i rojeniu, żeby zobaczyć ją nagą w moim łóżku. Czy pani to rozumie, Charlotte?

Skinęła głową bez tchu. A jego lewa brew ani nie drgnęła.

Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej rosło w niej podniecenie. A więc w tę grę grali przez cały dzień… dlatego poczuła na sobie jego dłonie w zajeździe i oddech tuż przy uchu w sklepie z perfumami.

– Co pan zamierza zrobić, agencie Brandon? – wyszeptała. – Całować mnie tak długo i mocno, żebym zapomniała, kim pan jest?

– Nie. – Dotknął lekko tyłu jej głowy i wsunął palce w jej włosy tak mocno, że aż jej zabrakło tchu. – Zamierzam całować cię tak długo i mocno, żebyś ty zapomniała, kim jesteś.

Poczuła jego wargi na swoich, a tym razem nie były to lekkie, łagodne pocałunki jak poprzednio. Brał jej usta w posiadanie, igrał z jej językiem, wsuwając głęboko swój własny.

Chwyciła go z całej siły za szyję, usiłując dotrzymać mu kroku.

Nachylił się niżej, żeby całować jej szyję, ucho, policzek. Zachwyciła ją

skwapliwość tych pocałunków, siła, z jaką zdawał się jej pragnąć.

A może nawet pożądać!

Podniecenie ogarnęło ją całą, kazało jej lgnąć do niego zachłannie. A im bardziej próbował ją całą zagarnąć, tym bardziej niezależną się czuła.

Dawał jej siłę, a ona chciała czynić z niej użytek. Przedłożyła namiętność nad przyzwoitość, świadomość nad niewinność.

Gładził jej piersi przez spencerek i suknię, sprawiając, że spalało ją pożądanie. Nie mogła się nim nasycić. Pragnęła czuć dotyk jego dłoni na swojej skórze, żeby ulżył napięciu w jej piersiach. Było to doznanie tak silne i naglące, że zdumiewało ją, jak mogła istnieć przedtem bez jego dotyku.

Nie czuła żadnego wstydu, ale nie chciała prosić go o więcej.

– Błagam cię – wyszeptała, wyginając grzbiet tak mocno, by jej piersi mogły znaleźć się w jego stulonych dłoniach; miała nadzieję, że to jej wystarczy. – Błagam.

Błagam, dotknij mnie. Wiesz, czego mi trzeba.

Gdy się całowali, palce jednej z jego dłoni rozpięły, jeden po drugim, guziki spencerka. A jednocześnie druga sunęła w górę, wzdłuż jej kręgosłupa, odnajdując haftki z tyłu jej sukni. Rozbierał ją z dwóch stron jednocześnie. Doprawdy, miał niezwykłe zdolności manualne.

Ciało jej z radością czekało na to, co miało nadejść. Kiedy już poradził sobie z jej wierzchnim odzieniem, wsunął pod nie dłonie, końcami palców odnajdując brzeg dekoltu. Odgarnął falbanę z tiulu, osłaniającą go dla skromności, wcisnął pod spód dwa palce i dotarł do ramienia, a potem rozluźnił gorset i ściągnął rękaw, obnażając pierś.

Przerwał pocałunek i wpatrzył się w nagą półkulę. Resztki skromności jeszcze się w niej tliły, ale zniknęły wśród gwałtownego bicia serca.

Sutek zesztywniał pod wpływem wieczornego chłodu, a ona czuła się tak, jakby całe jej ciało skoncentrowało się w tym jednym, ogarniętym dotkliwym pragnieniem miejscu.

Błagam.

Błagam, błagam, błagam.

Pierwsze dotknięcie kciukiem było lekkie, powierzchowne. Prawie jak muśnięcie piórkiem, Jakby je sobie tylko wyobraziła. Zataczał nim oszałamiające kręgi wokół sutka, nachylając głowę, żeby przyjrzeć się jej pod nieco innym kątem. Jakby była czymś w rodzaju mechanizmu zegarka, a on chciał się przekonać, jak ów mechanizm działa.

A wreszcie, na koniec, nakrył sutek kciukiem i nacisnął go. Przeszył ją gwałtownie prąd rozkoszy. Odebrało jej dech. Było to i lepsze, i gorsze. A także cudowne.

Znowu ją pocałował, a podczas gdy uczył jej własne ciało jakby nowego, zmysłowego tańca, kręcił spęczniałym sutkiem, trzymając go pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

Przylgnęła do niego, wpijając się mu paznokciami w kark. Jakiś głuchy puls zaczął nagle tętnić rytmicznie w jej lędźwiach. Uniosła się i zwarła uda, żeby to ułatwić. A wtedy poczuła jego rosnącą erekcję.

Jęknął cicho podczas pocałunku.

Ten gardłowy dźwięk wzbudził w niej coś dzikiego. Był szczery, żywiołowy, przejmujący. Poruszyła ją świadomość, że może mieć władzę nad tym władczym mężczyzną.

Spojrzeli na siebie, ciężko dysząc.

– Zapomniałam o twojej tożsamości – szepnęła, nadal poruszając palcami wśród jego włosów – ale nie o mojej.

Przełknął z trudem ślinę. Zacisnął mocno dłonie na jej biodrach.

– Jesteś Piersem Brandonem, markizem Granville, dyplomatą i szpiegiem w służbie Korony. – Powiodła końcem palca po jego nosie o szlachetnym zarysie. – A ja jestem Char…

Błyskawicznym i mocnym ruchem przewrócił ją na wznak i przygniótł całym ciałem do pikowanej tapicerki.

– A ty będziesz lady Charlotte Brandon, markizą Granville, żoną dyplomaty i matką mojego syna.

Już miała się z nim spierać, ale wtedy jego wargi objęły jej sutek, a ona nie była już w stanie ani mówić, ani myśleć.

Razem z mową i myślą straciła zaś wszelką chęć oporu.

– Będziesz moją – mruknął. – Daję ci słowo, Charlotte. Uczynię cię moją.

Moją.

Moją, moją, moją.

To jedno słowo bez końca krążyło jej w głowie.

Piers zataczał bez końca językiem kręgi wokół jej zesztywniałego, ciemnoróżowego sutka.

Poruszała się pod nim i wzdychała. Zapomniała o wszystkim innym. Delektował się tym wyraźnie.

Zamierzał pokazać jej, kto tu rządzi. Czyje sekrety zostały odkryte.

Szarpnął za jej odzienie, chcąc obnażyć jeszcze większą partię jej ciała, dla swego dotyku i ust. Gdy gwałtownie pociągnął za suknię, usłyszał, że się rozdziera. Zamarł bez ruchu, sądząc, że ten dźwięk ją przerazi albo przynajmniej pomoże jej ochłonąć.

Ale ona przekręciła się tylko na bok, żeby mu ułatwić to, co chciał zrobić.

Pomagała mu.

Kiedy już suknia osunęła się w dół, odsłaniając jej przejrzystą, skromną bieliznę, objęła go skwapliwie miękkimi, delikatnymi ramionami, wyginając się całym ciałem ku niemu.

Wargi jej dotknęły jego szyi.

Kiedy właściwie rozluźnił się jego halsztuk?

Dobry Boże. Dobry Boże.

Dumny był ze swego opanowania i powściągliwości. Z władzy nad własnymi emocjami i reakcjami. Zależało nieraz od tego czyjeś życie, a on nigdy nie dopuszczał, by jego uczucia wymknęły mu się spod kontroli.

Lecz teraz pojawiła się w jego życiu Charlotte Highwood, wraz z krańcowo absurdalnym oświadczeniem.

„Przyszłam tu, żeby pana uratować”.

Niesłychane. Była najbardziej niebezpieczną istotą, jaką kiedykolwiek napotkał. Tracił cały spokój, gdy tylko znalazła się przy nim.

Odkryła sekretny kod jego lewej brwi.

Jeśli nie będzie się miał na baczności, przepadnie z kretesem razem z nią.

Zagubi się w niej.

O Boże, zgubna jest już sama myśl o tym, by znaleźć się w tej ciepłej, chętnej miękkości…

Stwardniałe jak włoski marmur przyrodzenie daremnie napierało na jego odzież.

Piers zmusił się do zwolnienia tempa, odsuwając cienki muślin jej koszuli, zapoznając się z każdym calem jej nagich, wspaniałych piersi wargami i językiem. Od czasu do czasu lekkim muśnięciem ich zębami.

A im więcej jej ciała zagarniał, tym więcej mu go ofiarowywała. Nie potrafił zrozumieć dlaczego.

Objął ją jedną ręką w talii i wsunął biodra pomiędzy jej uda, ignorując miękki szelest jej halek.

Później, obiecał sobie. Nie tego dnia. Nie zamierzał pozbawić Charlotte cnoty w pędzącym powozie. Nie potraktowałby w ten sposób żadnej kobiety, a już na

pewno nie tej, którą zamierzał poślubić. Jeszcze nie stracił z kretesem resztek powściągliwości.

A prócz tego Parkhurst Manor nie leżało zbyt daleko.

Kiedy po raz pierwszy weźmie Charlotte do łóżka, długo będzie ją do tego przygotowywał w należyty sposób. Póki nie wyjąka ze szlochem jego imienia, błagając o więcej.

– Już prawie dojeżdżamy.

Spojrzała na niego półprzytomnie.

– Skąd wiesz?

– Powóz jedzie już po żwirze, a nie po błocie.

– Zawsze zwracasz uwagę na szczegóły. – Uśmiechnęła się, z tą zachwycającą, pełną zadowolenia dumą, którą potrafił już rozpoznawać.

Po chwili wzajemnej czułości doświadczył przez moment rzadkiej i groteskowej emocji – dumy.

Czy to możliwe?

Widziała, jak unieszkodliwił rzezimieszka w ciemnej uliczce. Wiedziała, że potrafił zwieść nie tylko ją, ale każdego. A jednak nie uciekła z krzykiem ani nie odwróciła się od niego ze wstrętem.

Może… może zdołałby uczynić ją szczęśliwą.

Nie pieniędzmi Granville'ów ani prestiżem towarzyskim, ale po prostu tym, że był sobą. Czasami, gdy patrzył w jej błękitne oczy, czuł się tak, jakby wszystko było możliwe.

Ale bardzo wielu rzeczy o nim nadal nie wiedziała. Tego, kim był i co zrobił. Gdyby zdołała wniknąć do samego rdzenia jego wnętrza… chybaby się nie uradowała.

Prócz tego pragnęła miłości odwzajemnionej, nie tylko czułości czy przywiązania, ale jawnie okazywanego uczucia, zdolnego przemóc najbardziej nawet sceptyczne plotki. Tego jej zapewnić nie mógł, nawet gdyby chciał.

Nie warto było nawet myśleć o zdobywaniu jej serca.

Musiał wrócić do pierwotnego planu: zapewnić sobie jej rękę i wywiązać się ze swojego zadania, obojętne, jakich środków by to wymagało.

Pocałował ją po raz ostatni. W czoło. A potem poprawił na sobie ubranie i pomógł jej usiąść.

– Pozwól, niech ci zapnę te guziki.

10

Zabrał się do roboty z solidnym opóźnieniem.

Kiedy Ridley tego wieczoru wszedł do jego pokoju, oficjalnie po to, by pościelić łóżko, Piers uznał, że nadszedł czas, żeby z nim ustalić, jak daleko posunęło się dotąd jego śledztwo.

– A więc – powiedział, rozwiązując halsztuk – czego się dowiedziałeś od służących?

– Niczego, co mogłoby się przydać. – Ridley rozsiadł się w fotelu. – Nie mają nic złego do powiedzenia o nim. Ani też o lady Parkhurst. Sir Vernon spędza w tej rezydencji tylko kilka miesięcy w roku, a kiedy tu jest, przebywa głównie na świeżym powietrzu, pędząc życie sportsmena. Płaci wynagrodzenia w terminie, corocznie daje im podwyżki, a najwierniejszym sługom wyznaczył pensje. Wedle opinii jego rządcy nie wtrąca się zbytnio w rutynowe zarządzanie majątkiem, ale wymaga regularnych raportów i zadaje pytania, kiedy tylko coś mu się w nich nie zgadza.

– Nie ma żadnych pogłosek o hazardzie? Kochankach? O dzieciach w okolicy uderzająco podobnych do niego?

– Nic o tym nie słyszałem. Jeśli ma takie sekrety, chroni je dobrze przed służbą.

– To niezwykłe.

Typowi służący wiedzą o wszystkim, co się dzieje w domach takich jak ten. Zanoszą listy na pocztę. Czyszczą paleniska. Zbierają bieliznę do prania. Nic nie umyka ich uwadze.

– Rzecz jasna, mam oczy i uszy otwarte. Grywam dwa razy na tydzień w karty z lokajami i myślę, że gospodyni ma do mnie słabość. Czy chciałbyś, żebym coś jeszcze robił?

– Nie.

Piers nie mógł mieć pretensji, że Ridley nie zwraca uwagi na szczegóły. To on sam nie przykładał się należycie do roboty. A powinien był zyskać zaufanie sir

Vernona. Właśnie tego wymagało Foreign Office od kogoś takiego jak Piers. Niewielu arystokratów służyło Koronie, a jeszcze mniej z nich było w stanie uzyskać zaproszenie na jesienne party łowieckie, wyrażając od niechcenia zainteresowanie nim nad kieliszkiem brandy w klubie.

Jego pozycja społeczna była tu kluczowym czynnikiem, jeśli miał zyskać dostęp do kogoś i zdobyć jego zaufanie. W ciągu niemal dziesięciu lat służby ani razu nie naraził na szwank swojej solidnej reputacji. A tu już pierwszego wieczoru dał gospodarzowi powód do przypuszczeń, że defloruje dziewice na blacie biurek, syn i dziedzic majątku podejrzewał zaś, że jego zamiarem jest morderstwo!

Najgorsze było jednak to, że Charlotte domyśliła się prawdy.

– Ridley, po namyśle uznałem, że coś możesz jednak zrobić. Stań przede mną.

Ridley podporządkował się temu natychmiast.

– Tutaj?

– Trochę bliżej. Nie, nie tak. Dokładnie naprzeciw mnie. O, właśnie.

Spojrzeli obaj na siebie.

– Powiem ci teraz parę kłamstw. A ty wtedy patrz uważnie na moją lewą brew i powiedz mi, czy choć raz drgnęła.

Jeśli Ridley zdumiał się jego żądaniem, nie okazał tego.

– Tak, milordzie.

– Niebo – zaczął Piers, uważnie dobierając słowa – jest różowe. Jadłem na śniadanie wędzone śledzie i grzankę. Noszę elegancką kamizelkę. – Przerwał. – No i co? Poruszyła się?

– Ani trochę.

– Jesteś pewien, że wcale nie drgnęła?

– Stanowczo.

Piers zaklął i machnął ręką ze złością. Coś takiego nie miało prawa mu się zdarzyć. Od dzieciństwa doskonalił umiejętność oszukiwania ludzi. Jak, u licha, Charlotte Highwood zdołała go rozszyfrować, skoro wszyscy inni tego nie potrafili?

Po dłuższej chwili Ridley spytał:

– Czy z kamizelką jest coś nie w porządku?

– Skądże. Ale też nie mogę powiedzieć, żeby była całkiem w porządku.

– Krawiec mi mówił, że tabaczkowy kolor to prawdziwy krzyk mody w tym sezonie. Nazwał go *curry*.

Piers wzruszył ramionami.

Ridley jęknął żałośnie:

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy nie? Mam tu być lokajem markiza; czyż pozwoliłbyś mi, żebym cię ubierał w nietwarzową kamizelkę?

– Dajże spokój z tą kamizelką.

Musiał zapanować nad sytuacją. Oprzytomnieć. Poskromić nieposłuszną brew. Wypełnić, jak należy, przeklęty obowiązek.

Nie mógł ryzykować załamania kariery. A sam już nie wiedział, co się z nim dzieje.

Następnego dnia Piers wykręci się od wszelkich sportowych rozrywek proponowanych przez sir Vernona. Wróci sam jeden do pałacu, pójdzie do biblioteki, otworzy zamkniętą na klucz szufladę i znajdzie tam taką informację, jaką mu polecono zdobyć.

A wtedy wszystko ułoży się, jak należy.

Oznajmi o zaręczynach z Charlotte przed wyjazdem z Nottinghamshire. Jego doradcom prawnym i pani Highwood bez wątpienia trzeba będzie kilku miesięcy, żeby sporządzić intercyzę małżeńską i poczynić przygotowania do ślubu, planowanego najpewniej na Boże Narodzenie. Potem spędziłby zimę w Oakhaven, żeby spłodzić dziedzica. W międzyczasie wyjechałby do Londynu na nową sesję parlamentu, zostawiając Charlotte w odmiennym stanie i zajętą jego posiadłością, gdzie nie zdoła już patrzeć na jego lewą brew ani zakłócać mu koncentracji.

A zatem ułożył sobie plan.

Teraz należało go urzeczywistnić.

– Czy była mowa o tym, jakie sporty będzie się jutro uprawiać? – spytał Ridleya. – Wędkarstwo? Biegi? Strzelectwo?

– Słyszałem od gajowego, że w planach jest polowanie na lisa. Wątpię jednak, żeby urządzono je szybciej niż za dwa czy trzy dni. Może nawet za cztery.

– Niech to diabli. – Nie mógł spędzić czterech dni zamknięty w tym domu razem ze wszystkimi gośćmi i Charlotte prowokującą go do wszelkich fatalnych błędów. – Dlaczego?

W oddali huknął grzmot.

Ridley uniósł brew.

– Właśnie dlatego.

Piers spytał z rozdrażnieniem:

– Gdzie się nauczyłeś tak nieznośnie dokładnego przewidywania?

– Może to ty trochę zaniedbałeś tę sztukę?

– Hm, może. Ale przynajmniej nie plotę bzdur o kamizelkach.

Posłał Ridleya do izby czeladnej i odczekał blisko godzinę nim zgasił świecę, a potem cicho wyszedł z pokoju. Jeśli zanosiło się na deszcz, nie byłby w stanie niczego znaleźć za dnia. Zostawały mu więc tylko noce – a to nie było najlepsze wyjście. Gdyby go przyłapano na myszkowaniu po ciemku w prywatnych pokojach, dużo trudniej przyszłoby mu się tłumaczyć. Ale zbliżała się już połowa jego pobytu w tym domu, a przeklęta brytyjska pogoda nie pozostawiała mu wielkiego wyboru.

Bezszelestnie szedł korytarzem, kierując się ku głównym schodom.

Zdołał przejść ledwie kilka stóp, gdy zamarł w miejscu i zacisnął kurczowo dłoń na świecy.

Nieruchoma, ciemna postać tkwiła skulona pośrodku chodnika, ledwie jakieś dziesięć kroków od niego.

Piers podszedł nieco bliżej i uniósł świecę, żeby oświetlić przestrzeń przed sobą. Zmrużył oczy i wpatrzył się w mrok. Trwało to parę chwil, lecz w końcu zdołał zrozumieć, co widzi.

Edmund.

Siedział po turecku u szczytu schodów, okryty kołdrą. W jednej ręce ściskał drewniany mieczyk, a drugą wymachiwał, mierząc palcem prosto w Piersa.

– Mam na ciebie oko – powiedział przenikliwym, ostrym szeptem. – Wiem, co zrobiłeś!

Piers przesunął dłonią po twarzy. No i tyle akurat mu przyszło z przeszukiwania domu po nocy.

Sięgnął po książkę leżącą w pobliżu na stoliku, uniósł ją i machnął nią Edmundowi pod nosem, jakby to miał być jedyny powód opuszczenia przez niego pokoju. A potem odwrócił się i wrócił tam, skąd przyszedł.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, odczytał w świetle świecy napis na grzbiecie książki.

Było to zbiorowe wydanie kazań wielebnego Calvina Mastersa.

Powinny mu pomóc w zaśnięciu. Odłożył tom na bok z irytacją. Dał się pokonać nieznośnemu bachorowi, który śmiał go śledzić! Siadł i zaczął zzuwać buty. W końcu mógł po prostu pójść do łóżka.

Ale coś przyciągnęło jego uwagę. Podszedł do okna i zgasił świecę, żeby lepiej widzieć.

Małe światełko migotało w ogrodzie tu i tam. Gdyby był przesądny, uznałby, że to jakiś duszek. Piers nie żywił jednak podobnych złudzeń.

Ktoś błądził po ogrodzie w osobliwy, chaotyczny sposób, z lampką lub świecą w dłoni.

Dziwny i podejrzany widok. Musiał się przekonać, kto to robi.

Edmund jednak czuwał na korytarzu, nie mogło więc chodzić o niego. Co takiego mówiła Charlotte? Że z gzymsu nad północno-zachodnim narożnikiem przedostała się na platan.

Narzucił na siebie czarny surdut i otwarł okno najszerzej, jak tylko mógł. Był szerszy w barkach od niej, ale po pewnym wysiłku zdołał przedostać się na zewnątrz i stanąć pewnie na gzymsie.

Zanosiło się na deszcz i noc była wietrzna. Musiał uważać. Stąpał po kamiennym gzymsie, rozpościerając szeroko oba ramiona. Kiedy wyczuwał dłonią okno, schylał głowę, żeby nie dostrzeżono go wewnątrz domu. Kiedy był już pewien, że nikt go nie zobaczył, skradał się chyłkiem dalej.

Posuwał się przed siebie w regularnym rytmie i szło mu to coraz szybciej. Bez większego trudu dotarł do północno-zachodniego narożnika budynku i dostrzegł platan. Jak wspomniała Charlotte, gruba, liściasta gałąź sięgała tam niemal do samego gzymsu niczym wyciągnięte ramię.

Ocenił odległość w myśli, ale gdy już gotował się do skoku, gwałtowny podmuch wiatru spowodował, że się zachwiał.

Było za późno, żeby się wycofać. Musiał się skulić i modlić w duchu, by mu się udało. Skok wypadł niezręcznie i Piers ledwie jedną ręką mógł dosięgnąć konaru. Przez chwilę wisiał w powietrzu z bijącym sercem, potem jednak udało mu się zaczepić drugą o sękatą powierzchnię.

Posługując się własnym ciałem jak wahadłem, zdołał, kiwając się tam i z powrotem, dosięgnąć butem gałęzi, a potem usiąść na niej okrakiem.

Zrozumiał wtedy, że znalazł się tuż przed oknem pokoju gospodyni. Wiedział, że to jej okno, bo gapiła się właśnie przez nie prosto na niego.

Wspaniale!

Już to, że sir Vernonowi pozwolił sądzić, iż pozbawia cnoty dziewice na biurku, było wystarczająco niekorzystne. A teraz go przyłapią na podglądaniu siwowłosych gospodyń w nocnej bieliźnie. Opuści Parkhurst Manor z reputacją kogoś do szpiku kości zdeprawowanego.

Piers napiął wszystkie mięśnie i wstrzymał dech, a gospodyni powoli sięgnęła po okulary.

Nim jednak znalazły się na czubku jej haczykowatego nosa, Piers spadł. Zatrzymała go wszakże w locie najpierw jedna gałąź, potem druga, aż wreszcie

łupnął o ziemię ze stłumionym jękiem. Rozpłaszczył się u stóp platanu – mając nadzieję, że gospodyni uzna to wszystko za złudzenie wzrokowe wywołane wiatrem.

A także dlatego, że potłukł się cały.

Skoro po kilku minutach nikt nie wszczął alarmu, uznał, że mu się udało. Podniósł się i otrzepał płaszcz i spodnie, usiłując nie myśleć o przeraźliwych siniakach, które zaprezentuje podczas rozgrywek sportowych.

Obszedł narożnik domu i skierował się w stronę ogrodu.

Ponieważ otaczał go wysoki mur, nie mógł na razie dostrzec migocącego światełka. Zapewne było widoczne jedynie z kilku innych niż jego własne okien domu.

Czy ten, kto je niósł, czekał na spotkanie o północy? Czy też chciał ukryć albo zakopać coś w ogrodzie?

Żelazna brama była lekko uchylona, a gdy ją pchnął, zawiasy zaskrzypiały.

Żółte światełko przestało się poruszać.

A potem kobiecy głos szepnął z cicha:

– Kto tu jest?

Piers odetchnął raptownie.

– Charlotte?

– Piers!

Zbliżali się z wolna ku sobie, póki nie stanęli oboje po przeciwnych stronach trzymanej przez nią lampki. Miała na sobie nocny strój i ciemną, narzuconą w pośpiechu na ramiona pelerynę. Wystarczyło mu spojrzeć na jej twarz, żeby zrozumieć, że chodzi o coś bardzo złego.

– Co tu robisz o tej porze?

Pociągnęła nosem i wyjąkała z trudem:

– Ja…

– Płakałaś? – Położył jej dłoń na ramieniu. Zadrżała pod jego dotknięciem. – Charlotte, co się stało?

– Zgubiłam coś. Przeszukałam cały dom, póki sobie nie przypomniałam, że wcześniej byłam właśnie tutaj. Ale szukam już od godziny pod każdym krzakiem i nie mogę znaleźć. Jakby się zapadło pod ziemię.

Zacisnęła wargi i odwróciła głowę, chcąc pohamować płacz. Zadrżał jej podbródek.

– Chodź tu. – Odebrał jej lampkę i zawiesił ją na pobliskiej kracie do pnących roślin, a potem podprowadził ku ławce.

– Pozwól, żebym ci pomógł. Powiedz, czego szukasz.

– Kiedy to głupio zabrzmi. Wyśmiejesz je.

– Skądże.

W ciągu tygodnia uznano ją za osobę wątpliwego prowadzenia się, napadł na nią rzezimieszek i trzymano ją przez krótki czas na muszce, ale ona wszystko tu przyjęła ze względnym spokojem.

Nigdy jeszcze nie widział jej zrozpaczonej.

Zgubiła coś, co musiało być dla niej najcenniejsze.

– O, takie – powiedziała, obrazując ruchem palców, jak bardzo ta rzecz jest niewielka. – To kawałek haftowanej flaneli obszyty wstążeczką. Służy mi jako zakładka do książek. Wiem, że wygląda na rzecz bez znaczenia, ale dla mnie jest ważny.

Piers lepiej niż większość ludzi wiedział, że małe, błahe drobiazgi mogą mieć wielkie znaczenie.

– Jesteś pewna, że nie ma tego w twojej sypialni?

Był bardzo zły, że zabrzmiało to jak upomnienie, ale kiedy sobie przypomniał bałagan w jej pokoju…

Potrząsnęła głową.

– To nie pończochy czy szal. Jestem nieporządna, ale dbam o ten akurat drobiazg. Cały czas jest albo w mojej książce, albo pod poduszką. Ale dziś wieczór, kiedy wzięłam do ręki powieść, nie było go tam. Szukałam wszędzie. W moim pokoju, w salonie. A potem przypomniało mi się, że wyszłam po południu, żeby sobie tu poczytać.

– Gdzie siedziałaś?

– O, tam. – Wskazała pień drzewa skryty pod bluszczem.

– A więc musi to być nadal w ogrodzie. Albo też zgubiłaś je po drodze do domu.

– Och, Boże. – Schwyciła się za serce. – Jeśli porwał ją wiatr…

– Nie denerwuj się tak. – Objął Charlotte ramieniem i przytulił mocno do siebie, chcąc pocieszyć ją i zarazem uspokoić się samemu, a potem pocałował w czubek głowy. – Odnajdziemy twoją flanelkę.

– Ale szukałam już wszędzie.

– Znajdziemy ją.

– Nie możesz mi tego przyrzec.

Uniósł jej podbródek tak, by spojrzała mu w oczy.

– Mogę i chcę. Pewnie wciąż jeszcze jest w ogrodzie. A jeśli nie, to gdzieś w

pobliżu. Skoro jest dla ciebie taka ważna, przeszukam całe Nottinghamshire, całą Anglię, a nawet cały świat. Musisz ją dostać z powrotem. Wierzysz mi?

Kiwnęła głową.

– A więc zrobimy tak. Zaczniemy od bramy, zataczając potem kolejno kręgi po całym ogrodzie. Jedno z nas będzie szukać, drugie trzymać lampkę. Jeśli nie znajdziemy w ten sposób twojej zguby, wrócimy do bramy i poszerzymy teren poszukiwań. Zgoda?

Wyciągnął ku niej rękę. Ujęła za nią.

– Zgoda.

Szukali bardzo długo. Piers usiłował podnosić ją na duchu i utrzymywać równe tempo, tak żeby nie była przygnębiona ani się nie denerwowała. Nigdy nie przypuszczał, że w jednym ogrodzie może być aż tyle roślin, krzewów i pnączy. Szukali wspólnie pod każdym pojedynczym krzakiem, nim przeszli do następnego.

Okrążyli już ogród osiem razy i zanosiło się na to, że nie skończą do rana. Niebo zaczynało szarzeć. Jaśniejsze światło ułatwiało poszukiwania, ale wiatr przynosił ze sobą od czasu do czasu krople deszczu. Piers miał nadzieję, że znajdą zgubiony drobiazg, nim rozpada się na dobre.

Przyjrzał się murowi porośniętemu gęstym bluszczem, zaglądając pod każde pasmo pnącza, posuwając się od ziemi w górę.

– Nie sądzę, żeby to mogło być tutaj – powiedziała, gdy wyciągnął ramię, żeby odsunąć gęsty bluszcz znad głowy. – Żaden podmuch wiatru nie mógł tego przywiać w to miejsce.

– Wiatr to nie jedyna siła natury.

– Słusznie, przecież jest i deszcz. Chyba powinniśmy przesunąć się ku ścieżce? Może to jest zagrzebane w błocie?

– Poczekaj chwilę.

Piers zgiął się cały w kabłąk, ale nie chciał rezygnować. Cierpliwość i dokładność doczekały się nagrody.

Gdy wreszcie w załomie muru natrafił na gęstą kępę roślin, znalazł to, czego szukali.

Ptasie gniazdko ukryte wśród gałązek ledwie wystawało nad ziemię, mniej więcej na wysokość ramienia. Jakiś sprytny strzyżyk uwił je z drobnych gałązek i paprochów.

– Znalazłeś coś? – Charlotte podeszła do niego.

– Możliwe – sięgnął ostrożnie w głąb gniazdka, nie chcą uszkodzić żadnego

jajka ani pisklęcia. Końcami palców wyczuwał dotykiem różne jego elementy. Strzyżyki wiją gniazda z każdego miękkiego materiału, jaki znajdą. Z puszystych piór, ze mchu…

– Aha. – Wymacał skraj flaneli i wyciągnął ją, a potem pokazał Charlotte. – Czy to ona?

Wpatrywała się przez chwilę w skrawek tkaniny, a potem zakryła usta dłonią i zaszlochała, kryjąc twarz na jego piersi.

Uznał, że oznacza to przytaknięcie.

Objął ją i pogładził po włosach. W jednej chwili poczuła ciężar bezsennej nocy spędzonej na poszukiwaniach. Nic dziwnego, że ugięła się pod nim.

Największą zagadką były jednak dla niego własne uczucia. Współczuł Charlotte, kiedy rozpaczała nad zgubą, ale nie potrafił dzielić jej ulgi. Zupełnie na odwrót. Całkiem jakby jej mała dłoń ścisnęła go mocno za serce. Powinien był się przecież cieszyć ze znalezienia jej skarbu.

A tymczasem to on czuł się zgubą.

Po chwili ochłonęła na tyle, by się oderwać od niego i wytrzeć oczy.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Może wyjaśnieniem, co to właściwie jest.

Wygładziła prostokątny kawałeczek flaneli koloru kości słoniowej.

– Miałam ją przez całe życie. Na początku była to kapa z mojej kołyski. Kiedy opuszczałyśmy nasz dom, wzięłyśmy ją ze sobą. Odkąd pamiętam, nie rozstawałam się z nią nigdy. Mama groziła, że ją spali, bo była brudna i wytarta. Rozpłakałam się wtedy, więc mi ustąpiła, pomogła obciąć brzegi i obszyć je wstążką. Uczyłam się na niej wyszywać. Widzisz?

Pokazała mu kilka niezręcznych haftów na flaneli. Koślawy domek, niezgrabną różę Tudorów.

– Czy to pies? – spytał.

– Chyba raczej krowa. – Spojrzała na niego żałośnie. – Chciałabym móc powiedzieć, że od tego czasu zręczniej radzę sobie z igłą, ale to nieprawda.

– Cóż mam na to rzec? Że podobają mi się obrusy i chustki wyszywane w drobne kwiatki i krowy o trzech nogach?

Uśmiechnęła się, a urocze dołeczki w kątach jej warg sprawiły, że nie ściskało go już dłużej w gardle.

– Mówiłam ci przedtem, że nie pamiętam ojca. – Powiodła, najwyraźniej z nawyku, kciukiem po flaneli. – Ale kiedy ją trzymam, mogę przynajmniej przywołać go do siebie w myśli. Czuję się wtedy bezpieczna i kochana. –

Spojrzała na niego. – Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie wiem, co ci mam odpowiedzieć.

Nie mógł sobie tego nawet wyobrazić, bo odkąd sięgał pamięcią, jego dom był miejscem pełnym napięcia i strachu.

Charlotte zachowała z przeszłości kawałek flaneli. A on kłamstwa, wstyd i nękające go wspomnienie rozpaczy.

„Nie mogę! – szlochała. – Nie mogę tego znieść".

– Możesz mi wierzyć na słowo, że takie uczucia istnieją i to nie tylko względem przeszłości. Chcę wierzyć, że dotyczą także mojej przyszłości. Przez całe życie próbuję wrócić do domu, którego nawet nie pamiętam.

Krople deszczu pokryły jego ramiona i ogrodową ścieżkę.

– Zaczyna padać – powiedział.

Nie odwróciła od niego wzroku.

– Możesz to odczuć, Piers. Wobec właściwej osoby, którą pokochasz. Właśnie dlatego tak się staram wyjaśnić nieporozumienie, w które jesteśmy uwikłani. Dlatego nie chcę rezygnować z rozwiązania naszej zagadki. Nie tylko ze względu na mnie. Im lepiej cię znam, tym mocniej czuję, że ty też zasługujesz na miłość.

O Boże. Ona go po prostu zabijała.

– Powinniśmy wejść do domu. – Roztarł jej ramiona, żeby nie marzła. – Wszyscy się wkrótce zbudzą.

Przytaknęła mu ruchem głowy.

– No, to chodźmy. Ja wrócę kilka minut po tobie. Wiem, że nie chciałabyś, żeby nas widziano razem, tak jak stoimy w tej chwili.

– Owszem, ale nie sądziłam, że cię to obchodzi.

Wzruszył ramionami.

– Jestem zbyt zmęczony, żeby szukać wymówek.

Pocałowała go w policzek, nim odeszła.

– Dziękuję ci jeszcze raz.

Kiedy już sobie poszła, Piers przeszedł przez ogród, pozwalając, żeby deszcz padał mu na plecy. Myślał nieustannie o trzech rzeczach.

Charlotte pragnęła miłości.

On pragnął, żeby jej doznała.

Ale nie mógł jej tego dać.

Honorowy, przyzwoity mężczyzna znalazłby jakieś inne wyjście z tej sytuacji. Wyjście, które pozwoliłoby Charlotte pójść za głosem serca.

Ale czwarta myśl sprawiła, że poprzednie traciły wszelkie znaczenie.
Piers nie był takim mężczyzną.

11

Deszcz padał przez dwa dni bez przerwy.

Drugiej nocy Charlotte leżała w łóżku, nadsłuchując szmeru jego kropli i wpatrując się w mocno pogniecioną kartkę z wypisaną przez nią listą podejrzanych.

Cathy, pomywaczka, została wyeliminowana z powodu braku sposobności. Pracowała wtedy ciężko przy kolacji i było całkiem niemożliwe, by używała kosztownych perfum. Zwróciłoby to uwagę.

Lady Canby była za szczupła. Podwiązka spadłaby z jej nogi niczym obręcz beczki z ulicznej latarni.

Panna Caroline Fairchild, córka proboszcza, wydawała się zgoła niestosowną kandydatką, zważywszy jej brak romantycznej wyobraźni.

Zostawały tylko dwie: pani Charlesbridge, żona lekarza, i Cross, pokojówka. Ale obydwie wyeliminowało to, co mówił sprzedawca perfum. Żadna nie była brunetką.

Charlotte westchnęła. Istniały tylko dwa powody tej patowej sytuacji. Albo jej domysły były zupełnie błędne, albo przegapiła jakąś podejrzaną.

Może jakaś inna kobieta spośród zaproszonych miała inicjał zaczynający się na C. Może któraś z dam miała taką służącą lub jedno z jej imion nie figurowało na liście gości lady Parkhurst.

Było to wątpliwe, ale przynajmniej zyskiwała kolejną sposobność do prowadzenia śledztwa. Żeby z niej skorzystać, potrzebowała książki. Jedynej, do jakiej mimo matczynych namów uparcie nie chciała zajrzeć.

Herbarza Debretta. Czyli wykazu wszystkich, którzy mieli jakieś znaczenie w Wielkiej Brytanii.

Kiedy wpadła na ten pomysł, nie była już w stanie zasnąć. Wstała i owinęła się w szlafrok, nim sięgnęła po świecę. A potem cicho wyszła na korytarz.

Zatrzymała się u stóp schodów. Biblioteka była po prawej, ale Charlotte miała całkowitą pewność, że widziała egzemplarz herbarza Debretta w salonie.

Niektóre rodziny lubiły mieć tę książkę pod ręką. Skąd bowiem Frances czerpałaby jadowite plotki?

Skręciła na lewo – i stanęła jak wryta.

Drzwi salonu były uchylone i sączyło się z nich na korytarz słabe światło. Słyszała też szelest papieru i szmer pióra.

Może należało się cofnąć i pójść tam dopiero rankiem?

A jednak nawet Charlotte, która wykazała się dotąd marnymi rezultatami śledztwa, potrafiła wywnioskować, że tylko jeden człowiek w całym tym domu mógł o tej porze nie spać i pracować.

Zerknięcie w uchylone drzwi potwierdziło jej domysły.

Oczywiście, to był Piers.

Siedział przy sekretarzyku, plecami do niej. A były to bardzo piękne plecy – silne barki rysowały się pod białą koszulą, dopasowana kamizelka ukazywała smukłość torsu. Rękawy miał podwinięte do łokci, na rogu biurka piętrzył się zaś cały stos kopert. Większość z nich była już otwarta. Gdy łamał którąś z pieczęci, wyglądał wręcz jak kamieniarz wznoszący imponującą budowlę z papieru, z atramentem w roli murarskiej zaprawy.

Najpierw wślizgnęła się do niego przez okno, później on zaskoczył ją niedawno w ogrodzie. Teraz nadeszła jej kolej.

Charlotte odstawiła na bok świecę, a potem podeszła do niego na palcach, stąpając po dywanie tak ostrożnie, jakby jego wzory były kamieniami zastygłymi w lawie, i stanęła tuż za jego wysokim, skórzanym fotelem.

Zasłoniła mu lekko oczy palcami.

– Zgadnij, kto to?

Jednym szybkim ruchem odwrócił fotel i schwycił ją za nadgarstki. Poczuła, że przerzucił ją sobie przez barki, tak że wylądowała bez tchu na jego kolanach, z obydwoma ramionami trzymanymi mocno przez jedną z jego rąk.

A potem poczuła, że jakiś chłodny, metalowy szpic wpija się jej w szyję tuż obok pulsu.

To był nóż do papieru.

– Charlotte! – Odrzucił zaimprowizowaną broń i puścił ją. Gdy znów mogła oddychać, przetarł twarz dłonią.

– O Jezu.

Kręciło się jej w głowie i wciąż jeszcze dyszała po nagłym fiknięciu kozła. Koszulą zawadziła o stopy, włosy miała w całkowitym nieładzie. Zaśmiała się niepewnie, jak zwykle w chwili zakłopotania.

– To wcale nie było zabawne – powiedział.

– Wiem.

– Mogłem ci zrobić krzywdę. Mogłem…

Zabić cię.

Dopiero teraz pojęła to, co powinno było stać się dla niej oczywiste, gdy unieszkodliwił rzezimieszka w zaułku.

Najwyraźniej Piers potrafił odebrać komuś życie.

Była to przygnębiająca myśl. Tylko że nie różnił się w końcu zbyt wiele od większości mężczyzn swego pokolenia, skutkiem prowadzenia przez Anglię nieustannych wojen na wielu kontynentach. Wątpiła, czy czerpał z tego jakąkolwiek przyjemność. Doświadczali jej tylko nieliczni.

Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, badając, czy nic jej się nie stało. Teraz, kiedy jej tętno już zwolniło, czuła gwałtowny łomot jego serca. Barki i ramiona wciąż jeszcze miał sprężone i sztywne.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – A także nie zlękłam się. Wszystko ze mną w porządku.

– Musisz przestać mnie zaskakiwać w ten sposób.

– Ale to jedyny sposób, żebyś pozwolił mi znaleźć się przy sobie.

Biła od niego woń brandy, czystej bielizny i jego skóry. Kołnierz koszuli miał rozchylony, tak że mogła dojrzeć mięśnie szyi i ciemne włosy na piersi.

Wsunęła mu pod koszulę palce, sięgając aż po obojczyk.

– Co tu robisz o tak późnej porze?

– Po prostu przeglądam korespondencję.

– Korespondencję? – zdziwiła się. – Jaka to może być korespondencja? Sprawy dyplomatyczne? Parlamentarne? A może zaszyfrowane listy pisane atramentem sympatycznym?

Otwarł jednym przytknięciem palca skórzaną tekę i machnął jej przed oczami trzymaną w dłoni jak wachlarz zawartością.

– Zobacz sama.

Charlotte spojrzała na papiery, które pokryły bibularz.

Były to plany architektoniczne i motywy dekoracji, schematy. Wykresy dotyczące jakiejś budowli, ukazujące ją piętro po piętrze. Malowane wnętrza z przyczepionymi próbkami tkanin. Wszystko gustowne i z pewnością kosztowne. Kartkowała plany, póki nie natrafiła na widok budynku od strony zewnętrznej: przedstawiał wielką fasadę z greckimi w stylu kolumnami i dużymi, współczesnymi oknami. Już sam koszt ich oszklenia…

– Czy to Oakhaven?

Mimo woli poczuła oszołomienie na myśl, że mogłaby być panią takiej rezydencji.

– Nie, nie. To wdowi dom.

– Wdowi dom?

– Stoi o jakąś milę dalej. Na tyle blisko, żeby go łatwo było odwiedzać, ale na tyle daleko, by się znajdował poza zasięgiem słuchu. Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym twojej matce mieszkać z nami? Na Boga, za nic!

Zaśmiał się. Czyż to możliwe, że po raz pierwszy słyszy, jak on się śmieje, choć zna go niemal od tygodnia?

A jego śmiech był zachwycający. Głęboki, pełen ciepła. Stanowczo powinien śmiać się częściej. Będzie musiała nad tym popracować.

Wyjął jeden spośród planów i położył go na samym wierzchu.

– To jest Oakhaven.

Przyjrzała mu się z przerażeniem.

– O Boże. Jaki ogromny. Co ty tam robisz?

– Ostatnio nie za wiele. Człowiek czuje się w nim zbyt osamotniony.

Podczas gdy grzebał wśród rysunków i planów jedną ręką, drugą gładził ją po plecach. Przesuwał palcami wzdłuż jej kręgosłupa, jakby jego kręgi były sznurem pereł.

– Umeblowanie jest oczywiście w dobrym stanie, ale uznasz je zapewne za staromodne. Mam nadzieję, że znajdziesz w sobie potencjał potrzebny do licznych modernizacji i ulepszeń.

„Mam nadzieję”.

Serce zabiło jej mocniej na dźwięk tych dwóch krótkich słów. Czy mógł pragnąć spędzenia tam z nią całego życia – gdyby nawet uważał jej towarzystwo tylko za sposób uczynienia jego pełnego rozmachu życia ważnego człowieka trochę mniej zimnym i pustym?

Uderzyła ją ta myśl.

Dotknęła go, śmielej tym razem, rozchylając jego koszulę i siadając mu okrakiem na kolanach.

Poczuła żar jego warg na swoich ustach i zatonęła w nim, poddając się jego pocałunkowi i gorącemu uściskowi.

Och, co z niego był za człowiek. Otoczył się zimnym murem – czy z własnej woli, czy też z konieczności, tego wciąż jeszcze nie wiedziała, a może z obu tych powodów – ale wewnątrz tej zapory bynajmniej nie był lodowaty.

Przerwał pocałunek. Błysk oczu powiedział jej o pragnieniu posiadania, o pożądaniu.

Nawet sam jego wzrok sprawiał, że narastało w niej podniecenie.

– Wracaj do łóżka, Charlotte.

Niemalże zapragnęła mu powiedzieć, że żądanie, by coś zrobiła, było najpewniejszym sposobem, żeby się zdecydowała na coś całkiem przeciwnego. Doprawdy, powinien był już znać ją trochę lepiej.

Ale wtedy uderzyła ją pewna myśl.

Piers nie był głupcem i już ją dobrze poznał.

Musiał więc zrozumieć, że to żądanie popchnie ją do tego, by została, i miał zamiar sprowokować taką właśnie, buntowniczą jej reakcję.

Chciał, żeby z nim została.

A ona chciała tego samego.

Uniosła jego dłoń ku swojej piersi. Musnął kciukiem czubek jej sutka przez koszulę, budząc w niej dreszcz.

Nachyliła się i pocałowała go w kark. Na jego podbródku rysował się już wczesny zarost.

Przysunęła się do niego jeszcze bliżej.

Poczuła jego pobudzenie.

Droczyła się z nim, unosząc kolano nieco wyżej, a potem niżej.

Podziałało to jak iskra zapalna. W jednej chwili poczuła na sobie wszędzie jego ręce. Mięły i skręcały jej nocny strój, obejmowały ją od tyłu, przyciągały jej biodra ku niemu.

Pocałował ją głęboko, z głuchym pomrukiem, kołysząc ją w górę i w dół, tak że ocierała się o niego biodrami. Ten rytmiczny nacisk budził w niej coraz większą błogość.

– Czy tak dobrze?

Skinęła głową bez tchu.

– Kiedy się pobierzemy – powiedział schrypniętym głosem, wsuwając dłoń pod jej koszulę – będzie jeszcze lepiej, kiedy znajdę się w tobie. O, tu.

I czubkami palców przesuwał wzdłuż jej bioder, póki nie dotarł do samego rdzenia jej ciała, tak że omal nie postradała zmysłów. Nie była w stanie ująć w słowa tego, czego pragnęła, ale jej ciało wiedziało, czym to ma być. A on również.

Cała była jednym pragnieniem, żeby znalazł się w niej.

Wreszcie wsunął w nią koniec palca, aż jęknęła głucho, obejmując go za szyję

i przywierając do niego całym ciałem.

– O, tak – szepnął jej znowu w ucho, poruszając dłonią w niesłabnącym rytmie. Głęboko. Mocno. Raz za razem.

– Błagam… – wyjąkała bez tchu. – Nie przestawaj!

– Nie zatrzymam się, póki to nie nadejdzie – mówił, okrążając kolistymi ruchami najtajniejszy punkt jej ciała. – Pojmujesz, co to znaczy? Robiłaś to sama?

Charlotte wykrztusiła z trudem:

– Mogę być niewinna, ale ignorantką nie jestem.

– To dobrze.

Aprobata Piersa uczyniła ją śmielszą. Zaczęła poruszać się razem z nim, pragnąc doznać jeszcze więcej dawanej przezeń błogości. Znała paroksyzm rozkoszy, którego może doświadczyć kobiece ciało i nauczyła się go osiągać, lecz to było coś zupełnie innego.

Całe jej ciało płonęło, ożywione tą potrzebą. Wydawało się jej nieuczciwe, że tak umiejętnie doprowadzał ją do tego stanu, samemu pozostając chłodnym, opanowanym.

Bezlitosnym.

Wciągnęła chciwie powietrze i przygryzła wargę.

Właśnie o to chodzi. Potrzeba mi łączności z tobą.

Ale cały ten narastający wewnątrz niej bunt został zmyty przez przemożny przypływ pożądania. Kołysała się bezwstydnie na jego dłoni aż do szczytu tak druzgocącego, że – jak przypuszczała – musiała wtedy krzyknąć na cały głos.

Zakrył jej usta pocałunkiem, a ona wydała z siebie szloch pełen wdzięczności, trzymając go mocno za szyję, gdy wręcz topniała cała pod wpływem tego wstrząsu.

Kiedy fale rozkoszy opadły, objął ją i gładził po plecach, aż wreszcie przestała dyszeć i spowolniło się jej tętno.

Kiedy oprzytomniała, poczuła lekkie zażenowanie. Zaciskała kurczowo w dłoniach brzeg jego koszuli, a na czole czuła krople potu.

Wszystko to było bardzo niestosowne dla damy. Ale ona w tej sytuacji nie czuła się wcale damą, tylko kobietą.

W podobny sposób chciała też widzieć Piersa. Jako mężczyznę – bezwzględnego, żywiołowego, zwierzęcego. Dyszącego i pokrytego potem. Pragnęła ujrzeć go w chwili całkowitego zapomnienia. Zniweczyć jego opór niczym rozżarzony meteoryt i zostawić jedynie dymiące zgliszcza.

Pragnęła go. Bardziej niż czegokolwiek innego w całym życiu.

Wezbrała w niej nagła i oszałamiająca fala uczucia.

– Piers?

Musiał chyba wyczuć zakłopotanie w jej głosie.

– Cicho. – Pogładził ją po plecach w tym samym, spokojnym rytmie, ignorując swoje niezaspokojone pobudzenie. Ignorował własne pragnienia na rzecz jej własnych. – To naturalne, że czuje się gwałtowny przypływ czułości. Kobiety często tego doznają. To minie.

Czyżby to miało minąć?

A może się nasili, jak coraz bardziej ziejąca rozpadlina w ziemi? Może jeden niezręczny krok wystarczy, by się potknęła i zakochała w nim na zawsze?

Nie czuła się już dłużej śmiała i bystra, tylko mała, słaba i bardzo zażenowana.

– Nie przypuszczam, żebyś w tym celu tu przyszła. – Odgarnął jej włosy z czoła.

– Istotnie.

– Czy chodziło ci o coś konkretnego?

Skinęła głową, usiłując odzyskać jasność myśli.

– O książkę. O herbarz Debretta. Muszę ponownie sprawdzić wszystkie nazwiska na C.

– Charlotte. – Uniósł jej twarz ku sobie. – Nie potrzebujesz robić niczego w tym rodzaju.

Jego wzrok mówił jasno, że rozłożył właśnie na blacie biurka dowód, iż zamierzał zachować się godnie wobec niej, a także i jej rodziny. Dać jej zarówno niesłychaną rozkosz, jak czułą opiekę. Wyszeptał przecież te intrygujące słowa: mam nadzieję.

I być może – choć tylko być może – sprawił, że ona również zaczęła żywić nadzieję.

Charlotte niemalże słyszała matczyny głos: „ty głupia dziewczyno, czego byś jeszcze chciała?”

Miłości.

Tym, czego chciała, była miłość.

Zawsze jej pragnęła. Bardziej niż pięknych domów lub tytułu markizy. A nawet bardziej niż zapierających dech doznań w szczytowej chwili rozkoszy, choć były one cudowne.

Czy zdołałaby pokochać Piersa? A czy on zdołałby pokochać ją? Jakże

zamknięte miał serce, jakby było otoczone murem. Gdyby jawnie zalecał się do niej, mogłaby snuć na tej podstawie marzenia, ale nie zapewniłoby tego wymuszone małżeństwo.

Mogła żywić najrozmaitsze nadzieje, ale chciała zyskać pewność, nim podporządkuje swoje życie mężczyźnie.

– Ja… – zsunęła się z jego kolan, poprawiła na sobie koszulę i szlafrok, a potem wzięła książkę leżącą na bocznym stoliku.

– …ja po prostu chciałabym być pewna, że niczego nie przegapiłam. Dobranoc.

Przycisnęła kurczowo książkę do piersi i pospiesznie wyszła.

Potrzebowała jej, bo musiała poznać tożsamość kochanków.

Potrzebna jej była pewność, bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

12

Oczy ją rozbolały.

Herbarz Debretta liczył blisko dziewięćset stron drukowanych drobną czcionką. Mimo że miała sporo czasu, bo znów padało, zdołała dotrzeć dopiero do dwusetnej strony.

Damy zebrały się w salonie, tak jak i podczas poprzednich dwóch deszczowych dni. Matka skubała kruche ciasteczka, przeglądając pismo dla kobiet. Delia rysowała, Frances pracowała nad haftem, a lady Parkhurst kładła pasjansa na stoliku do gry w karty.

Charlotte siedziała samotnie przy smaganym strugami deszczu oknie.

– Jak to dobrze, że wreszcie zainteresowałaś się tą książką.

– Czy to najnowsza wersja? – spytała Frances. – Idę o zakład, że swoją znasz już na pamięć. Jeśli nie pokryłaś marginesów dopiskami.

Charlotte zignorowała złośliwą uwagę. Nie pozwoli Frances odrywać się od swojego zadania.

Byłoby ono dużo łatwiejsze, gdyby wiedziała, czy C odnosi się do nazwiska, czy też do tytułu. Ale równie dobrze mogło tu chodzić o imię, musiałaby więc przeglądać pod tym kątem każdą stronę, a po natrafieniu na C sprawdzić szlachecki tytuł, który się łączył z tą osobą oraz przekonać się, czy taka dama nie mieszka czasem gdzieś w sąsiedztwie.

No i oczywiście, jeśli rozpustna kobieta z biblioteki nie była krewną lub żoną jakiegoś para czy baroneta, całe to przedsięwzięcie oznaczałoby stratę czasu.

„Weaver, lady Catherine … Lincolnshire.

Westwood, lady Cora … Devon”.

No i…

Nareszcie!

„White, lady Cornelia … Nottinghamshire”.

Nazwisko White było jej znane. Chyba je widziała na liście gości lady Parkhurst – ale było tak pospolite, że mogło się jej zdawać.

– Lady Parkhurst, czy pani White była na balu wydanym w zeszłym tygodniu?

– Nellie White? – lady Parkhurst uniosła głowę znad kart. – Owszem.

Nellie. Zdrobnienie od „Cornelia”. Musi chodzić o nią.

Charlotte usiłowała pohamować podniecenie. W końcu mogło się to skończyć niczym.

A jednak wszystko wskazywało na nią. Pani Cornelia White była w Parkhurst Manor. Miała właściwy inicjał. Czy była brunetką?

– Próbuję ją sobie przypomnieć. Czy to ta, co nosi… – Charlotte wskazała na swoją głowę.

– …ten okropny żółty turban! – westchnęła lady Parkhurst. – Owszem. Próbowałam ją od tego odwieść, ale ona twardo się przy nim upiera.

Niech to licho. Nic z tego.

Nadzieję Charlotte wzbudziła jednak pewna wskazówka: ta dama lubiła żywe kolory.

– Chyba mogłybyśmy jej złożyć wizytę? – powiedziała do Delii.

Delia skrzywiła się.

– Niby dlaczego?

– No, bo… rozmawiałam z nią o książkach. Mówiła o jakiejś ciekawej powieści, ale nie zapamiętałam tytułu. Chciałabym ją o to spytać.

– Mieszka gdzieś koło Yorkshire – odparła Delia. – To chyba o wiele za daleko jak na poranną wizytę. Może napiszesz do niej?

No rzeczywiście! Miałaby pisać do kobiety, której w rzeczywistości nigdy nie spotkała, wypytywać ją o nieistniejącą książkę i może jeszcze prosić, żeby do odpowiedzi dołączyła pasmo włosów, co wywołałoby niezgorsze zdumienie!

– Nie potrzeba listu – lady Parkhurst odwróciła kartę figurą do dołu. – Możesz ją zapytać na polowaniu.

– Na polowaniu?

– Ojciec każdej jesieni urządza polowanie na lisa i zaprasza na nie wszystkich dżentelmenów z okolicy – wyjaśniła Delia.

– Odbędzie się pojutrze, jeśli pogoda pozwoli – powiedziała Frances. – Oczywiście damy nie będą gonić za sforą. Udamy się na Wzgórze Robin Hooda, żeby stamtąd oglądać łowy.

Delia wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Wstrętne, krwawe widowisko. Pogardzam łowiectwem.

– Może zabrałabyś swoje akwarele, żeby namalować pejzaż? – podsunęła jej

Charlotte.

– Malowałam już widok z tego wzgórza ze sto razy, w rozmaitym oświetleniu i różnych porach roku. O wiele bardziej wolałabym zostać w domu.

W każdej innej sytuacji Charlotte chętnie zostałaby w domu razem z nią. Była to jednak jedyna szansa, żeby ujrzeć panią White.

– A co pani zamierza robić, panno Highwood? – spytała lady Parkhurst. – Czy też chce pani tu zostać?

Charlotte spojrzała na Delię przepraszająco.

– Ja… ja myślę, że bardzo chętnie bym obejrzała polowanie. Nigdy go jeszcze nie widziałam, no i chciałabym zobaczyć Wzgórze Robin Hooda. Tylko że nie mam konia.

– Pożyczymy ci go – powiedziała Frances. – Wolisz ogiera, wałacha czy klacz?

Och, Boże. Charlotte ledwie kilka razy w życiu siedziała na koniu. Na jeździectwo brakowało im pieniędzy, kiedy była jeszcze mała. Ogier, wałach, klacz? Nie była nawet pewna, czy potrafiłaby je rozróżnić.

– Każdy, jakiego mi zamierzasz dać, będzie dobry.

Frances uśmiechnęła się powoli, z satysfakcją, co było raczej niepokojące.

Następnego ranka Charlotte zrozumiała dlaczego.

Ledwie wyjechały ze stajni, jabłkowity koń pod nią zarżał i gwałtownie skręcił w bok.

Charlotte kurczowo zacisnęła osłonięte rękawiczkami dłonie na łęku siodła.

– Chyba poradzisz sobie z Lady, no nie? – zawołała do niej Frances.

– Na pewno! – odkrzyknęła Charlotte, siląc się, żeby zabrzmiało to energicznie i śmiało. – Uwielbiam ogniste wierzchowce!

Niestety ognista klacz wydawała się jej złośliwym, pełnym wrogości demonem o piekielnym temperamencie. Charlotte pożałowała, że nie ma ze sobą jabłek ani kostek cukru. Ani wody święconej.

Frances szturchnęła klacz, zmuszając ją do galopu. Lady zrobiła, co jej kazano.

Charlotte poczuła, że dzwoni zębami. Uderzyła się też dotkliwie w kość ogonową. Zaklęła pod nosem.

Zdołała jakoś przejechać, kurczowo się trzymając Lady, przez kilka pól i wąski mostek. Na szczęście, gdy zbliżyły się do wzgórza, konie musiały zwolnić.

Kiedy dotarły do wybranego na piknik miejsca na szczycie wzgórza, Charlotte z ulgą ześlizgnęła się z siodła i poklepała Lady z czułością.

– Dobra dziewczynka. Zostawię ci sandwicza.

Klacz w odpowiedzi kłapnęła zębami, o mało nie odgryzając jej dwóch palców.

Charlotte uznała, że lepiej byłoby wrócić do domu piechotą. Zostawiła rozzłoszczoną klacz i skupiła się na celu, w którym tam przyjechała.

Chciała się dokładnie przyjrzeć pani White i jej włosom.

– Och, Nellie! – zawołała lady Parkhurst. – Może byś mi tak pomogła rozpakować koszyki z prowiantem?

Charlotte utkwiła wzrok w kobiecie, która się do nich zbliżała.

Na szczęście pani White nie nosiła tego dnia okropnego żółtego turbanu. Niestety miała jednak na głowie ogromny kapelusz. Nie tylko krył on całkowicie jej włosy, ale nie pozwalał też dokładniej się przyjrzeć jej rysom i zawiązany był pod brodą niebieską wstążką na kokardę.

Do licha.

Rozwiązanie zagadki napotykało wciąż na nieznośne, choć całkiem prozaiczne przeszkody. Uniemożliwiał je zwłaszcza ten kapelusz.

W oddali rozległ się dźwięk rogu myśliwskiego.

– O, popatrzcie! Ruszyli!

Charlotte wytężyła wzrok, ocieniając oczy dłonią.

Najpierw dojrzała psy. Cała ich sfora wypadła z porośniętej drzewami doliny, zaciekle ujadając. Za nimi ukazali się galopujący mężczyźni – blisko tuzin lokalnych ziemian, a nawet kilku co zamożniejszych farmerów zaproszonych na polowanie.

Nawet stojąc daleko, zdołała jednak rozpoznać kilku z nich. Korpulentną figurę i szary myśliwski płaszcz sir Vernona można było dostrzec na samym przedzie.

A za nim, trzymając się w stosownej odległości od gospodarza, jechał Piers.

Choć jego czarny surdut nie różnił się od okryć innych mężczyzn, Charlotte poznała go od razu. Rozpoznałaby jego sylwetkę wszędzie. Bez trudu przesadzał na koniu żywopłoty i przełazy. Robił to tak swobodnie, jakby był zrośnięty ze swoim gniadym wałachem w jedno.

A może był to ogier?

Odwróciła wzrok od tego widoku.

Pani White odeszła na bok razem z innymi damami, rozpakowując koszyki z

wiktuałami. Olbrzymi kapelusz widać było po drugiej stronie wzgórza.

Charlotte pospiesznie podbiegła do niego.

– Och, pani White!

Kobieta przystanęła.

– Czy pani mnie sobie może przypomina? Jestem panna Highwood.

Wdowa przyjrzała się jej uważnie.

– Ach, oczywiście.

Charlotte dygnęła.

– Czyż to nie doskonały ranek na polowanie?

– Myślę, że tak.

Pani White wydawała się nieco zbita z tropu jej przyjaznym powitaniem.

Może była osobą nieśmiałą?

A może nękało ją poczucie winy z powodu wręcz orgiastycznej schadzki w bibliotece sir Vernona?

– Chyba zdejmę kapelusz – powiedziała Charlotte, ściągając z głowy swój zgrabny myśliwski kapelusik i ostentacyjnie wystawiając twarz na słońce. – Och, blask słoneczny jest wprost boski! Czy pani nie zdjęłaby swojego nakrycia głowy?

Pani White uśmiechnęła się.

– Od słońca dostaję okropnych piegów.

– Ale może pani uchyli ronda choć na chwilę – namawiała ją Charlotte. – Doprawdy, dziś jest taka cudowna pogoda! Piegi na pewno nie pojawią się po tak krótkim czasie.

Wdowa zastanawiała się, spoglądając w niebo.

Słońce skryło się za chmurą.

– Może później – uznała.

Charlotte westchnęła. Zaczęła mieć nadzieję, że jakiś mocniejszy podmuch wiatru uniesie ten kapelusz. Wystarczył zresztą byle powiew, by odsłonić choćby kosmyk włosów.

– Przejdźmy się trochę po wzgórzu – powiedziała i ujęła panią White pod ramię. – Byłabym wdzięczna za wskazanie mi jakichś charakterystycznych miejsc na tym terenie.

Wdowa najwyraźniej nie paliła się do tego, ale Charlotte uniemożliwiła jej wszelką uprzejmą odmowę.

– Chętnie bym z panią kiedyś porozmawiała – zaczęła, gdy tylko nie mogły już być słyszane przez nikogo. – Od razu poznałam, że mamy ze sobą wiele

wspólnego.

– Naprawdę?

Pani White zdawała się w to wątpić, a Charlotte nie mogła mieć do niej pretensji. Ta kobieta liczyła sobie co najmniej dziesięć lat więcej od niej i najwyraźniej nie odznaczała się żywym temperamentem. Trudno sobie było wyobrazić, co też mogłoby je łączyć.

Równie trudno było sobie wyobrazić, by pani White nosiła szkarłatną podwiązkę, skraplała się drogimi perfumami i donośnie jęczała z rozkoszy na blacie biurka.

A jednak musiało chodzić właśnie o nią. Dedukcja Charlotte nie pozwalała na inny wniosek.

Pozory często mylą – i Charlotte spróbowała z innej beczki.

– Nie uważa pani? Serce ma wiele sekretów.

Pani White wyciągnęła przed siebie rękę.

– Tam leży Oxton. A ta zielona gęstwina na północy to las Sherwood.

Obeszły już całe wzgórze wokoło i wkrótce miały dołączyć do innych.

Charlotte zerknęła z ukosa na swoją towarzyszkę. Obyż mogła choć przelotnie dostrzec jeden z jej loków na karku lub na skroni.

Musiała szybko coś wymyślić, bo nie trafi się jej druga sposobność.

Zawołała z przejęciem:

– Ma pani na sobie pająka!

– Pająka?

– Duży pająk siedzi pani na kapeluszu. Tylko bez gwałtownych ruchów, bo wlezie na szyję! – Charlotte zbliżyła się do Nellie White i bardzo powolnym ruchem sięgnęła ku wstążkom od kapelusza zawiązanym tuż pod brodą. – Rozsunę jak najostrożniej kokardę, a potem strząsnę go na trawę!

– Ależ nie trzeba.

– Proszę mi wierzyć, to naprawdę wstrętny pająk i… i cały włochaty! Na pewno jadowity!

Pani White powstrzymała Charlotte, ujmując ją za ręce.

– Drogie dziecko, proszę nie mieć do mnie żalu…

– Żalu?

– Nie ma tam żadnego pająka i ja o tym dobrze wiem.

Charlotte opuściła bezradnie ręce.

– A więc pani wie?…

Pani White uśmiechnęła się.

– Moja droga, nie myliłaś się. Istotnie mamy ze sobą coś wspólnego. Wiem, co to znaczy być młodym i niepewnym, czy zdoła się spotkać kogoś, kto zrozumie pragnienia twego serca.

– Naprawdę?

Charlotte wstrzymała dech. Co tam kapelusz i włosy! Najwyraźniej ona chce się przyznać. To coś dużo lepszego, niż się spodziewała.

– Jest wiele takich jak my – ciągnęła pani White. – O wiele więcej niż sądzisz. Nie musisz czuć się samotna. Nie mogę rzec, żeby to było łatwe, ale są sposoby, żeby pojąć, czego pragnie twoje serce.

– Jakie to sposoby?

– Możesz pójść za moim przykładem i poślubić dużo starszego od siebie mężczyznę. Po kilku zaledwie latach znoszenia jego – tu odchrząknęła – względów mogłam wieść życie bezpieczne i swobodne. Ale moja droga Emmeline… No cóż, ona nie była w stanie zawrzeć małżeństwa. Poszła na służbę. Obrałyśmy różne metody, lecz w jakiś dziwny sposób zetknęłyśmy się obie.

Charlotte zmarszczyła brwi, zaskoczona.

– Ależ pani White…

– Och, nie mogłyśmy wspólnie chodzić na bale czy pikniki. Ale w naszym domu nikt nas nie niepokoił. Byłyśmy szczęśliwe. Ty też możesz znaleźć to szczęście. – Wdowa dotknęła końcem palca jej warg. – Jesteś uroczą młodą damą, ładną i pełną życia. Nadejdzie dzień, kiedy nie będziesz się musiała uciekać do pomocy wyimaginowanego pająka. Zachowaj swoje pocałunki dla kogo innego.

Zachować pocałunki?

Jej pocałunki?

– Och, Boże! – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Błagam o wybaczenie, pani White. Chyba mnie pani źle zrozumiała.

– Już dobrze. Zresztą raczej mi to pochlebiło. Nigdy mi nawet w głowie nie postało, żeby o tym komuś mówić.

Nellie White ze współczującym uśmiechem odwróciła się i poszła ku zebranemu na pikniku towarzystwu.

Charlotte została sama, wpatrzona w krajobraz Nottinghamshire, rozpamiętując ogrom własnej głupoty.

Nadal nie wiedziała wprawdzie, jakiego koloru włosy ma pani White, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Wdowy nie interesowało towarzystwo

mężczyzn.

Śledztwo jej zabrnęło w kolejny ślepy zaułek.

Czy pominęła kogoś innego z listy gości? Czy sprzedawca perfum skłamał, mówiąc o ciemnych włosach? W jej dedukcji musiał być jakiś błąd.

Przeżyła niesłychane rozczarowanie.

Wszystko wisiało teraz na włosku. Jej reputacja, Grand Tour z Delią… i cała jej przyszłość. A najbardziej rozczarowało ją właśnie to, że popełniła tak wielką pomyłkę.

Talent jej nie mógł wzbudzić publicznego aplauzu. Nie była artystką, jak Delia, nie miała naukowego zacięcia, jak jej siostra Minerva. Choć sądziła, że innym – zwłaszcza Piersowi – będzie się to wydawało głupie, rozwiązanie zagadki nabierało dla niej coraz większego znaczenia. Dawało szansę stwierdzenia, że udało się jej coś osiągnąć. Wraz z każdym skreślonym z listy podejrzanych czuła się coraz bliższa chwili, kiedy będzie mogła powiedzieć: „dokonałam tego!”

A jak dotąd nie dokonała najwyraźniej niczego. Prócz tego, że straciła wiele sił i czasu i że groziła jej utrata ważnej dla niej przyjaźni. Cała jej wizyta w Nottinghamshire była istnym stekiem błędów.

Po raz pierwszy w ciągu dwóch tygodni poczuła prawdziwą rozpacz. Łzy zakręciły się jej pod powiekami.

A za tydzień te popełnione przez nią głupie błędy staną się wszystkim znane. Zostało już tylko kilka dni.

Co tu właściwie robi? Powinna wrócić i spędzić popołudnie z Delią, nim ta w ogóle przestanie z nią mówić.

13

Po czymś, co robiło wrażenie nieznośnie długiego i dokuczliwie wręcz słyszalnego pofolgowania sobie, sir Vernon zapiął spodnie i wyłonił się zza drzewa, obciągając tweedową kamizelkę.

– Nic lepiej od solidnej gonitwy z psami nie spłukuje z człowieka cielesnych humorów, co, Granville?

Piers dokończył całkowicie zbędnego oglądu poprzęgu i siodła swojego wałacha.

– Szkoda, że polowanie nie całkiem się udało.

– Och, ależ ono zawsze jest udane! Nie, nie! To nie lisa ścigamy. Chodzi o same łowy, o dreszcz emocji. My, sportsmeni, nie możemy bez tego żyć. Polowanie zaspokaja jedne pragnienia równie skutecznie, jak wzmaga inne.

Szturchnął Piersa łokciem w żebra.

– A teraz rzućmy okiem na ładniejszą zwierzynę. Damy oczekują nas na wzgórzu. Jest tam pewna lisica, którą winien pan upolować. Ma się rozumieć, panna Highwood postanowiła tutaj przyjechać, choć Delia wcale nie była z tego zadowolona. Musiało tej lisicy być pilno do spotkania na pikniku pewnego dżentelmena!

Piers wyobraził sobie Charlotte czekającą razem z innymi damami na wzgórzu. Z rozwianymi złocistymi włosami, z policzkami zaróżowionymi od jazdy i oczami równie jasnobłękitnymi jak niebo. Ujrzał, jak siedzi przy niej, przyjmuje z jej rąk porcje sera lub mięsa i patrzy, jak wysysa sok z dojrzałej, czerwonej jagody.

A także jak przewraca ją na obrus piknikowy i całuje jej splamione sokiem wargi.

Potem zaś zaczął dokładniej obmyślać cały plan.

Choć sir Vernon widział w nim towarzysza rozrywki, Piers miał tu do spełnienia obowiązek. Nie mógł zmarnować okazji do przeszukiwania Parkhurst Manor przez kilka godzin. Wreszcie mógłby otworzyć te pozamykane szuflady

w bibliotece.

W całokształcie jego kariery nie było to zbyt znaczące zadanie. Ale dla niego stało się kwestią najwyższej wagi. Musiał udowodnić sobie samemu, że wciąż może się nadawać do swojej pracy. Bo gdyby nie mógł… Cały wstyd i poczucie winy, od których dystansował się przez ostatnie dwadzieścia lat, zwaliłyby się teraz na niego.

Byłby wypalony wewnętrznie.

– Dziękuję – odparł – ale ja wrócę do pałacu. Muszę przejrzeć trochę listów. Jeśli mam oznajmić o swoich zaręczynach pod koniec mojej wizyty, trzeba sporządzić intercyzę ślubną.

Sir Vernon zaśmiał się gromko.

– Nigdy nie spotkałem niewiasty, do której należałoby się zalecać z intercyzą! Musisz z nią spędzić trochę czasu, Granville. Nasz lis winien dzisiaj lec z resztą pokotu na ziemi, ale panna Highwood nie może zrobić tak samo.

Piers już miał już odpowiedzieć, lecz starszy mężczyzna mu przerwał.

– Owszem – powiedział poufale – wiele pan osiągnął w życiu. Nikt nie zaprzeczy. Ale jeśli panna Highwood zmieni zdanie co do ślubu, stanie się to, jak obaj wiemy, nie po raz pierwszy. Poprzednia przyszła oblubienica wyślizgnęła się panu.

Piers słysząc tę sugestię, poczuł rozdrażnienie. Clio wcale mu się nie „wyślizgnęła”. Długo przebywał z dala od niej, ale nie bez powodu. Bezpieczeństwo jej zależało właśnie od tego, by się od niej trzymał z daleka, a któż mógł przewidzieć, że wojna potrwa tak długo? W każdym razie tylko dlatego zostali narzeczonymi, bo tak chciały ich rodziny, ale nie byłoby to małżeństwo z miłości. Nie mógł jej winić, że znalazła szczęście w związku z Rafe’em.

Prawdę mówiąc, Piers nie spieszył się ze znalezieniem sobie żony podczas pierwszego sezonu po swoim powrocie do Londynu. Ani podczas drugiego. Był zbyt zajęty, żeby myśleć o zalotach, a nawet o przelotnych romansach. Jeśli miał się jednak ożenić, wolałby to zrobić z własnego wyboru.

– Panna Highwood – odparł – nie wyślizgnie mi się.

– Dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że nie uraziłem pana moimi domysłami. Ta dziewczyna ma już nieco zaszarganą reputację – obojętne, zasłużenie czy nie. Postąpiłby pan przyzwoicie, oświadczając się jej. Chciałbym się jedynie upewnić, że uczyni to pan pod koniec drugiego tygodnia. Muszę myśleć o moich własnych córkach i nie chciałbym, by kojarzył się z nimi choćby cień skandalu.

– Daję panu słowo – odparł Piers zdecydowanym tonem. – Zaręczyny nastąpią na pewno.

– Niech pan jej tylko nie zaniedbuje. Damy lubią, żeby się za nimi trochę uganiać. – Sir Vernon klepnął go po plecach. – To swego rodzaju sport.

Piers zmierzał już w stronę Parkhurst Manor, gdy ujrzał coś, co sprawiło, że wręcz oniemiał.

Charlotte jechała ku niemu na koniu, wyglądając właśnie tak, jak ją sobie wyobrażał w swoich erotycznych rojeniach – z powiewającymi za nią złocistymi włosami, świeżą cerą i błękitnymi oczami…

Zamkniętymi?

Kiedy się lepiej przyjrzał, spostrzegł jej dłonie kurczowo uczepione końskiej grzywy i przerażenie na twarzy. Nie bez powodu.

Klacz szaleńczo cwałowała prosto ku strumieniowi, który w tej porze roku przeobrażał się niemalże w rzekę o wysokich, porośniętych z obu stron mchem brzegach.

Byłoby to skokiem niełatwym nawet dla doświadczonego jeźdźca, a nic w Charlotte, która ze zbielałymi kostkami palców i zamkniętymi oczami pędziła na złamanie karku ku tej przeszkodzie, nie świadczyło, by podobne doświadczenie posiadała.

Dowodziło raczej, że jest to działanie bez doświadczenia, idiotyczne i piekielnie niebezpieczne.

– Panno Highwood! – zawołał, puszczając konia kłusem, a potem jak najszybciej pełnym galopem.

Bezskutecznie.

Zbyt mała była odległość dzieląca ją od strumienia.

Nie zdążyłby dopaść jej na czas. Nie byłby w stanie.

Nic nie mógł zrobić.

Serce waliło mu w piersi jak szalone, głośniej chyba niż podkowy jej konia.

Nie zdołał nawet zawołać: „Charlotte!”, bo głos uwiązł mu w gardle.

Rzadko doznawał uczucia autentycznej bezsilności i nie potrafił sobie przypomnieć, by mu się to zdarzyło, odkąd był siedmiolatkiem.

Pamiętał zresztą, że nawet i wtedy ją znienawidził, postanawiając sobie wówczas, iż nigdy więcej nie dopuści, żeby coś w tym rodzaju odczuł.

A teraz właśnie podobnego uczucia doznawał, widząc, jak Charlotte Highwood pędzi na złamanie karku wprost ku katastrofie, on zaś może na to jedynie patrzeć.

Koń musiał zwolnić pęd dzięki wysokiemu brzegowi. Charlotte jednak z przerażającą prędkością, niczym wystrzelona z katapulty, przeleciała nad końskim łbem jak złotowłosy pocisk w zielonym aksamicie. Wylądowała z potężnym pluskiem głową na dół w strumieniu.

Piers zatrzymał wałacha i z zapartym tchem czekał, czy się wynurzy.

Każda chwila zdawała się trwać wieczność. Szalały w nim jednocześnie gniew, zaskoczenie, strach i rozpacz, a w umyśle wirowało kilka przypuszczeń, jedno bardziej przerażające od drugiego.

Rozbiła głowę o skałę. Skręciła kark. Utonęła.

Nie żyje. Nie żyje.

Nic nie można zrobić.

Już po niej.

Chwilę wcześniej Charlotte chętnie by uznała, że wolałaby znaleźć się gdziekolwiek, byle nie na grzbiecie tego przeklętego konia.

Nie miałaby racji.

Siedzenie na grzbiecie tego przeklętego konia było jednak odrobinę lepsze od napowietrznego lotu na kształt kuli armatniej.

A jedno i drugie było lepsze – i to dużo bardziej – od upadku głową naprzód w rwący, lodowaty nurt.

Woda złagodziła upadek i na całe szczęście Charlotte nie rozbiła sobie głowy, ale uderzyła z całej siły ramieniem o skalisty brzeg. A strój jeździecki ze szmaragdowozielonego welwetu, który tak ją zachwycił w sklepie londyńskiej krawcowej, wchłonął jak gąbka całą chyba wodę ze strumienia.

W jednym krótkim momencie straciła wszelką orientację, przemarzła do kości, była ze dwa razy grubsza niż przedtem i w sumie czuła się jak pijany wieloryb.

W końcu zdołała jakoś zgruntować, zaprzeć się mocno stopą o kamień i na tyle wyprostować nogi, by móc stanąć.

Zaczerpnęła chciwie tchu.

Potem jednak poślizgnęła się na mchu, straciła zdobytą wcześniej równowagę i znów znalazła się po same uszy w wodzie.

Rwący nurt zniósł ją wzdłuż strumienia i zepchnął na głazy z donośnym plaśnięciem.

Uff!

Charlotte uczepiła się skały oburącz, usiłując odzyskać dech. Przestała co prawda płynąć z prądem, ale nie mogła też dosięgnąć dna. Cała zdrętwiała od

lodowatej wody. Palce zaczęły jej sztywnieć, nogi stały się ciężkie jak z ołowiu.

Musiała wydostać się ze strumienia jak najszybciej, bo w przeciwnym razie popłynęłaby do samego morza.

Wyczuła pod stopami coś poniżej niej i wyciągnęła przed siebie ramiona, chcąc dosięgnąć brzegu.

Palce osuwały się jej na kamieniach i bryłach torfu. Prąd szarpał jej odzieniem, wpychał je między jej nogi. Wierzgała nimi bez większego skutku, chcąc za wszelką cenę posunąć się wyżej.

Wpiła się paznokciami w brudny brzeg. A wtedy…

Jakaś duża dłoń w rękawiczce schwyciła ją za nadgarstek.

A ktoś, do kogo ta dłoń należała, wyciągnął ją z topieli.

Wyłaniała się z wody powoli. Nie dlatego, by tak chciała, tylko z konieczności. Wytworny zielony aksamit wyglądał jak nędzna szmata pełna wodorostów. Włosy przylegały do twarzy w długich, posklejanych pasmach, przesłaniając jej wzrok.

Był w tym jakiś wprost tragiczny sens, gdy niezdarnie wyczołgała się na porośnięty trawą brzeg, rozgarnęła oślizgłe włosy i wycisnęła z nich wodę, a potem spojrzała na swego zbawcę, żeby się przekonać, że jest nim…

Piers.

– No jasne – wyjąkała, z trudem nabierając co chwila tchu. – Oczywiście, że to ty.

– Nie wydajesz się tym zachwycona.

Spojrzała na siebie. Nie przypominała bynajmniej syreny, dziewczyny zaklętej w fokę czy też Ofelii z rękami złożonymi na piersi ze znanego obrazu, którą z poetyckim dostojeństwem unosi woda. Nie, wyglądała tak, jakby ją przywiązano do kila i kilka razy przepłynięto z nią tam i powrotem po Tamizie, potem zaś pozostawiono wśród węgorzy i dzikich gęsi przez rok czy dwa.

On zaś, rzecz jasna, prezentował się wspaniale. Mniej więcej tak, jak dziewczyna mogłaby sobie wyobrazić rycerza w błyszczącej zbroi. Olśniewał dopasowanym czarnym surdutem do konnej jazdy, bryczesami z koźlej skóry, wyczyszczonymi do połysku heskimi butami i wykrochmalonym białym halsztukiem, a włosy miał ułożone wprost idealnie.

Wszystko to sprawiło, że nagle poczuła irracjonalne rozdrażnienie.

– Czy coś ci się stało?

– Nie. Wszystko w porządku.

Wyciągnął ku niej dłoń.

– Pozwól, żebym ci pomógł wstać.

– Nie trzeba. Zostaw mnie.

– Nie mogę. Spadłaś z konia i o mało nie utonęłaś. Jesteś przemarznięta, być może ranna, a twój koń stoi po drugiej stronie strumienia.

– Dziękuję za tak skrupulatne zobrazowanie mojego wypadku.

Dźwignęła się na nogi, strzepując kępki mchu ze stroju do konnej jazdy.

– Charlotte – powiedział łagodniejszym już tonem. – Pozwól, żebym…

– Nie mogę! – prychnęła rozdrażniona. – Nie pojmujesz, że ona się tego spodziewała?

– Kto się spodziewał?

– Frances. Nienawidzi mnie. To ona dała mi tego piekielnego konia.

Charlotte wskazała na Lady. Jabłkowita klacz skubała sobie spokojnie koniczynę z iście bukolicznym spokojem.

– Teraz wygląda całkiem nieszkodliwie, ale mówię ci, to bydlę jest nawiedzone!

– Owszem, widziałem.

– Wiem o tym. – Strząsnęła mokry liść z włosów.

Charlotte była świadoma, że jest nieuprzejma, ale nic nie mogła na to poradzić. Wszystko szło jej na opak. Zdradziła Delię. Zrozumiała, że popełniła jakiś błąd w swoim śledztwie. Nellie White wzięła jej zachowanie za zgoła niepożądane erotyczne awanse. Coraz bardziej malały szanse na rozpoznanie zagadkowych kochanków, a gdyby nawet odniosła sukces, nie miałoby to już większego znaczenia. Kobiety takie jak Frances nigdy nie dadzą jej spokoju po Zdesperowanej Debiutantce. Będą jej dogryzać, plotkować o niej nieustannie, nawet gdyby (nie, zwłaszcza gdyby) zjawiła się w Londynie jako żona Piersa. Charlotte powtarzała sobie wprawdzie, że nie powinna przejmować się plotkami, ale to wszystko skutecznie odbierało jej wiarę w siebie!

– Wróćmy do pałacu. Możemy oboje pojechać na moim wałachu.

– Pójdę pieszo. – Charlotte zaczęła wyżymać wodę z sukni. – Mogę sobie wyobrazić złość Frances, kiedy uzna, że padłam ci do nóg, żeby błagać o pomoc, i zmusiłam cię do niej.

– Nikt nie zmusi mnie do niczego.

– Bo nikt tego nie potrzebuje robić. Sam temu jesteś winien. – Westchnęła gniewnie. – Piers, nie mam wybitnych talentów, mój posag jest nieduży, a moje koneksje w porównaniu z twoimi są mizerne. Nigdy nie będziesz musiał traktować mnie jak godnej szacunku damy. Rozejrzyj się tylko wokół siebie.

Nikt tego nie robi.

– Mimo to – powiedział, chwytając ją za ramiona – zostaniesz damą. Moją damą. Będę traktować cię z szacunkiem, na jaki zasługuje ten tytuł. A tak samo uczyni panna Frances Parkhurst, jej przyjaciele, całe dobre towarzystwo, dwór i każdy, kto nie chciałby się narazić na moje krańcowe niezadowolenie.

Z trudem hamowana wściekłość w jego głosie sprawiła, że Charlotte „krańcowe niezadowolenie" skojarzyła z ostrymi klingami.

– Dlaczego? – spytała, wpatrując się w niego. – Tylko nie wspominaj mi nawet o pożądaniu. W tej chwili muszę wyglądać równie pociągająco, jak sterta mokrych szmat.

Spojrzał na nią i uniósł brew.

– Może cię to zaskoczy, ale…

Kopnęła go, choć niezbyt boleśnie, w goleń, próbując mu się wyrwać.

Schwycił ją za ramiona jeszcze mocniej.

– Puść mnie! – nalegała, niemalże z krzykiem.

Odpowiedział jej tak samo gniewnie:

– Nie mogę!

Spojrzała na niego, ciężko dysząc.

– Nie mogę pozwolić ci odejść, Charlotte. Tak jak tamtej nocy w bibliotece. Za nic nie pozwolę ci teraz odejść ode mnie.

Ujął jej twarz w dłonie. Nie z czułością, lecz z pełną zniecierpliwienia siłą. Nie byłaby zresztą w stanie odejść, nawet gdyby tego chciała.

Wpatrywał się w nią.

– Nie wystarczyło ci, że wdarłaś się w moje myśli, musisz w dodatku działać mi na nerwy. Czasami myślę, że wnikniesz nawet w moją krew.

Gniew wyczuwalny w jego głosie zaintrygował ją i podniecił. Kciuki okryte rękawiczkami wpiły się jej w policzki.

– A teraz masz czelność żądać, żebym ci pozwolił odejść. Za późno, moja miła. Koniec z tym. – Uniósł jej twarz ku górze. – Dosyć sprzeczania się o to.

Nie mówiąc już ani słowa, uniósł ją – razem ze spęczniałym od wody welwetem oraz resztą odzieży – i posadził na koniu przed sobą. Potem zaś dźgnął konia ostrogą, objął ją wpół i uwiózł ze sobą. Całkiem jakby byli bohaterami jakiejś nonsensownej baśni.

O księciu z bajki i potworze morskim.

14

Charlotte przylgnęła do niego z rezygnacją.

Była zbyt przemarznięta, żeby przeciw temu protestować ani też nie miała na tyle rozumu, by znaleźć inne wyjście z tej sytuacji.

No, bo jeśli Piers Brandon, markiz Granville, z całą swoją dumą, stanowczością i męską urodą postanowił sobie, że będzie jej bronił?…

Znakomicie.

Trzeba byłoby kobiety silniejszej od niej, żeby mu się mogła oprzeć.

Wsparła się o niego, pogrążona w romantycznym nastroju tej chwili, choć chciała się temu przeciwstawić. Niby pływak, który po długiej walce z prądem poddaje mu się, wyczerpany.

Uprowadził ją ze sobą. W każdym sensie.

Trzymał ją w mocnym, zaborczym uścisku, przyciśniętą do jego piersi, gdy jechali przez las. I było jej przy nim tak ciepło, czuła się tak bezpiecznie.

A pachniał po prostu jak marzenie, korzennie, balsamicznie, po męsku. Wonią, która zapiera kobiecie dech i sprawia, że wilgotnieje w skrytym miejscu.

Zamknęła oczy i wtuliła się w jego kamizelkę, wdychając jej zapach.

Zwolnił, gdy wjechali w las, i skierował konia ku zacisznej, słonecznej polance.

Zatrzymali się na niej.

Piers zeskoczył z konia, a potem objął ją w pasie i pomógł jej zsiąść.

– Czemu nie jedziemy dalej?

– Chcę się samemu przekonać, czy nic ci się nie stało. Nie mógłbym tego zrobić po powrocie do pałacu.

Posadził ją na pniu świeżo ściętego drzewa. Najpierw zdjął swoje rękawiczki i surdut do konnej jazdy, a potem powiesił go na gałęzi. Szybkimi, rzeczowymi ruchami rozpinał jej żakiet, póki nie udało mu się go wreszcie z niej ściągnąć. Przeszedł ją lekki dreszcz i skuliła się. Cienki, biały staniczek przywarł jej ściśle do ciała i był niemal przezroczysty.

Jeśli to zauważył, nie mrugnął nawet okiem. Położył żakiet na kępie zielska i ukląkł przed nią na jednym kolanie. Ujął ją za prawą stopę i wsparł ją o drugie. Kiedy nie zdołał szybko rozsupłać sznurowadła, sięgnął za własną cholewkę po nóż i rozciął je w samym środku. Wreszcie zdjął jej but z nogi i postawił go koło pniaka, nim sięgnął pod halki, zdarł z uda podwiązkę i ściągnął wilgotną pończochę lepiącą się wręcz do nogi. Przesunął dłonią od kostki po udo, lecz nie po to, by ją obmacywać; po prostu chciał się o wszystkim dokładnie przekonać. Z zadowoleniem stwierdził, że może poruszać palcami stopy oraz kostką we wszystkich kierunkach i że nie jęczy z bólu, gdy ją w różnych miejscach naciskał.

Wtedy postawił jej nogę ostrożnie na trawie, a lewy but na swoim prawym kolanie – i zaczął całą operację od nowa.

Charlotte, patrząc na niego z pniaka, poczuła, że robi się jej cieplej. Popołudniowe słońce zaczęło osuszać jej włosy i dodało ducha. Nie czuła się już dłużej morskim potworem.

Przygryzła jednak wargę, gdy znów przesunął dłonią od kostki po udo.

– Czy cię zabolało? – spytał z powagą.

– Nie, tylko zaskoczyło.

Patrzyła w ziemię, gdy postawił but tuż obok pierwszego, a pończochy zwinął starannie w kłębek. Na własną modłę. Bardzo w swoim stylu. Tydzień temu byłoby ją to zirytowało, teraz jednak podziałało na nią całkiem inaczej. Okazało się zaskakująco czułe i wzruszające.

O Boże. Można by sądzić, że te dwie przemoczone pończochy to dwa koszyczki kwiatów lub sznury diamentów, a nie szorstkie kłębuszki wełny, nie nadające się już do użytku. Nie była to również jej najlepsza para. A jednak, gdy na nie spoglądała, chciało się jej płakać ze wzruszenia.

Co się z nią dzieje? Na pewno coś jej jest. Przemknęło jej przez myśl kilka możliwości, jedna gorsza od drugiej.

Może ma początek okresu.

Może uszkodziła sobie głowę.

Może, za przykładem matki, zawiodły ją nerwy.

A może… może zakochała się w nim.

Och, nie. Och, Boże. To jednak musi być to!

Zakochała się.

Instynktownie zacisnęła palce na krawędzi pnia. Jakby sądziła, że w przeciwnym razie spadnie z niego. Albo się ześlizgnie.

Piers postawił jej stopę na ziemi i nachylił się nad nią.

Schwyciła kurczowo za pień.

Och, Boże. Och, Boże.

Był tak blisko niej. Tak blisko. I taki przystojny.

Choć zawsze był przecież przystojny, teraz wydał się jej pięknym aż do bólu. Mały dołeczek na jego podbródku przyciągał ją nieodparcie. Poczuła, że w głowie się jej kręci, a serce bije tak mocno, jakby miało pęknąć.

Nikt jej nie uprzedził, że miłość to właśnie coś takiego. Kojarzyła się raczej z czymś miłym, a nie przerażającym.

A może to wcale nie miłość, tylko malaria?

Przesunął dłońmi po jej talii.

– Żebra masz chyba całe.

Czyżby? To prawdziwy cud, zważywszy, jak łomotało w nich serce.

Odgarnął jej włosy z twarzy, widząc, że pełno na nich śmieci.

– Nie boli cię głowa?

– Nie.

– Możesz swobodnie oddychać? – spytał. – Nie czujesz się osłabiona albo oszołomiona?

– Może trochę – przyznała uczciwie.

Jakże mogło być inaczej? Wpadła do strumienia. A także na tego mężczyznę. Obydwa razy na łeb, na szyję. Bez ratunku.

Tego było za wiele.

– Kiedy będziemy już w pałacu, poślę po miejscowego leka…

Pocałowała go.

Nie mogła nic na to poradzić. Rozpaczliwie pragnęła go dotknąć, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Tak mocno przywarły do pniaka, jakby do niego przyrosły.

Raptownie przywarła wargami do jego ust. Raz, potem drugi. Błagając go bez słów, żeby się jej odwzajemnił.

Przez jedną okropną chwilę zwątpiła. Nie w niego. Tego by nigdy nie zrobiła. Tylko w siebie.

A potem wszelkie wątpliwości znikły – wszystkie chłodne, obojętne obiekcję wyparowały i pocałowała go z namiętnością.

Tak. Tak.

To był Piers, którego całą sobą pragnęła. Urodzony dyplomata. Mężczyzna zaborczy, niecierpliwy, a nawet trochę gwałtowny.

Nie sposób mu się było oprzeć.

Całowali się rozchylonymi ustami, językiem, wargami i zębami. Usiłując pokonać nie siebie wzajemnie, ale przestrzeń pomiędzy nimi.

Pocałunek nie wystarczał jej. Nie teraz. Chciała – nie, pragnęła z całej siły – czegoś więcej.

Żeby go dotykać, żeby go zamknąć w ramionach, żeby się wtopić w niego.

Usiłowała walczyć z bzdurnymi, pruderyjnymi guzikami, a potem porzuciła je na rzecz wręcz nieznośnych guzików jego kamizelki. Ale i one się jej opierały.

W końcu wyszarpnęła mu jego koszulę ze spodni i wsunęła pod nią dłonie.

Wciągnął gwałtownie dech. Gdy poczuł jej zlodowaciałe palce na sobie, jakby oprzytomniał.

Ale ona, niezrażona tym, gładziła go po sprężonych mięśniach torsu. Pieszcząc, łagodząc, kusząc go, by dotknął teraz jej.

Wpatrzył się w jej twarz. Dojrzała w jego chłodnych błękitnych oczach rozterkę. Skryty wewnątrz niego dżentelmen toczył ostatnią walkę. Czuła, jak balansuje na cienkiej niby ostrze brzytwy granicy między obowiązkiem a pożądaniem.

– Zimno mi – szepnęła.

I to rozstrzygnęło o wszystkim.

„Zimno mi”.

Nie potrzebował niczego więcej od tych dwóch cichych, prostych słów.

Dla niej były pretekstem. A może zachętą.

Dla niego wezwaniem do czynu.

Było jej zimno. A on cały płonął.

Reszta stała się czymś oczywistym.

Pragnął ją obnażyć, mieć ją tuż przy sobie, ogrzać na wszelki sposób, każdą częścią ciała, jaką Bóg mu dał w tym celu.

Nie tylko dlatego, że pragnął tego szaleńczo, ale dlatego, że chciał się o nią troszczyć. Teraz i zawsze.

A jej było zimno.

Bezlitośnie walczył z każdym guzikiem, który śmiał się opierać jej zziębniętym palcom. Suknia i halka poddały się natychmiast i dość łatwo. Ściągnął z niej wilgotną koszulę, staniczek i gorset, którego sznurówkę unicestwił jednym szybkim szarpnięciem.

Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca powietrze.

Dodało mu to wigoru.

Liczył w myśli dziurki, gdy sznurówka się z nich wysuwała.

Jedna, druga, trzecia…

Przygryzła poróżowiałą wargę.

Czwarta, piąta…

Wciąż jeszcze nie jest za późno. Cofnij się. Powiedz, żebym przestał.

Szósta.

Zdobył swoją Persefonę.

Wziął ją w ramiona, przyciągnął ku sobie i całował głęboko, zapominając o wszelkiej powściągliwości. Jakby nigdy nie całował żadnej kobiety. Nic nie hamowało jego pożądania, jego pragnień.

Ani jego serca.

Serca?

Do licha.

Nie mógł uporać się z tą myślą. Nie teraz, kiedy ręce miał pełne Charlotte, jej splątanych włosów, mokrej koszuli i zziębniętego, drżącego ciała pod nią.

Postawił ją na nogi. Zaśmiała się lękliwie, a na niego ten dźwięk podziałał niczym kaskada złotych iskierek i sprawił, że poczuł się jak nowo narodzony.

Rozścielił dla niej swój surdut na kępie trawy. Wsparła się na łokciach, patrząc, jak zdziera z siebie rozpiętą kamizelkę i zabiera się do koszuli.

– Nie spiesz się tak – powiedziała. – Zwolnij! Chętnie poczekam.

Zrobił, jak sobie życzyła.

Uniósł w skrzyżowanych rękach jej rąbek, a potem powoli ściągnął ją przez głowę.

Ukląkł przed nią, z torsem wystawionym na słońce w zenicie.

Spojrzała na niego i pospiesznie rzekła:

– Zmieniłam zdanie. Pospiesz się.

Teraz on z kolei się zaśmiał. Zdjął buty i bryczesy najszybciej, jak mógł, a potem dołączył do niej na trawie, nim jej rozszerzone ze zdumienia oczy zdołały go ostrzec.

Była dziewicą, a on… nadmiernie gotów. Boleśnie doświadczony całym tygodniem daremnego pożądania. Chciał ją uszczęśliwić, ale nie wiedział, czy mu wolno to zrobić.

– Charlotte.

Przesunął dłonią od jej piersi do bioder.

– Pragnę cię. Bardziej niż pragnąłem w życiu czegokolwiek. Skręcam się cały

z chęci, by to uczynić. Nie chcę przyczynić ci bólu, ale chyba nie obejdzie się bez niego. Lękam się, że będę ci go musiał zadać.

– O Boże, co za solenny ton. – Pogładziła go po czole. – Wiem, że to będzie trochę bolało. Ale się nie boję. Ty też się nie bój.

Strach.

Pragnął zbagatelizować to słowo, okazać męską śmiałość, ale nie mógł. Nie zdołał przekonać samego siebie. Ręce mu się trzęsły, oddech drżał, gdy pogładził ją po udach. Przeciwnie niż Charlotte, nie mógł zwalić winy na chłód.

Musiał uwolnić ją od koszuli. Cienkie płótno zaczęło już wysychać – ale on pragnął jej nagości. Chwycił za rąbek i ściągnął mlecznobiałą gazę z jej ciała, odsłaniając wszystko, co kryło się pod nią.

Nie starała się osłonić przed jego wzrokiem, a on chciwie patrzył na jej ciało skąpane w słonecznym blasku. Było tak piękne, że zaniemówił. Sądząc po jej nieśmiałym uśmiechu, wyczuła jego podziw nawet bez słów.

Musnęła końcami palców włosy na jego torsie i powiodła nimi po jego płaskich piersiach. On z kolei przesunął dłonią po jedwabistej skórze jej pleców, dotknął miękkości biustu.

Leżeli tak, wtuleni w trawę, wdychając złocisty zapach jesieni, jakby byli pierwszą parą ludzi na ziemi od czasów Stworzenia i czuli się oboje niczym w rajskim ogrodzie. Sprawdzali, czym ich ciała różnią się od siebie. Dzielili ze sobą pragnienia, które tworzyły z nich całość.

Całował całe jej ciało, wielbiąc każdy jego cal. Odetchnęła gwałtownie i drgnęła, gdy rozsunął jej uda.

– Pozwól mi na to – wyszeptał, przesuwając po nich językiem. – Poradzę sobie z tym. Zrobię to dobrze.

Ujął ją oburącz za talię i sięgnął ku różanemu, skrytemu pączkowi jej ciała.

Wczepiła się palcami w jego włosy, a on nie słyszał już nic prócz jej zdyszanego oddechu. Zaczęła poruszać się pod nim, szukając większej bliskości i większej błogości.

Objął ją mocno, nie ustając w swoich wysiłkach. Kiedy całkowicie oddała się rozkoszy, wsunął w nią dwa palce i poruszał nimi tam i z powrotem, nie przestając jej całować.

Wydyszała jego imię.

Nie przerwał tego, co robił, ani na chwilę, czyniąc to z jeszcze większym oddaniem.

Czuł, jak jej udo drga tuż przy jego policzku, co tylko go zachęciło. Ciało jej

całe zesztywniało.

O, tak. Poddaj się temu. Pozwól, żeby się to stało.

Mógłby na tym spędzić cały dzień, gdyby tylko chciała, ale ona otwarła się pod nim cała w zadziwiający sposób, dysząc i wyginając się w kabłąk.

Przycisnął ją do ziemi i kołysał łagodnie, póki jej oddech nie zwolnił.

Ucałował ją, gdy się wycofał z jej ciała, wsparty na łokciach i kolanach. Nadal trzymał ją w ramionach, chroniąc ją całym sobą. Ale ona dawała mu w zamian dużo więcej. Pociechę. Wsparcie. Miejsce, gdzie mógł ulżyć skołatanemu sercu.

Rozwarła uda, czyniąc z nich kołyskę dla jego nóg. Sprężone przyrodzenie Piersa zmierzało ku niej.

Uniósł się na łokciach, a potem poruszył biodrami, tak że znalazło się właśnie tam, gdzie tego pragnął.

Spojrzała na niego rozjaśnionymi oczami, całkiem jednoznacznie. Ufała mu tak bezgranicznie, że ścisnęło go w gardle. Usiłował powściągnąć nieodpartą chęć, żeby uczynić to szybko i bezwzględnie. Zawładnąć nią, nim zdoła zmienić zdanie.

– Jeśli to zrobimy, musisz za mnie wyjść. Rozumiesz?

Skinęła głową, co mu jednak nie wystarczyło. Potrzebował słów.

– Wtedy będziemy już ze sobą związani. Nieodwołalnie. Na zawsze. Powiedz, czy mnie rozumiesz. Chcę to usłyszeć z twoich własnych ust, Charlotte. Powiedz, że… – wydyszał – …że zostaniesz moją żoną.

Spojrzała na niego, pełna uczucia. Najwyraźniej usłyszała właśnie prawdziwe oświadczyny albo przynajmniej coś bardzo do nich zbliżonego.

– Zgadzam się, Piers. Wyjdę za ciebie.

Wyjdę za ciebie i będę cię kochać. A w jakiś dziwny sposób ty mnie również.

Była całkowicie pewna jednej jedynej rzeczy. Nie zachowa się jak jedna z dziewic, które miotają się i krzyczą, kiedy tracą cnotę. Potrafi znieść trochę bólu. W końcu czuła już w sobie jego palce. Czyż ta jego część może być od nich dużo większa?

Okazało się jednak, że jest o wiele większa, gdy tylko poczuła jak dotknął jej samym czubkiem. Większa, grubsza, twardsza, gorętsza.

Pod każdym względem… było jej za dużo.

Nadal jednak sądziła, że radzi sobie z tym całkiem dobrze.

Póki nie poczuła pierwszego pchnięcia.

Och, Boże. Och, Boże.

Nic nie mogła na to poradzić i musiała poniechać wszelkich poprzednich postanowień. Krzyczała na cały głos, zesztywniała, wpijając mu paznokcie w ramiona.

Zaklął.

– Przepraszam cię.

Chciała mu rzec, że wszystko jest w porządku, znakomicie, żeby nie martwił się o nią i robił nadal swoje.

Tylko że nic nie było w porządku ani znakomicie, a jeśli on będzie robił tak nadal, to gotowa jeszcze niechcący podbić mu oko.

– Uczynię to tak powoli, jak tego chcesz. Nie zacznę na nowo, póki nie powiesz mi, że już można. Daję ci słowo.

Charlotte skinęła głową. Odetchnęła głęboko i znów wciągnęła dech, chcąc się odprężyć.

Kiedy ból wreszcie zelżał, puściła jego ramiona. Posunął się trochę dalej i – prawdziwy cud – nie sprawił, że miała ochotę krzyczeć.

– Lepiej teraz? – spytał.

– Tak.

Troszczył się o nią. Silił się, jak mógł, żeby nie tylko było to możliwe do zniesienia, ale cudowne. Dzięki temu wszystko stało się lepsze.

Każdy z jego ostrożnych ruchów był łatwiejszy do wytrzymania niż poprzedni. Czuła się cała spięta i obolała, ale mogła to jakoś wytrzymać. A może nawet polubić.

Kiedy dotarł do samego końca, wydał głuchy jęk. Cała sztywność w jej ramionach i szyi z miejsca gdzieś znikła.

A wtedy stało się coś najbardziej groteskowego.

Leżała na wznak i myślała o Anglii.

W mgnieniu oka ujrzała wszystko: party, polowanie na lisa, na przepiórki i nagrody strzeleckie. Schadzkę w bibliotece, powozy, cieniste doliny jesienią.

Wszystkie te nonsensowne, krańcowo angielskie, osobliwe zwyczaje, które uformowały charaktery ich obojga i zmusiły ich do połączenia się w parę.

Zauważył jej uśmiech.

– Co cię tak bawi?

– Absolutnie wszystko.

Nachylił się, żeby ją pocałować.

– Kocham cię za to.

Serce się jej ścisnęło. Ale ze wzruszenia, gorzkiego i słodkiego zarazem.

Nie żądaj zbyt wiele, powiedziała sobie. Jeśli się trochę postara, może zapamiętać te słowa po prostu jako „kocham cię” – lub coś bliskiego im znaczeniem.

Brał ją z początku powolnymi, delikatnymi ruchami. Potem stały się mocniejsze, gwałtowniejsze. Bolały, ale przecież spodziewała się tego. Chciała patrzeć na niego, widzieć jego twarz naznaczoną spazmem rozkoszy i jawnym pożądaniem. Ale w ostatniej chwili cofnął się i przekręcił na bok, zraszając nasieniem fałdy własnej, zgniecionej koszuli.

Uznała, że był to z jego strony godny uznania gest, nawet jeśli czuła się nieco rozczarowana. Nawet w krytycznym momencie zapomnienia zdołał się opanować.

A potem gładził jej nagie ciało w blasku słońca, dotykając go, poznając i przyglądając się mu wszędzie, gdzie pragnął.

– Przypominasz chłopca zachwyconego nową zabawką – powiedziała.

– Nie jestem chłopcem, Charlotte, tylko mężczyzną, który zna sekrety Korony, plany bitew i zawiera międzynarodowe traktaty. Ale w tej chwili myślę, że jesteś czymś najcenniejszym, co kiedykolwiek miałem. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Stałaś się teraz moją.

Jedna jej część pragnęła zbuntować się przeciw temu zaborczemu tonowi, ale druga uznała go za porywający. Nie warto było przeczyć, że zdobył jej serce. A także ciało.

Należała do niego.

Im wcześniej się z tym pogodzi, tym szybciej sprosta czekającemu ją wyzwaniu.

Miał należeć do niej.

15

Charlotte śniło się, że siedzi w łodzi kołyszącej się na boki i nagle morze zaczyna gwałtownie falować, rzucając nią tu i tam. Gdzie jest Piers? On by zatrzymał ten żywioł. Nawet fale nie ośmieliłyby mu się sprzeciwić.

– Charlotte, Charlotte!

Otwarła oczy.

– Piers?

Spojrzała na jego dłoń. Zaciskał ją mocno na jej ramieniu. Nie zapewnił jej bezpieczeństwa podczas sztormu. To właśnie on ją szarpał.

– O co chodzi? – spytała sennie i ledwo zrozumiale.

Poczuła chłodną trawę pod stopami. Przypomniała sobie polowanie, strumień, łąkę. A także to, że kochali się tam ze sobą.

Gdy spojrzała na niego przytomniej, mogła dostrzec, że ma poważną minę.

Rozbudziła się na dobre w jednej chwili.

Schwyciła go za ramię.

– Czy coś się stało?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie.

– A więc o co chodzi?

– O nic. – Odwrócił się, naciągając na siebie spodnie.

– Na pewno? – Objęła go i przytuliła policzek do jego ramienia. Zimny pot wystąpił mu na czoło, serce waliło jak oszalałe. Mogła to wyczuć.

– Piers, co ci się stało?

– Nie mogłem się ciebie dobudzić. To wszystko.

Przycisnęła czoło do jego pleców.

– Strasznie przepraszam. Śpię zawsze jak suseł. Cała rodzina o tym wie, służba także. Zapomniałam cię uprzedzić.

Słońce stało już nisko, cień zaczął zasnuwać łąkę.

– O Boże. – Usiadła i sięgnęła po koszulę, wciągnęła ją przez głowę i

wsadziła ręce w rękawy. – Pewnie zachodzą w głowę, co się z nami dzieje. Chyba spostrzegli, że zniknęliśmy razem. – Podniosła jedną z pończoch i już miała wsunąć w nią stopę, gdy nagle zamarła, bo przypomniało się jej coś gorszego.

– Och ta piekielna Lady! Jest już chyba w połowie drogi do Szkocji.

– Wie, gdzie znajdzie strawę i wodę. Pewnie już wróciła do stajni.

– Może masz rację… Ale nie wiem, jak im wytłumaczę…

– Charlotte – przerwał jej – jeśli trzeba będzie jakichś wyjaśnień, usłyszą je ode mnie. – Nachylił się ku niej i lekko pogładził ją po policzku. – Zajmę się odtąd wszystkim. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Ja… tak. Chyba rozumiem.

„Zajmę się wszystkim".

Czekała na tę obietnicę, odkąd przestała być dziewczynką, a nie była już nią. Zwłaszcza nie teraz, po tym, co zaszło na łące.

Godzinę czy dwie wcześniej miała w głowie mnóstwo pytań. Wciąż jeszcze nie dawały jej spokoju.

Jak to wszystko będzie wyglądało? Nie tylko teraz, ale przez resztę życia? Dał jej słowo, że zadba o nią. Czy pozwoli, żeby ona zadbała o niego? Czy powierzy jej swoje sekrety, wyjawi lęki? Czy zgodzi się, żeby znalazła drogę do jego strzeżonego zawzięcie serca?

Pożądanie i rozkosz są czymś bardzo dobrym, ale czy przetrwają?

Tylko jedna rzecz wydawała się jej jasna, gdy opuszczali łąkę. Nie było już odwrotu. Nie warto myśleć o kochankach z biblioteki. Miała teraz jeszcze większą zagadkę do rozwiązania – był nią Piers.

– Nie mogę dłużej czekać. Musimy zrobić to teraz. – Delia przysunęła się do Charlotte na kanapie w salonie.

Charlotte podniosła oczy znad książki.

– Co mamy zrobić?

– Porozmawiać z nimi – szepnęła Delia. – O wyjeździe na kontynent. O Grand Tour. O ucieczce od natrętnych rodziców i angielskiej socjety. Czy rozumiesz, o co chodzi?

– Och, oczywiście.

Charlotte poczuła się straszliwie winna. Nie myślała wcale o Delii ani o ich planach, kiedy kochali się z Piersem.

O niczym wtedy nie myślała. Tylko czuła.

A czuła się kimś wspaniałym, uwielbianym i zakochanym.

Najwyraźniej powinna jednak dodać do tej listy dwa określenia: samolubna i nieostrożna. Delia cały czas liczyła na jej przyjaźń.

– Oczywiście, że rozumiem to wszystko. Ale nie możemy mówić z nimi teraz.

– Nie będzie lepszej okazji. Papa tak się cieszy ze zwierzyny ubitej przez niego dzisiejszego popołudnia, że wypił przynajmniej dwie szklaneczki portwajnu. Mama jest dumna z obiadu i planuje pożegnalny bal na cześć lorda Granville'a. Są w bardzo dobrym nastroju. Nie będzie korzystniejszej chwili.

– Ale…

– Ale co?

Ale twój ojciec wciąż uważa mnie za bezwstydną gęś, która chce złapać męża, twój brat sądzi, że chciano mnie zamordować, a twoja siostra zagroziła, że mnie zniszczy.

– Czy chodzi o twoją matkę?

– Tak – powiedziała pospiesznie. – Tak, całym problemem jest moja matka.

Była to jedyna dobra rzecz, którą mogła o niej powiedzieć. Matka stanowiła znakomite usprawiedliwienie w każdym wypadku. W tej chwili wspierała stopy na podnóżku i kartkowała magazyn dla dam.

– Nigdy się nie zgodzi – mruknęła Charlotte. – Nie tylko teraz.

– Nie sądzisz, że wciąż próbuje cię wydać za lorda Granville'a?

– Całkiem możliwe.

Stanowczo, definitywnie, z pewnością możliwe.

– Ale przecież ty wyraźnie dałaś do zrozumienia, jak bardzo go nie lubisz – szepnęła Delia, zasłaniając usta szkicownikiem. – A przez ostatnie kilka dni on wcale nie zwracał na ciebie uwagi.

– Wiem – odparła Charlotte, z większym przygnębieniem niż powinna sobie była na to pozwolić.

W jakiś zaskakujący sposób i ona, i Piers nie ściągnęli wcale na siebie uwagi swym spóźnieniem. Każdy z obecnych przygotowywał się do obiadu i wszyscy przypuszczali, że Charlotte od dawna już jest w swoim pokoju. Piers nie musiał się więc z niczego tłumaczyć.

Ale teraz, po dwóch dniach, ledwie się do niej odzywał.

Świadomie jej unikał, całkiem tak, jak go o to prosiła podczas pierwszego spotkania. Teraz niczego bardziej nie pragnęła niż tego, by częściej go widywać i rozmawiać z nim. Żeby ją obejmował. Żeby mogła wdychać zapach jego skóry.

A przynajmniej żeby się z nią po południu przespacerował po ogrodzie.

Nie mogła zrozumieć, czemu tak od niej stroni. Chyba że…

Chyba że jej uczucia były mu po prostu obojętne.

– Czy wciąż jeszcze chcesz ze mną wyjechać? – spytała Delia z wahaniem. – Nie miałabym do ciebie pretensji, gdybyś zmieniła zdanie. Wiem, że nie byłabym najodpowiedniejszą towarzyszką podróży. Chodzę zbyt wolno i…

– Nie myśl o tym. Nie mogłabym wyobrazić sobie lepszej.

– Och, jak to dobrze – przyjaciółka westchnęła z ulgą. – Bo jeśli miałabym spędzić kolejny sezon w kącie sali balowej…

– Zyskamy obie swobodę. – Ścisnęła Delię za rękę. – Za rok o tej porze będziesz malować widoki Morza Śródziemnego. Obiecuję ci.

W jakiś dziwny sposób Charlotte pragnęła, żeby właśnie tak się stało.

Spojrzała poprzez pokój na Piersa. On mógł to urzeczywistnić. Nie musieli przecież brać ślubu od razu. Mógłby też zapewne opłacić tę podróż i zapewnić im pobyt za granicą dzięki swoim dyplomatycznym kontaktom. Miałyby szansę poznać księżniczki i arcyksiążąt. Sir Vernon, lady Parkhurst, a także jej matka nie mogliby im tego odmówić, niezależnie od całej opiekuńczości.

Charlotte ośmieliła się nawet myśleć, że zdoła go do tego przekonać. Rozumiał, czym jest lojalność. Znał wagę dotrzymywania obietnicy.

Musiałaby jednak najpierw z nim pomówić, ale przez ostatnie pół godziny Piers uparcie czytał gazetę.

No, podnieś wreszcie głowę – prosiła go w myśli. – Spójrz na mnie.

A on tymczasem wertował „Timesa”. Musiał to być jakiś szczególnie interesujący numer.

Delia odłożyła szkicownik.

– Pomówmy z nimi teraz. Jeśli odmówią, to trudno. Po prostu nie mogę dłużej znieść napięcia.

Charlotte puściła jej rękę.

– Poczekaj!

– Jarzyny. – Lady Parkhurst odłożyła pince-nez i spojrzała na listę dań. – Nie mogę się zdecydować, czy podać jarzyny na kolację po balu.

Na szczęście jarzyny ją ocaliły. Charlotte, mimo wszelkich nauk o właściwym żywieniu, nigdy nie oczekiwała, że tak ją to ucieszy.

– Miałam zamiar podać coś we francuskim stylu – ciągnęła lady Parkhurst – a bakłażany w mojej cieplarni wydały wspaniałe owoce.

– Bakłażany? – spytał sir Vernon. – A cóż to takiego?

Charlotte chwyciła mocno Delię za ramię. Nie odważyła się jednak na nią

spojrzeć. Obie wybuchnęłyby wtedy śmiechem.

– Gdybyś choć raz zainteresował się moimi roślinami, wiedziałbyś. To najnowsza odmiana rodem z kontynentalnej Europy i ma podłużne, purpurowe owoce o, takiej wielkości. – Ukazała ich rozmiar gestem dłoni. – Niektóre z nich mają nawet siedem do ośmiu cali długości.

Charlotte utkwiła wzrok w dywanie i usiłowała oddychać przez nos. Oddech siedzącej obok niej Delii znacznie przyspieszył.

– Purpurowa jarzyna? – prychnął sir Vernon. – A co ty z nią zrobisz?

– W tym właśnie rzecz. Nie znam odpowiednich przepisów. Słyszałam jednak, że Francuzi gotują z bakłażanów wspaniałe dania.

Piers uniósł wzrok znad gazety i spojrzał ukradkiem ku Charlotte. Wyraźnie zwrócił na nią nieco uwagi. Pewnie się zastanawiał, czy nie wezwać doktora, żeby zdiagnozował, czemu ona cierpi na konwulsje.

– Lordzie Granville, pan spędził pewien czas na kontynencie. Czy smakowały panu bakłażany? – spytała z powagą lady Parkhurst.

Nie mogły się już powstrzymać. Delia parsknęła śmiechem, a Charlotte próbowała – ze średnim powodzeniem – ukryć swój, udając napad kaszlu.

Matka jej odłożyła magazyn.

– Doprawdy, co was tak śmieszy, dziewczęta?

– Nic, mamo. Po prostu pokazywałam Delii zabawny ustęp w mojej powieści.

– Co to za powieść? – spytała Frances, odkładając haft.

Delia robiła, co mogła, by wymyślić jakiś podstęp. Wskazała na książkę.

– Widzi pani, występuje w niej pewna dziewczyna, która natyka się na… na…

– Gołębia – dokończyła za nią Charlotte.

– Gołębia? – spytała Frances.

– Gołębia? – powtórzyła Delia.

Charlotte rzuciła przyjaciółce spojrzenie, które mówiło: „wiem, ale się boję”.

– To nie był wcale zwyczajny gołąb – ciągnęła – tylko złośliwe, krwiożercze ptaszydło. A właściwie całe stado gołębi.

Frances aż zamrugała ze zdumienia.

– Nigdy nie słyszałam czegoś tak absurdalnego.

– No właśnie! – oświadczyła Delia. – Możecie więc zrozumieć, dlaczego nas to tak rozbawiło.

Charlotte zdołała wreszcie stłumić śmiech, ale spojrzała nagle na Delię. Był to błąd, bo znów zaczęły obydwie chichotać.

– Czasem się dziwię, czy wy obie nie spędzacie ze sobą zbyt dużo czasu. – Sir

Vernon przyjrzał się im uważnie znad szklaneczki portwajnu. – Nie chciałbym dojść do wniosku, że mam głupią córkę.

Kiedy każdy z obecnych wrócił do lektury lub haftu, Delia szepnęła:

– Rzeczywiście, chyba to nie jest odpowiednia chwila na rozmowę o Grand Tour.

– Istotnie – zgodziła się Charlotte i choć nie powiedziałaby tego na głos, w myśli dodała: Całe szczęście, że możemy wreszcie pójść do łóżka.

Było jeszcze coś, co wolałaby nie tylko zachować w pamięci, ale nawet kazać wyryć na własnym grobie.

Nauki mamy o obowiązkach małżeńskich mimo wszystko przyniosły mi korzyść.

16

Gdy Piers tego samego wieczoru wszedł do sypialni, ledwie zdołał zdjąć wierzchnie okrycie, zauważył małą, złożoną we dwoje kartkę, którą ktoś wsunął mu pod drzwi.

Powiesił surdut na haku jedną ręką, a drugą rozłożył papierek. List zawierał tylko jedną linijkę tekstu:

„Muszę z tobą pomówić".

Nie miał wprawdzie podpisu, ale on wiedział, że mogła go napisać tylko Charlotte. A jeśli ryzykowała ten sposób nawiązania z nim łączności, sprawa musiała być pilna.

Zobaczył, że korytarz jest pusty, nie tracił więc czasu. Zapukał cicho do jej sypialni.

Nikt się nie odezwał.

Zapukał po raz drugi.

– Charlotte!

Żadnego odzewu.

Nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Wyjął szpilkę z halsztuka i wsunął ostry koniec do zamka. Na ogół potrafił hamować zniecierpliwienie i rozczarowanie, ale tym razem wymknęły mu się spod kontroli. Niezręcznie manipulował szpilką i przeklęty drobiazg wpadł w ciemną szparę między klepkami. Niech to diabli.

Cofnął się od drzwi. Nie potrafiłby teraz stanąć na czworakach, żeby poszukać szpilki, i nie zamierzał też pójść po drugą. Powinna była usłyszeć go i otworzyć do tej pory drzwi, chyba że…

Chyba że coś jest nie w porządku.

Stanął mocno na lewej nodze, a prawą szybko kopnął drzwi, wyłamując zamek. Drzwi zakołysały się na jednym jedynym zawiasie. Nie był to najcichszy sposób włamania się do pokoju, ale niewątpliwie skuteczny.

Jak zwykle, wnętrze wyglądało na splądrowane. Domyślił się jednak, że powodem jest raczej brak zamiłowania Charlotte do porządku niż walka na śmierć i życie – ale nie był o tym całkiem przekonany. Puls mu przyspieszył, gdy przeszukiwał pokój.

– Charlotte?

Na dywanie piętrzyły się stosy rzuconej niedbale odzieży. Pelisa i kapelusik wisiały na poręczy łóżka. Na gotowalni leżało w nieładzie mnóstwo grzebieni, wstążek i pudełeczek z pudrem.

Gdy zamierzał przyjrzeć się oknu, potknął się na jakimś bucie, lecz na szczęście uchronił go od upadku stos halek i koszul. Walczył o utrzymanie równowagi, ale żeby tego dopiąć, musiał wyplątać się z mnóstwa pachnącej bielizny.

– Co za choler…

– Piers?

Charlotte stała w drzwiach wiodących do małej garderoby. Najpierw spojrzała na wyłamane drzwi. Potem na falbaniastą halkę z koronki w jego ręce.

A potem, wreszcie, na niego.

– Piers, co ty u licha tu robisz?

Znakomite pytanie.

Być może zaczynał tracić rozum. Najwyraźniej nie był już zdolny do chłodnej rezerwy, a instynkt czujności, doskonalony przez lata, opuścił go.

Nie poczuł nawet ulgi, widząc ją ubraną jedynie w cienką i niezupełnie zapiętą koszulę. Rozpuszczone włosy spływały jej z ramion w gęstych pasmach.

– Co ja robię? – spytał, odrzucając na bok halkę. – A co właściwie robisz tutaj ty? Nie zareagowałaś na moje stukanie.

– Nie dosłyszałam go. – Wskazała na garderobę. – Służące przygotowują mi kąpiel.

– Kąpiel.

– Tak, kąpiel. W wodzie, z mydłem, w wannie.

No cóż, usłyszał najzupełniej rozumne wyjaśnienie.

A niech to licho.

Przejechał dłońmi po włosach, strącając z nich jakąś pończochę. Padła na podłogę, a resztki jego godności razem z nią.

Charlotte zacisnęła wargi, żeby się nie roześmiać.

– To nie jest zabawne – uciął.

– Rzeczywiście, nie jest – odparła ze śmiertelną powagą. – Zaczynając od

tego, że nie wiem, jak teraz będę mogła zamknąć drzwi.

Podniósł krzesło stojące przy gotowalni i zaniósł pod drzwi, po czym podparł je tuż pod wyłamanym zamkiem.

– O, w ten sposób.

– Czemu grzebałeś w mojej bieliźnie?

– Wcale w niej nie grzebałem, tylko byłem przez nią napastowany.

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że nie cechuje mnie zamiłowanie do porządku.

– To nie jest wcale nieporządek, tylko… – wskazał gestem na pokój – … śmiertelna pułapka z bielizny.

– Nie sądzisz, że to zbyt melodramatyczne stwierdzenie?

– Nie.

Zasłoniła usta wierzchem dłoni, żeby zakryć uśmiech.

Na Boga, to wszystko było dla niej zabawne!

Piers starał się pamiętać o tym, że nie zrozumiała, o co mu naprawdę chodzi. I że wcale nie chciał, żeby rozumiała. Jeśli traktował serio swoją odpowiedzialność, ona – i nikt zresztą, kto znajdował się pod jego opieką – nigdy nie rozumiał potrzeby czujności, od której zależało zapewnienie im bezpieczeństwa.

Gdyby ochrona nie była zadaniem tak niewdzięcznym, oznaczałoby to, że nie zajął się nią jak należy.

Mimo wszystko nie mógł się powstrzymać od upomnienia.

– Lubię, kiedy rzeczy znajdują się tam, gdzie powinny. W ten sposób zdolny jestem do właściwej reakcji. W jednej chwili. Nawet w ciemności. Przy każdej okazji. Zwłaszcza gdy mnie zawiadamiasz, że chcesz ze mną mówić.

– Nie miałam zamiaru cię alarmować. Chciałam tylko mieć nadzieję, że będziemy mogli jutro pomówić ze sobą. Nie miałam pojęcia, że przyjdziesz natychmiast.

– Pewnie, że przyszedłem natychmiast. – Wpatrzył się w nią. – Jeśli mi powiesz, że mnie potrzebujesz, nigdy nie będę zwlekać.

– Ale nie zwracałeś na mnie wcale uwagi przez całe dni. Odkąd my… – Nie dokończyła zdania. Nie potrzebowała. – Rzadko zauważasz moją obecność.

– Wierz mi, że jestem jej jak najbardziej świadomy.

Stale, wręcz boleśnie był jej świadomy.

Nie mógł się przed tym uchronić. Działała na jego zmysły, odkąd tylko weszła w drzwi biblioteki. Stale mu się gdzieś jawił połysk złotych włosów, a w uszach

ciągle dźwięczał melodyjny śmiech. Przyłapał się na tym, że ciągnie się za nim nieustannie zapach jej mydła i pudru, niczym u psa wciąż węszącego za żoną rzeźnika.

Miał za sobą lata doświadczenia i treningu, ale ona przejrzała go na wylot już po tygodniu, a on był wobec tego bezradny. A roztargnienie, szaleńcze pożądanie i tęsknota to wszystko, czego człowiek z jego pozycją musiał unikać.

Gdyby się zastanowił, może nie zaczadziłaby jego zmysłów. W końcu dokładnie wiedział, jak wyczuwać najdrobniejszą oznakę niebezpieczeństwa.

Ta piękna, nieokiełznana i zbyt przenikliwa kobieta sama była wcieleniem niebezpieczeństwa. Mogła go zniszczyć. Zrujnować wszystko, czym starał się zostać.

A zrobiłaby to z uśmiechem.

Charlotte nie miała pojęcia, co począć z mężczyzną stojącym w jej sypialni. Wyglądał jak Piers i mówił jak Piers, ale był kimś pełnym mroku. Jakby jego cień nabrał samodzielnego istnienia, oddzielił się od jego osoby i podążył korytarzem, by złożyć jej wizytę.

– Mogę cię o coś spytać?

Rozłożył ręce w geście zachęty.

– Czy zastanawiałeś się ponownie nad oświadczynami?

Nie odpowiadał trochę za długo, żeby ją to uspokoiło.

– Nie.

– A więc dlaczego mnie wyraźnie ignorowałeś?

– Chcesz, żebym ci szczerze odpowiedział na twoje pytanie?

– Tak, chcę.

Musiała zrozumieć, co się dzieje w jego umyśle. Nawet gdyby to miało urazić jej miłość własną.

Zaczął krążyć po pokoju powolnymi, spokojnymi krokami.

– Po prostu nie chciałbym tego robić, Charlotte. Za każdym razem, kiedy jesteśmy w tym samym pokoju, myślę tylko o tym, żeby trzymać cię w objęciach.

Mówiąc to, zbliżał się wciąż do niej.

Charlotte zaczęła się cofać.

Nie przestraszyła się, czuła tylko niesłychane podniecenie i pragnęła przylgnąć do jego twardego ciała. A jednak jakiś instynkt kazał jej tak robić.

Kiedy dojrzała groźny błysk w jego oku, własne ciało dało jej odpowiedź i

zrozumiała, dlaczego. On pragnął ją ścigać. A ona chciała być ścigana.

– Muszę cię więc unikać – ciągnął dalej niskim, przytłaczającym tonem arystokratycznego rozkazu. – Gdybym na ciebie patrzył, chciałbym zerwać z ciebie odzienie. Gdybyśmy rozmawiali, pragnąłbym usłyszeć, jak wzdychasz i jęczysz, co nie byłoby odpowiednim zachowaniem w salonie.

Przyparł ją do ściany. Na całe szczęście, bo nogi się pod nią uginały.

– Gdybym sobie pozwolił do ciebie podejść – z tymi słowami chwycił ją za nadgarstki i uniósł je, przytwierdzając jej ręce do ściany – to zadarłbym ci suknię po samą szyję i wbił się w ciebie, nim pozostali goście zdołaliby podnieść wzrok znad swojej herbaty.

Czuła, że krew pulsuje jej w żyłach, tak była podniecona. Znalazła się na jego łasce, ale nie czuła najsłabszego nawet strachu.

– A to – powiedział, wpatrując się w jej usta – oznaczałoby bardzo złe maniery.

– No cóż… – Charlotte zwilżyła wargi językiem i odważyła się spojrzeć na niego. – Nigdy nie przejmowałam się zanadto etykietą.

Odpowiedź nastąpiła błyskawicznie. W jednej chwili przycisnął ją całym sobą do ściany. Poczuła gwałtowne pożądanie, kiedy ją pocałował, a całe ciało zaczęło ją mrowić.

Wziął nad nią całkowicie górę. Badał językiem wnętrze jej ust. Jego pierś tarła o jej własne, tak że spęczniały jej sutki, a jego pobudzenie zdawało się twardo żądać jej ciała.

Puścił jej ręce, sunąc dłońmi ku biodrom. Niecierpliwie schwycił całą garścią za jej koszulę. Potem raptownie, jeden po drugim, rozpiął guziki u spodni.

Charlotte nie była na tyle odważna, by dotknąć go w tym miejscu tamtego dnia, ale teraz zamierzała to zrobić. Sięgnęła ku niemu, uwalniając jego ciało od okrywającej je tkaniny.

Ośmielona jego nierównym oddechem i mrokiem, zapuściła się tam. Gładziła w górę i w dół gorące, twarde ciało, dotknęła kciukiem jego końca. Poczuła pod palcami kroplę wilgoci i rozprowadziła ją koliście.

Ze zduszonym przekleństwem pochwycił ją i uniósł w górę.

Mimo całego zaskoczenia krzyknęła z satysfakcji. Kręgosłupem dotykała wybitej adamaszkiem ściany. Ocierała się nogami o jego biodra. Nie miała pewności, czy tego właśnie chciał, ale odniosła wrażenie, że mu się to podoba.

Jego erekcja przybrała na sile, a wtedy zaczął w nią wnikać. Powoli. Prowokacyjnie.

Tak. Och, tak.

Czuła, że kręci się jej w głowie i zdumiała ją szybkość własnej reakcji. Chwilami pragnęła go coraz mocniej, wręcz rozpaczliwie. Wczepiła się drugą ręką w jego włosy, przyciągnęła ku sobie jego usta.

Kołysał biodrami rytmicznie, wbijając się w nią silnymi, nieustępliwymi ruchami, działał na jej najwrażliwsze miejsca, prowadząc ją twardo i szybko na stromy szczyt błogości.

Kiedy poczuła gorący, wilgotny rezultat jego podniecenia, jęknęła tuż przy jego ustach.

Aż do bólu tego pragnęła.

Przerwał pocałunek, dysząc.

– Teraz? – spytał.

Dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

– Teraz.

– Prowadź mnie.

Wprowadziła jego twardą męskość tam, gdzie pragnęła, a potem chwyciła go kurczowo za ramiona.

Zagłębił się w nią mocnymi, coraz mocniejszymi ruchami.

– O Boże! – jęknął. – Jaka tu jesteś wąska!

Nie miała pewności, czy uważał, że to źle, czy dobrze, ale niewątpliwie mówił prawdę. Mimo całego podniecenia wszystko to wciąż było dla niej boleśnie nowe, szaleńczo powolne, ale gdy zaczęła wibrować z pożądania, choćby nawet napięcie miało ją rozerwać – wszystko stało się oślepiająco szybkie.

Nie wniknął nawet w nią całkowicie, gdy zaczął narastać w niej kryzys. Nie mogła już czekać ani chwili dłużej. Podała gwałtownie biodra naprzód, szaleńczo pragnąc wziąć go w siebie jeszcze głębiej, ostrzej, szybciej.

Gdy wreszcie zetknęły się ich biodra, zatrzęsła się cała i krzyknęła, przywierając do jego szyi, a on uderzał w nią nieubłaganie, nieustannie prowadząc ją ku szczytowi.

Pocałował ją, gdy opadła z niego, i wsparła się kostkami o jego krzyże. Poruszali się wspólnie w łagodnym rytmie.

Ściągnęła z niego potargany halsztuk, pozwalając, żeby padł na podłogę, nim wsunęła dłonie za rozwarty kołnierz jego koszuli. Przeciągnęła nimi po napiętych mięśniach ramion i włosach na piersi. Całowała jego szyję, przesuwając językiem po jabłku Adama, muskając lekki zarost na podbródku.

Kochała jego silne, męskie mięśnie, jego kark, jego pot.

Znieruchomiał, przyciskając ją do ściany, i zagłębił się w nią najdalej, jak tylko mógł. Czuł narastający ciężar w piersi.

Charlotte uniosła głowę i ujęła jego twarz w dłonie, chcąc napotkać jego wzrok.

– Co ci jest?

– Nie mogę…

Uniosła biodra jeszcze trochę, a on głucho jęknął, gdy posunął się jeszcze głębiej.

– Nie sądzę, żebym zdołał…

Nie była pewna, jak chciał zakończyć to zdanie, ale jej odpowiedź mimo wszystko byłaby identyczna.

– No, to nie rób tego – powiedziała.

Poczuła, że zacisnął szczęki pod jej dłonią.

A potem, zginając mocno ramiona, odwrócił jej ciało w drugą stronę. Pochylił głowę, wsparł spocone czoło o ramię Charlotte i oderwał jej biodra od ściany. Uderzał w nią teraz dwa razy szybciej i intensywniej, z urywanym, chrapliwym oddechem.

Nie był już delikatny ani czuły, cierpliwy ani łagodny, tylko spragniony.

A jej się to podobało.

Rozpaczliwie pragnęła poznać go od tej strony, dzikiej i bez ogłady. Mięśnie karku i ramion miał sztywne i napięte. Udami uderzał w jej pośladki. Schwycił za rękaw jej koszuli i rozdarł jej dekolt, chwytając zębami jej gołe ramię.

Rytm jego ruchów stał się nierówny, potem znów przyspieszył. Uderzał teraz jeszcze szybciej i mocniej.

Jutro będzie cała obolała, może nawet posiniaczona. Nic jej jednak bardziej nie podniecało niż ta myśl.

Wyrwał mu się gardłowy pomruk, gdy doszedł do kresu, a potem przywarł do niej, gdy się całowali, dyszeli i znów całowali.

– To – powiedział w chwilę później – była właśnie rozpustna schadzka.

Uwiesiła mu się u szyi i śmiejąc się, lekko kołysała jego ciałem tam i z powrotem. Obiecał, że jej to pokaże, a był człowiekiem słownym.

Zsuwała się w dół, póki palcami stóp nie dotknęła podłogi, a potem ujęła go za rękę.

– Chodź ze mną. Jeśli się pospieszymy, kąpiel nie wystygnie.

17

W wannie starczyło akurat miejsca na dwie osoby. Musieli siedzieć bardzo blisko siebie, lecz Piers wcale nie narzekał.

Charlotte usadowiła się za nim, z piersiami przyciśniętymi do jego pleców, mydląc mu włosy pachnącą pianą.

Było to coś wspaniałego.

– Dopiero teraz sobie przypomniałem o twym liście. Chciałaś ze mną mówić.

– Tak, chodziło mi o pewną przysługę. – Masowała mu głowę i skronie końcami palców, wprawiając go tym w stan błogości. – Obawiam się, że raczej o dużą.

– Proś o cokolwiek. O wszystko. Tylko nie przestań mnie dotykać.

– Czy byłbyś przeciwny długiemu narzeczeństwu?

Za nic by tego nie chciał.

– Obawiam się, że tak.

Częściowo dlatego, że miał już za sobą jedno długie narzeczeństwo i nie chciał powtarzać tego doświadczenia. Prócz tego chodziło mu o spłodzenie dziedzica. A poza tym pragnął być razem z Charlotte i to się liczyło najbardziej. Mieć ją tylko dla siebie, we własnym domu, tak szybko, jak tylko można, a także przez wiele następnych tygodni. Nie była to kwestia sentymentu, tylko zwykła kalkulacja zysków. Czy wolałby długie zimowe wieczory spędzać samotnie przy biurku, czy też miesiące cielesnych uciech w oparciu o ścianę, a po nich zmysłowe kąpiele?

Wybrałby uciechy i kąpiele, bez dwóch zdań.

– Nie prosiłabym o to tylko ze względu na siebie. Obiecałam coś Delii. Obydwie w przyszłym roku chcemy wspólnie odbyć Grand Tour. Właśnie dlatego przybyłam tu z wizytą. Sądziłyśmy, że uda nam się przekonać jej rodziców do tego projektu.

Wytarł wodę z twarzy.

– Chciałyście samotnie podróżować po kontynentalnej Europie? Jej rodzice

nigdy by się nie zgodzili. Ja też.

– Rzecz jasna, wynajęłybyśmy przyzwoitkę.

– Jakąś koślawą staruszkę z kataraktą, sądząc z tego, co już o tobie wiem.

– Piers, nie jestem głupia. Nie ryzykowałabym niczego ze względu na Delię. Ma do mnie zaufanie i byłoby dla nas obu czymś strasznym, gdybym ją zawiodła. – Potarła gąbką jego plecy. – Ona ma znaczny talent i zasługuje na to, żeby go rozwinąć. Mnie brak zdolności do muzyki, poezji czy matematyki. Właściwie do wszystkiego. A już na pewno do prowadzenia domu.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Sądziłam, że wyjaśnienie tajemnic mogłoby być szansą na jakieś osiągnięcie. Ale i to mi nie wyszło. Muszę poznać trochę świata, nim założę własny dom, i poszerzyć horyzonty. Nie chcę być nudną kobietą o kurzym móżdżku, jak moja matka.

Westchnął. Żądała od niego rzeczy niemożliwej. Nawet gdyby chciał, nie zgodziłby się na to. Sir Vernon mógł pod koniec roku uzyskać stanowisko w Australii. Nie chciałby zostawiać córki na drugim końcu świata.

– Nie przeczę, że jest też inny powód – powiedziała. – Mogłoby to zahamować przynajmniej część plotek.

– Zostałabyś markizą. Po cóż miałabyś martwić się tym, co mówią lub myślą ludzie bez znaczenia?

– Może nie mam silnego charakteru. Zeszły rok pełen plotek upokorzył mnie. Chciałabym, żeby plotkarze wiedzieli, że nie żenisz się ze mną z musu! – Milczała przez chwilę. – Sama też chciałabym to wiedzieć.

Dobry Boże. I to była kobieta, która odgadła sekrety, jakich Piers dobrowolnie nikomu by nie zdradził. Zdołała z łatwością rozszyfrować, co oznacza drganie jego lewej brwi. Jakże mogła podawać w wątpliwość swoje zdolności?

Objęła go w pasie i wsparła podbródek na jego ramieniu.

– Mógłbyś tak zaplanować tę podróż, że nic by nam nie groziło. Wiem, że potrafiłbyś to zrobić. Przecież zdołałeś odwiedzić zajazd w Nottinghamshire akurat tego dnia i o tej porze, kiedy przejeżdżał tamtędy twój brat. Tylko po to, żeby się dowiedzieć, co u niego słychać.

Miała rację. Jeszcze jeden przykład, że była o wiele za bystra.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł.

– Ależ wiesz. Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś wszystko zorganizował z tego powodu. Rafe też to podejrzewał. – Pocałowała go w ramię. – To dlatego, że miałam same siostry. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego mężczyźni są tacy

niedomyślni. Mam jednak nadzieję, że wiesz o jednym: twój brat rozumie, jak bardzo go kochasz.

Ścisnęło go w gardle.

Pogładził ją po dłoni, pozwalając, by dzięki dotykowi pojęła to, czego powiedzieć nie mógł.

Nie wiadomo dlaczego jej słowa sprawiły mu ulgę. Zawsze kochał brata, nawet gdy nie byli w przyjaźni. Mimo że Rafe był mistrzem boksu i mężczyzną, który odbił mu narzeczoną, Piers traktował go opiekuńczo i z dumą.

Młodszy brat był jego jedynym krewnym.

Wyślizgnął się z jej objęć i choć było to niełatwe, zdołał w końcu siąść w wannie twarzą do niej.

Przygarnął ją mocno do siebie, tak że siedziała przytulona do niego i wsparta o jego podkurczone nogi. O Boże, jakaż była piękna i jaka czysta. Piersi jej znajdowały się na tym samym poziomie co pełna mydlin, stygnąca woda. Wilgoć poskręcała jej włosy w drobne loczki. Odrobina piany osiadła na policzku.

Starł ją kciukiem.

– A więc uważasz, że zależy mi na bracie.

– Bez wątpienia.

– A jednak wątpisz w szczerość mojej oferty małżeńskiej.

– To co innego. Zostaliśmy zmuszeni do zaręczyn. Ledwie się znamy. Jedynym powodem były zasady przyzwoitości.

Uniósł brew ze zwątpieniem.

– Nie tylko.

– Wiesz, co mam na myśli. Jasne, zawsze się sobie podobaliśmy, a ty bez wątpienia jesteś wspaniałą zdobyczą.

– O tak, wyższe rejony, pierwsza klasa.

Spojrzała na niego z ironią.

– Podobno w igraszkach łóżkowych mieliśmy być nieźli.

– Punkt dla ciebie.

– Ale wszystko to się nie liczy. Ani pochodzenie, ani historia nie każą ci się o mnie troszczyć.

Wsparł łokieć na brzegu wanny i spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Masz słuszność, Charlotte. Nie musi mi na tobie zależeć.

Charlotte zaczęła żałować obrotu, jaki przybrała rozmowa.

Woda zaczęła stygnąć. Przeszedł ją dreszcz. Chciała sięgnąć po ręcznik, ale

jego wzrok przykuł ją do miejsca.

– Czy wiesz, jakimi wpływami rozporządzam? – Stuknął końcem palca w brzeg wanny. – Ile pieniędzy i ludzi mam do dyspozycji?

Wzruszyła ramionami.

– Wyrobiłam sobie o tym pewne pojęcie.

– Nie znasz nawet dziesiątej części tego wszystkiego.

Nie były to przechwałki. Po prostu stwierdzał pewien fakt.

Wierzyła mu.

– Kiedy nas zaskoczono w bibliotece, nie była to sytuacja bez wyjścia. Mogłem sobie z nią poradzić na kilka sposobów. Na przykład znaleźć ci chętnego konkurenta. A nawet dwunastu, wśród których mogłabyś wybierać. Byłbym w stanie zdusić wszelką możliwość skandalu.

– Mógłbyś pozwolić, żebym wyglądała na Zdesperowaną Debiutantkę i rzucić mnie wilkom na pożarcie.

– Albo – ciągnął spokojnie dalej – mógłbym zażądać zatrzymania karykaturzysty „Prattlera”, który nadał ci to wstrętne przezwisko.

Charlotte już miała się roześmiać, gdy nagle zrozumiała, że on nie żartował.

Patrzył na nią ze śmiertelną powagą.

Powiedział jej coś ważnego, coś bardzo istotnego dla człowieka, za którego się uważał. Nie mogła się teraz śmiać ani robić mu uwag; chodziło o rzecz najwyższej wagi.

– Ale nie zrobiłeś żadnej z tych rzeczy – zaczęła ostrożnie. – Wybrałeś honorowe wyjście.

– Wybrałem ciebie. – Przygarnął ją jeszcze mocniej, a spieniona woda wylała się na podłogę. – Bo cię zapragnąłem i chciałem mieć.

– W swoim łóżku.

– W moim życiu.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Obrana przeze mnie linia postępowania nie jest zbyt honorowa. Będziesz wkrótce moją żoną. Zasługujesz, by o tym wiedzieć, choć modlę się, byś nigdy tego w pełni nie zrozumiała. Ostatnie dziesięć lat spędziłem na podejmowaniu chłodnych, bezwzględnych decyzji. I nie oglądałem się wstecz.

Zaciekawił ją niesłychanie, ale wolała nie pytać o szczegóły.

Miała przyjaciółki, które poślubiły oficerów po ich powrocie z wojny. Piers również do nich należał, był człowiekiem, na którym ciążyła ogromna odpowiedzialność podczas walk. Ludzie tacy jak on nie lubią wścibskich pytań.

Trzeba im do tego czasem kilku lat, ciepłej kąpieli i bliskości czyjegoś ciała.

A także przyjaciół. Żeby słuchali ich, zrozumieli i zgodzili się z nimi.

Przyjrzała mu się. Czyżby rezygnował dla niej ze swego pozbawionego uczuć, autokratycznego sposobu bycia? Najwyraźniej właśnie to dał jej do zrozumienia, jeśli dobrze odczytała wyraz jego twarzy.

Tak – pomyślała. – To właściwe wyjaśnienie.

Markiz może sobie znaleźć wiele kobiet, które chętnie przyjęłyby jego nazwisko i dzieliły z nim łoże.

Ale ten markiz potrzebował przyjaciółki.

Och, Piers.

Poczuła, że przepełnia ją ogromna czułość.

– Posłuchaj mnie. – Otoczył ją rękami i nogami. Czuła bicie jego serca tuż przy własnym. – Wybrałem ciebie, Charlotte. I nie zamierzam spoglądać wstecz.

Pocałował ją łagodnie, przesuwając wargi ku jej policzkowi i szyi. A potem niżej, ku jej nagim, śliskim piersiom. Pod wodą jego przyrodzenie zaczęło się dźwigać po zetknięciu z jej udem.

Zmieniła pozycję, tak żeby udem dotykał jej skrytego miejsca. Nagłe zetknięcie się ich ciał sprawiło, że obydwojgu zaparło dech.

Musnął językiem jej stwardniały sutek, a potem ujął go wargami. Poczuła gęsią skórkę na szyi i ramionach.

Otarła się o jego erekcję, a on schwycił ją za wilgotne włosy i nachylił się nad jej szyją, okrywając ją pocałunkami.

– Jaka jesteś śliczna. Jaka śliczna.

Objął ją wpół, unosząc brew ze zwątpieniem.

– Nie boli cię tam?

Pokręciła głową.

Zacisnął zęby, gdy w nią wnikał.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Nieszkodliwe kłamstwo. Czuła bowiem ból, i to dotkliwy. Ale tylko między udami, a nie w sercu.

Jeśli ma sprawić jej przykrość, niech tak będzie.

Godziła się na nią. Ona też dokonała pewnego wyboru.

Poruszali się oboje powoli, starając się nie rozlać całej wody na podłogę.

Przycisnął czoło do jej własnego. Poczuła, że jego męskość jeszcze bardziej powiększa się wewnątrz niej. Trzymał ją w uścisku jak w imadle, kiedy w nią

uderzał.

Z jękiem wydobył się z niej, chwycił za jej rękę, zacisnął ją wokół przyrodzenia i mocno nakrył swoją. Poprowadził jej dłoń szybkimi ruchami, zanim doszedł do szczytu.

Potem osunął się na nią, a ona gładziła go po drżących plecach.

– Charlotte, kochanie…

Kochanie. Jeszcze jeden okruch czułości do jej kolekcji.

Serce zabiło jej gwałtownie i niemądrze.

– Co?

– Chyba nie doceniłaś swych naturalnych talentów.

Uśmiechnęła się tuż nad czubkiem jego głowy. Może istotnie było w niej coś wyjątkowego?

– Niesłychane. Zrezygnowałam z bycia kobietą nienaganną, a tym bardziej wyjątkową.

– Jesteś absolutnie wyjątkowa.

– Nie musisz mi pochlebiać.

– Mówię to całkiem serio. Jak długo spełniałaś zachcianki matki? Albo słuchałaś zwariowanej na punkcie geologii siostry, albo zostawałaś w domu, kiedy ktoś był chory? Pomyśl o wszystkich latach spędzonych w Spindle Cove, choć wolałabyś być w Londynie. Wiele osób uznałoby to wszystko za straszliwą nudę. Właśnie dlatego jesteś wyjątkowa.

– Naprawdę tak myślisz?

– Wiem, że tak jest. Bo przestawanie z tą wyjątkową osobą – wskazał na siebie – wymaga wirtuoza.

Zaśmiała się.

– Wcale nie żartuję. Nie spotkałem jeszcze kobiety, która by temu podołała.

– No, to masz szczęście, że ci się trafił ktoś taki jak ja.

Jego pochwały były jak woda do kąpieli, kojące i ciepłe. Całkiem inne niż rutynowe, fałszywe komplementy.

Nie uwierzyła nagle w siebie tylko dlatego, że Piers tak ją wychwalał. Ale we właściwy sposób określił samego siebie, a ona nauczyła się już ufać jego trafnym obserwacjom – zwłaszcza jeśli zgadzały się z jej własnymi.

Nie tylko jego słowa sprawiły, że poczuła się kimś wyjątkowym. Doszli do tego wniosku wspólnie. A to było coś całkiem innego.

Uznała, że jest właśnie takim człowiekiem, jakiego pragnęła mieć za partnera. Nie potrafiłaby ująć tego w słowa, lecz chętnie czekałaby całe lata, żeby kogoś

takiego znaleźć.

Widocznie ona też miała szczęście, że jej się trafił ktoś taki jak on.

A czy to, że ma wścibską, chytrą, intrygancką matkę, też należałoby uznać za szczęście?

Nie, tego już byłoby za wiele.

Nagle pewna olśniewająca myśl błysnęła w jej głowie i rozpaliła ogień w jej piersi.

Usiadła w wannie i spojrzała na niego.

– Pozwól mi być twoją partnerką

– Sądziłem, że to już uzgodniliśmy.

– Nie, nie tylko żoną, ale partnerką w pracy. Świetnie byśmy się razem bawili.

Przejechał ręką po twarzy i przygładził wilgotne włosy.

– Nie. Wykluczone.

– Byłabym doskonałym szpiegiem. Pomyśl tylko. Lubię zagadki. Umiem zdobywać zaufanie. Potrafię obchodzić się z bronią. Jestem bystra, odważna. No i… potrafię wchodzić przez okno.

Zaśmiał się lekko.

– Szpiegostwo wygląda inaczej niż sobie wyobrażasz. Uznałabyś je za nieciekawe. Polega głównie na czytaniu dokumentów, pisaniu meldunków i słuchaniu idiotycznych rozmów podczas przyjęć. To w dziewięćdziesięciu procentach totalna nuda.

– Wszystko, co warto robić, jest w dziewięćdziesięciu procentach nudą. Pomyśl o swoim bracie bokserze. Założę się, że spędza całe tygodnie i miesiące, przygotowując się do walki na ringu, która trwa godzinę. Albo o mojej siostrze, która ryje w brudnej ziemi, żeby znaleźć jedną wstrętną skamielinę. Nawet Delia robi mnóstwo szkiców, nim zacznie malować obraz. – Zamilkła na chwilę. – Nic mnie przedtem tak nie pociągało. Ale to może się okazać moim prawdziwym talentem. Moją pasją.

Pokiwał tylko głową.

– Czy nie widzisz, jakimi wspaniałymi partnerami moglibyśmy zostać? Idealnie się uzupełniamy. – Ścisnęła go za rękę. – Wyślij mnie na kontynent z Delią. Kiedy ona będzie rysować, ja mogę uczyć się języków i opanować etykietę. Ja… ja nauczyłam się nawet wykorzystywać preteksty.

– Charlotte… to może być o wiele bardziej niebezpieczne niż sądzisz.

– Wykorzystywanie pretekstów?

– Praca ze mną.

– Przecież dopiero co powiedziałeś, że to nudna, papierkowa robota.

– Owszem. Ale nie wtedy, kiedy chodzi o coś innego.

Wstał, wyszedł z wanny i sięgnął po ręcznik.

Przez chwilę podziwiała jego prężne ciało błyszczące jak brąz w migotliwej poświacie świecy. A także mięśnie ramion i barków. Ciemne włosy na ramionach i łydkach. Wstrząsnął głową, rozpryskując krople wody po wnętrzu, a potem wytarł twarz ręcznikiem.

Cały ten intymny rytuał był czymś normalnym i dość sympatycznym.

W końcu był tylko mężczyzną. Silnym, wpływowym i skomplikowanym mężczyzną, ale też istotą z krwi i kości, obdarzoną sercem.

Tkwiła w nim miłość, głęboko ukryta i czekająca na ujawnienie się niby wino z rzadkiego rocznika. Mogło to trwać miesiące, a nawet lata, ale Charlotte postanowiła dotrzeć do tych najmroczniejszych i najgłębszych zakamarków jego duszy.

Przerzucił ręcznik przez ramię i wyciągnął ku niej dłoń.

– Uważaj. Posadzka jest śliska.

Kiedy wyszła z wanny, owinął ją drugim ręcznikiem niczym liściem kapusty, a potem mocno zawiązał końce. Opatulał ją jak małe dziecko.

– Nie wierzysz, że podołałabym tej robocie?

– Tego nie powiedziałem.

Nie powiedział, bo nie musiał.

Uraził ją jego brak zaufania, ale nie mogła mieć do niego pretensji.

Czy miała się czym chwalić? Chyba skłonnością do wybuchania śmiechem w nieodpowiednich momentach i kilkoma niezupełnie rozwiązanymi tajemnicami.

– Proszę cię – powiedziała. – Daj mi szansę, żebym mogła udowodnić swoją wartość. No i nie podejmuj dzisiejszej nocy żadnej decyzji.

Westchnął ciężko.

– Za późno. Już podjąłem jedną.

– Jaką? – spytała, kuląc się z wrażenia.

– O, właśnie taką.

Schwycił ją, przerzucił sobie przez ramię niczym worek owsa i zaniósł do łóżka.

18

Charlotte ocknęła się w swoim własnym łóżku. Promienie słońca wnikały przez okna. Musiało być już dosyć późno.

Nie mogła sobie przypomnieć, żeby przebrała się w nocny strój, a już na pewno nie pamiętała czy nakryła się kołdrą. Tylko że, jak zwykle, spała niczym suseł. Piers pewnie nie chciał jej budzić.

Piers, Piers, Piers.

Kiedy w końcu oprzytomniała, opadła ponownie na poduszki i przycisnęła dłonie do serca.

Ostatnia noc nie była czymś takim jak tam na łące. Ukazała jej wiele. Odkryła całkiem nowe strony osobowości Piersa, a także swojej. Otwierało się przed nią całe mnóstwo możliwości.

To się naprawdę stało.

Zakochała się. Miała kochanka.

I to dobrego.

Całe jej ciało było obolałe.

Słabe echo rozkoszy pulsowało między udami.

Ścisnęła je mocno.

– Charlotte – odezwała się do siebie – co by na to powiedziała twoja matka?

Gdy tak leżała nieruchomo, uśmiechnęła się nieoczekiwanie od ucha do ucha. Nie mogła powstrzymać rozbawienia. Przewróciła się na brzuch i ukryła pełen radości krzyk w poduszce, uderzając w materac stopami.

Znieruchomiała raptownie, gdy drzwi się otwarły, i legła bez ruchu, udając, że śpi. W samą porę, bo zapewne wyglądała, jakby dostała nagle jakiegoś ataku.

– Taca ze śniadaniem, panno Highwood.

Charlotte wymamrotała niby to senne podziękowanie i uchyliła nieco powiek, by zobaczyć, jak służąca opuszcza pokój.

Potem odrzuciła kołdrę i sięgnęła po szlafrok.

Zapach grzanki z masłem i gorącej czekolady był równie atrakcyjny, jak

pocałunki pewnego znanego jej mężczyzny. Umierała z głodu.

Piers musiał to wyczuć. Charlotte zwykle jadła śniadanie na parterze, razem z lady Parkhurst i jej córkami. Ale domyślił się pewnie, że tego ranka będzie wyczerpana, a także zgłodniała.

Jakże się o nią troszczył. Jak dbał o drobiazgi.

Kiedy wsunęła już jedno ramię w szlafrok, spostrzegła zieloną gałązkę z fioletowymi kwiatami leżącą w rogu tacy.

Kwiat?

Widocznie miał w sobie jednak jakiś romantyczny rys.

Z uśmiechem obróciła w palcach gałązkę i przyjrzała się jej. Początkowo sądziła, że to pospolite o tej porze roku michałki, które rosły wszędzie. Ale przekonała się, że tej rośliny nie zna. Może to jakaś odmiana irysa lub orchidea? Nie interesowała się ogrodnictwem.

Wzruszyła ramionami i odłożyła kwiat na bok.

W każdym razie był ładny i dawał do myślenia. Najkrótsza droga do jej serca wiodła jednak przez żołądek.

Zawiązała pasek od szlafroka, usiadła i zaczęła jeść. Ale jej palce zrobiły się dziwnie niezdarne. Coś było nie w porządku z jej prawą ręką. Poczuła, że ostre kłucie przesuwa się w górę, do nadgarstka.

Uznała, że zapewne przygniotła sobie ramię podczas snu i potrząsnęła dłonią.

A jednak to nie pomogło. Kłucie, zamiast osłabnąć, coraz bardziej się wzmagało. Sięgało już teraz do łokcia.

Jeszcze dziwniejsze było, że wcale nie czuła palców.

Serce zaczęło jej bić jakoś dziwnie. Po kilku raptownych uderzeniach zamierało, a później znów zaczynało łomotać.

Jakież to dokuczliwe. Widocznie odziedziczyła matczyną skłonność do palpitacji.

Chyba powinna się położyć.

Gdy jednak wróciła do łóżka, wszystko, na co patrzyła, zrobiło się naraz mgliste i szare na brzegach. Jakby zmieniło się nagle w rycinę z dziennika.

Było to poważniejsze niż palpitacje. Działo się z nią coś niedobrego.

Piers wiedziałby, co to takiego.

– Piers!

Jego imię ledwie się wydobyło z jej zeschniętych warg. Spróbowała drugi raz.

A niech to. Znów za cicho.

Kolana się pod nią uginały. Schwyciła za krzesło lewą ręką i przywarła do

niego. Prawa dłoń prawie całkowicie znieruchomiała i zwisała bezwładnie.

Musi wydostać się z pokoju.

Charlotte wiedziała już, że teraz nastąpi zapaść, ale nie było koło niej nikogo, kto by jej pomógł.

Serce waliło jej głucho w uszach, gdy z trudem dotarła do drzwi. Patrzyła, jak jej lewa ręka borykała się z zepsutą klamką, jakby należała do kogoś innego.

Charlotte, skoncentruj się.

Wreszcie palce jej usłuchały. Zacisnęły się na klamce i zdołała uchylić drzwi, lecz ledwie na stopę czy dwie.

Przedostała się jednak przez nie, ale potem padła bez czucia na korytarz z głuchym łomotem.

Piers, na zaproszenie sir Vernona, zszedł do biblioteki, żeby wypić herbatę i coś orzeźwiającego.

– Cenię pański czas, sir Vernonie. Ten poranek wiele mnie nauczył.

Odbyli właśnie obchód farm pod pozorem dyskusji o metodach nawadniania gruntu. Piers na razie nie zauważył niczego podejrzanego. Nic nie świadczyło, by gospodarz musiał oszczędzać lub też dokonywać nabytków za granicą. Parkhurst Manor wydawało się posiadłością w wyjątkowo dobrym stanie – niemal jak jego własne.

Przez ponad tydzień sir Vernon nie wspominał wcale o kartach czy grze w kości ani też o niczym droższym niż parę pint cydru w pubie. Nie kojarzyło się to z zamiłowaniem do hazardu.

Na co więc wydawał pieniądze?

Na dawną kochankę lub na nieślubne dziecko. Nie było innej możliwości.

Musiał jednak zyskać dostęp do jego prywatnej korespondencji i księgi rachunkowej, by przekonać się, że tak jest naprawdę. Wśród różnych rozrywek nie znalazł jednak sposobności, by je przeszukać.

Bądź uczciwy wobec samego siebie, Piers.

A tymczasem mógł ową sposobność znaleźć. Tylko że zamiast tego szukał pretekstów, by spędzić czas z Charlotte.

A potem zdobył ją.

– Nie sądzi pan?

Piers uniósł brwi – a także filiżankę – dyplomatycznym, wymijającym gestem, który, jak miał nadzieję, można było uznać za dowód, że słucha z uwagą, niezależnie od tego, jaka będzie jego opowieść.

Przypomniał sobie wygląd Charlotte, gdy ją opuszczał. Spała we własnym łóżku, gdy pierwsze promienie jutrzenki ukazały się na horyzoncie.

Czy więc było czymś dziwnym, że nie mógł się na niczym skupić tego ranka?

Chciał być przy niej bez przerwy. Trzymać ją w objęciach. Wnikać w jej ciało, wiodąc ją ku kolejnemu szczytowi rozkoszy. A potem rozmawiać i śmiać się razem z nią.

W drzwiach stanął kamerdyner i po odchrząknięciu oznajmił:

– Proszę wybaczyć, sir Vernonie, że przerywam, ale lady Parkhurst ma do pana jakąś sprawę wymagającą pańskiej uwagi.

– Czyżby? – sir Vernon wzruszył ramionami. – Nie będzie pan chyba miał do mnie pretensji, Granville? Chodzi pewnie o coś w związku z domem albo o menu, ale trzeba dbać, by damy dobrze się czuły.

– Oczywiście.

Zyskał więc wyczekiwaną sposobność.

Mógł przeszukać biurko tego człowieka i zakończyć sprawę, z powodu której tu przybył. A potem oznajmić o zaręczynach z Charlotte i wyjechać.

Po raz kolejny podszedł do biurka, gdy nagle rozległ się łomot.

Hałas sprawił, że Piers zamarł w miejscu.

Chyba to nic istotnego. Pewnie jakiś służący upuścił coś na schodach.

A jednak gdy zamknął jedną szufladę i bezszelestnie przeszukiwał drugą, wciąż nie dawało mu to spokoju.

Nie podobała mu się cisza, która nastąpiła po łomocie.

Jeśli coś komuś upadło, powinno było zostać podniesione. Chyba że właśnie Charlotte upuściła jakiś przedmiot, a w tym przypadku mógł on spoczywać na podłodze przez rok lub nawet dłużej.

Ponownie zaczął rozmyślać o Charlotte.

Uśmiechnął się z cicha do siebie i nim zdołał sobie uświadomić, co robi, spojrzał ku oknu.

Wszystko na nic. Nie mógł przestać o niej myśleć. Niepokoiła go ta cisza. Ale jeśli się nie skoncentruje na swoim zadaniu, będzie musiał czekać na kolejną sposobność. Roztargnienie może zaś spowodować jakiś błąd.

Zamknął szufladę i wyszedł z biblioteki, kierując się ku schodom.

A wtedy zastał na korytarzu coś, co sprawiło, że krew odpłynęła mu z twarzy. A więc taka była przyczyna tego dźwięku.

Charlotte.

Rzucił się ku niej.

– Charlotte! – Potrząsnął ostrożnie jej ręką. – Charlotte! Czy coś ci się stało?

Żadnej odpowiedzi.

Nie odzywała się. Leżała nieruchomo.

Gdy ją odwrócił i uniósł, głowa opadła jej w tył. Wargi miały sinawy kolor.

Poczuł, że dusi go w gardle.

– Nie! – Potrząsnął nią mocno, ale bez skutku. – Nie, nie, nie!

To się nie mogło stać. Nie może jej stracić.

Uniósł jej powiekę, zajrzał w oko, a potem przyłożył policzek do posiniałych warg.

W każdym razie oddychała. A kiedy odszukał puls na szyi, wyczuł, że serce bije jej jak oszalałe.

Może nie było jeszcze za późno.

Charlotte, Charlotte. Kto ci to zrobił?

– Ridley! – krzyknął zachrypniętym nagle głosem. – Pannie Highwood coś się stało!

Ridley ukląkł koło niego na podłodze.

– Czy mogę przenieść ją do łóżka?

– Nie dotykaj jej. Niech nikt inny tego nie robi.

Tylko on mógł ją podnieść. Wziąć w ramiona i zanieść do łóżka. Odgarnąć włosy z rozpalonego policzka, na który wystąpiły plamy.

– Sprowadź tu sir Vernona – powiedział, nie dbając o przyciszony ton. – Powiedz mu, żeby posłał po doktora.

Ridley skinął głową.

– Natychmiast, milordzie.

Piers zdarł z szyi halsztuk i zwilżył go wodą z umywalki. Potem wrócił do łóżka i przetarł nim jej głowę oraz szyję.

Poruszyła się. Poczuł gwałtowny przypływ nadziei.

– Nie opuszczaj mnie, Charlotte!

Niemalże słyszał ciętą odpowiedź: „Nie lubię, żeby mi mówiono, co mam robić”.

W takim razie ocknij się i powiedz, że oprzytomniałaś.

Jeśli będzie musiał w jakiś sposób przywrócić ją do życia, zrobi to.

– Charlotte, wróć do mnie. Słyszysz? Nie możesz mnie opuścić. Zakazuję ci.

Trzymał ją w objęciach, licząc każdy z jej płytkich, ale bezcennych oddechów. Kiedy wreszcie odważył się rozejrzeć, zlustrował wzrokiem pokój. Taca ze śniadaniem stała na stole. Wyglądała na nietkniętą. Znad filiżanki

czekolady wciąż unosiła się para, a na talerzu leżała…

Gałązka przerażającej rośliny.

Poznał ją od razu. Tojad. Jedna z najbardziej śmiercionośnych roślin trujących. Nie musiała nawet zostać spożyta. Najmniejszy kontakt ze skórą mógł spowodować fatalny skutek.

Charlotte nie zachorowała.

Została otruta.

– Kto ci to zrobił? – spytał. – Charlotte, powiedz, do której ręki to wzięłaś?

Rzęsy jej drgnęły. Wskazała bez słów, samym spojrzeniem, prawe ramię.

Piers odwrócił jej dłoń do góry. Chryste. Miała na niej pełno drobnych zadrapań po kurczowym ściskaniu uprzęży podczas dzikiego cwału sprzed kilku dni. Wystarczyły, by trucizna wtargnęła w głąb ciała przez uszkodzoną skórę.

Sięgnął po dzbanek na umywalce i wylał resztę wody na jej prawe przedramię, tak by ściekała ku dłoni i skapywała z końców palców na podłogę.

– Ridley! – krzyknął.

Ridley pojawił się w drzwiach zadyszany od biegu w górę i w dół po schodach.

– Posłano po lekarza.

– Nie możemy czekać tak długo. To był tojad. Przynieś brzytwę i miskę z mojej umywalki. Muszę upuścić jej krwi, żeby usunąć truciznę.

– Tak, milordzie.

Piers obwiązał jej halsztukiem prawe ramię jak opaską. Charlotte jęknęła słabo z bólu, gdy zaciskał węzeł. Nie przejął się. Nie było już czasu na żadne emocje czy wątpliwości.

Po pierwsze, należało się upewnić, że Charlotte będzie żyła.

Po drugie, wykryć, kto ją otruł i sprawić, żeby za to zapłacił.

19

Przez całe dni, jak jej się zdawało, to traciła, to znów odzyskiwała przytomność.

Obojętne, czy w dzień, czy w nocy, matka zawsze była przy niej. Kładła jej wilgotne okłady na czoło lub podawała po łyżeczce bulion wołowy.

Gdy Charlotte poczuła się na tyle dobrze, by mogła siadać, matka pomagała jej przy myciu i przebierała ją w czystą koszulę. Siadała koło niej na łóżku, żeby ją uczesać lub zapleść jej włosy.

– Dziękuję, mamo. Doprawdy, nie musisz tego przy mnie robić. Mogłabym wezwać pokojówkę.

– Bzdury – odparła. – Nie przestałam być twoją matką, chociaż dorosłaś. A matki nigdy nie wychodzą z wprawy.

– Pamiętam niejasno, że chorowałam w dzieciństwie. Chyba miałam wtedy dwa lata. A może trzy?

– Trzy. Byłaś chora na szkarlatynę. Minerva również.

– Naprawdę? Nie pamiętam nic prócz tego, że złościło mnie siedzenie w domu przez długi czas po chorobie, a ty dawałaś mi do picia miód i sok cytrynowy, wyciskany po kropli ze skręconej chusteczki. Pewnie musiałaś się wtedy bardzo martwić.

Matka prychnęła.

– Moje nerwy nigdy potem nie były już całkiem w porządku. Pomyśl, dopiero co owdowiałam, musiałyśmy opuścić dom, kiedy go odziedziczył kuzyn ojca, z nędzną sumką. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się sama, z trzema córeczkami, które musiałam wychować; w dodatku dwie z nich miały straszną gorączkę.

– A Diana?

– Trzeba ją było wysłać do żony wikarego. Nie widziałyśmy jej przez cały miesiąc. – Urwała. – A może dwa miesiące? Pamiętam, że wciąż jeszcze tam była, kiedy obchodziłam dwudzieste piąte urodziny.

– O Boże. – Charlotte wiedziała, że matka owdowiała młodo, ale nigdy się nie

zastanawiała, co to właściwie oznaczało.

– Nie wzywaj imienia boskiego – upomniała ją gniewnie matka, czesząc jej włosy.

– Przepraszam. Jak to wytrzymałaś?

– Podobnie jak każda inna kobieta, Charlotte. Nie jesteśmy tak silne jak mężczyźni. Same musimy się starać o przetrwanie.

Rozdzieliła jej włosy na pasma i zaczęła je splatać w warkocz.

– Kiedy już wszystkie byłyście zdrowe i pod jednym dachem, przyrzekłam sobie, że nigdy nie znajdziecie się w takich opałach. Że dobrze wyjdziecie za mąż, poślubiając mężczyzn, którzy zdołają wam zapewnić bezpieczeństwo. Za nic nie chciałam, żebyście spędzały bezsenne noce, trapiąc się rachunkami od rzeźnika.

Charlotte zrobiło się przykro; pożałowała, że kiedykolwiek narzekała na jej machinacje matrymonialne. Oczywiście, były groteskowe i żenujące, ale niedostatek kształtuje ludzi tak, jak wichry zginają drzewa.

Szczęście, że w ogóle miała matkę. Przecież wiele dzieci wzrasta bez nich. Na przykład Piers, który – co gorsza – odgradzał się od ludzi i nie znał nawet własnej uczuciowości. Charlotte przynajmniej wiedziała, że była kochana.

Sięgnęła pod poduszkę i namacała wyszywaną flanelkę. Dotknęła miękkiej tkaniny końcami palców.

– Czemu nie wyszłaś ponownie za mąż?

– Myślałam o tym – przyznała matka. – A także miewałam małżeńskie oferty. Nie mogłam jednak pogodzić się z tą myślą przez wiele lat, a potem nie byłam już dłużej młoda.

– Musiałaś bardzo kochać tatę?

Matka nie odpowiedziała. Wplotła w warkocz Charlotte wstążkę i obeszła wokoło łóżko, by siąść przy niej z drugiej strony. Jej błękitne oczy zwilgotniały, gdy spojrzała córce w twarz.

– Och, Charlotte – westchnęła.

Ścisnęło ją w gardle.

– Co, mamo?

– Jesteś śmiertelnie blada. Na litość boską, trzeba ci trochę kolorów. – Ujęła jej policzek w dwa palce, a potem uszczypnęła go mocno.

– Mamo! – Charlotte usiłowała się uwolnić.

– Cicho bądź. Kiedy lord Granville na ciebie spojrzy, nie powinien zobaczyć rozczochranego straszydła. Jeszcze zerwie zaręczyny.

Serce się jej ścisnęło. Wytrzymałaby cały tysiąc uszczypnięć, gdyby jej to pozwoliło ujrzeć go i znaleźć się w jego ramionach.

– Lord Granville nie zerwie zaręczyn.

Dała mu przecież wyraźną sposobność, a on odmówił.

„Wybrałem ciebie, Charlotte. Nie zmienię już zdania".

– Mówisz tak, ale nie bądź za bardzo zadowolona. Jesteś dziewczyną pełną życia i względnie bystrą, ale twoja powierzchowność liczy się najbardziej.

Charlotte opadła na poduszki. To było beznadziejne.

– Mamo, kocham cię – powiedziała na głos, żeby sobie samej o tym przypomnieć. – Nawet jeśli jesteś nieznośna, mówisz głupstwa i doprowadzasz mnie do białej gorączki.

– A ja kocham ciebie. Mimo że jesteś niewdzięczna, uparta i ani trochę nie zważasz na moje nerwy. Pewnie chciałabyś, żeby Delia tu przyszła i poczytała ci?

– Nie teraz. Ale chciałabym zobaczyć Piersa.

– Lorda Granville'a tu nie ma.

Siadła raptownie na łóżku.

– Nie ma go? Gdzie się podział? A jeśli jest gdzie indziej, w takim razie po co, na miłość boską, poddajesz moje policzki średniowiecznym torturom?

Matka wzruszyła ramionami.

– Miał jakiś interes do załatwienia. Ludzie na świeczniku często tak robią, Charlotte. Wiem, że on nie jest księciem, ale musisz się przyzwyczaić do myśli, że twój przyszły małżonek to ktoś ważny.

Charlotte pomodliła się w duchu o cierpliwość.

– Czy może wiesz, kiedy mój ważny przyszły małżonek ma wrócić?

– Słyszałam, jak mówił sir Vernonowi, że dzisiejszego wieczoru, ale może już wtedy być późno. Dobre i to. Jutro wydobrzejesz na tyle, że zdołasz wstać z łóżka.

Nie mogła czekać do jutra. Musiała widzieć się z Piersem. Pamiętała, jak ją wziął w ramiona na korytarzu i jaką posępną miał minę, kiedy starał się poznać przyczynę jej zatrucia.

Dotknęła obandażowanego ramienia. Kiedy widział ją po raz ostatni, była półprzytomna i słaba. A ona chciała zrobić na nim wrażenie i obiecała sobie przekonać go, że może być jego partnerką.

Błagała, żeby dał jej szansę, by mogła to udowodnić, a potem wszystko przepadło z powodu fatalnego śniadania. Może się teraz uznać za szczęściarę,

jeśli zaufa jej na tyle, by mogła nalać herbatę do filiżanki.

Piers pędził po pełnej kolein drodze, jakby gonił za nim sam diabeł.

W takich momentach zazdrościł bratu. Kariera bokserska wydawała się idealna, by zwyciężyć czyjeś demony. Gdy Rafe chciał rąbnąć kogoś lub w coś, nie potrzebował usprawiedliwień.

Piers nie znajdował się w tak luksusowej sytuacji. Do przemocy dochodziło w jego profesji co najwyżej sporadycznie.

Dzisiejszego wieczoru mógł jedynie puścić konia galopem, gdy opuszczał podjazd, i mieć nadzieję, że podmuch zimnego wiatru ostudzi jego złość.

Był wściekły na sir Vernona i cały ten dystyngowany dom wariatów, do którego właśnie jechał. Pełen furii na kogoś, kto próbował otruć Charlotte. A najbardziej zły był na siebie samego.

Zsiadł z konia, rzucił lejce stajennemu, a potem podszedł energicznym krokiem do drzwi Parkhurst Manor. Nie spojrzał nawet na gospodarza ani nie silił się na uprzejme pozdrowienia. Zmierzał prosto ku schodom.

Kusiło go, żeby zobaczyć Charlotte, ale oparł się temu. Nie udało mu się uchronić jej od otrucia. Mógł co najwyżej pozwolić jej odpoczywać.

Kiedy po rozmowie z Ridleyem zyskał pewność, że Charlotte wraca do zdrowia, wycofał się do sypialni i zamknął na klucz. Ściągnął z siebie kamizelkę i zzuł buty. Rozwiązał halsztuk i odrzucił go za siebie, nim zdjął koszulę przez głowę. Potem nalał wody do umywalki, umył się i opłukał twarz.

– Czy zamierzasz zostawić to na podłodze?

Uniósł głowę i odwrócił się.

Charlotte wspierała się o wewnętrzną stronę jego zamkniętych na klucz drzwi sypialni, kiwając trzymanym w dłoni halsztukiem. Uśmiechała się dyskretnie. Wyglądała jak piękna asystentka jakiegoś prestidigitatora w oczekiwaniu na szalony aplauz po udanej sztuczce.

*Voil*à*!*

Wytarł twarz ręcznikiem i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– W jaki sposób zdołałaś…

Wyciągnęła zza pleców szpilkę do włosów.

– Nabieram wprawy. Miałeś rację, to nie takie znów trudne, kiedy się już wie, na czym ten trik polega.

– Powinnaś odpoczywać.

– Odpoczywałam przez dwa dni. Czuję się całkiem dobrze. – Upuściła

halsztuk na podłogę i podeszła do Piersa. – W tej chwili nic mi już nie dolega.

Zamknął oczy, usiłując obronić się przed pokusą. Miała na sobie jedwabny szlafrok, a gęste, złote włosy sięgały piersi.

Nie udało mu się zachować dystansu. A to, że nie otwierał oczu, wzmagało tylko intymność tej chwili. Zdał sobie nagle sprawę, że sięga ku niej, delektując się jej miękkim dotknięciem. Czubkami palców przesuwała po jego nagiej skórze.

A potem, kiedy już nie mógł wytrzymać bez jej ust nawet chwili, dotknęła go wargami.

Boże, co ta kobieta z niego zrobiła! Zaparło mu dech. Serce biło jak szalone.

Niech to licho, kolana niemal się pod nim uginały.

O uginających się kolanach często wspominały powieści i groszowe dramaty. Nie sądził, żeby zdarzało się tak naprawdę, a jednak sam przekonał się teraz o tym.

Jego ręce odnalazły jej talię. Albo może jej talia znalazła się w jego rękach. Nieważne. Nie cofnęła się. Chwycił garścią za jedwabistą, śliską tkaninę. Przyciągnął Charlotte bliżej, całując ją głęboko.

Łatwo byłoby zanieść ją teraz do łóżka i zagubić się w błogości.

Była krucha. Byłby delikatny.

Być może. W pewnej mierze.

Wtedy otoczyła mu szyję ramionami, a on poczuł, że coś go lekko uwiera. Bandaż wokół jej przedramienia.

Oprzytomniał.

Otwarł oczy i zdjął jej ręce ze swojej szyi.

Nie mógł pozwolić, by pożądanie i uczucie zamąciły mu myśli. Nie teraz, kiedy jej bezpieczeństwo zależało od jego wyostrzonych instynktów.

– Kto przyniósł ci tacę ze śniadaniem do pokoju? – spytał.

Zdziwiła się nagłą zmianą tematu.

– Co takiego?

– Tacę z tojadem. – Zaprowadził ją ku krzesłu, żeby mogła usiąść, a potem siadł na podnóżku naprzeciw niej. Wsparł łokcie na kolanach i splótł palce. – Kto ci ją przyniósł do pokoju?

– Jakaś pokojówka.

– Która?

– Nie wiem. Ledwie ją widziałam. Miała rude włosy.

– Żadna z pokojówek nie jest ruda.

– W takim razie musiałam się pomylić.

Piers wątpił w to. Pamięć była zawodna, ale rude włosy nie były szczegółem, którym czyjaś imaginacja usiłowałaby zapełnić lukę we wspomnieniach.

– Czemu po prostu nie spytasz o to?

– Pytaliśmy. Każda osoba ze służby twierdzi stanowczo, że nic o tym nie wie.

– Jasne, że będą chcieli się wszystkiego zaprzeć. Pewnie boją się, że stracą pracę. Lady Parkhurst hoduje różne niezwykłe rośliny. Jestem pewna, że to był nieświadomy błąd.

– Trujący tojad nie ląduje na tacy ze śniadaniem z powodu czyjegoś błędu.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Może nie w twojej pracy. Ale tu nie ma żadnej międzynarodowej intrygi. To tylko wiejskie party.

– Nie bądź naiwna – odparł nieco ostrzejszym tonem niż zamierzał. – Pytałaś o różne rzeczy, prowadząc swoje małe śledztwo. Może zbliżyłaś się zanadto do sekretu, który ktoś chciał za wszelką cenę ukryć.

– Piers, przestań się dopatrywać spisków tam, gdzie nie może być żadnego. – Pogłaskała go po czole, jakby chcąc je wygładzić. – To jeszcze jedna różnica między nami. Ja jestem optymistką. Ty zawsze spodziewasz się najgorszego. Ja robię wszędzie bałagan, ty masz u siebie idealny porządek. Jak widzę szklankę do połowy pełną wody, a ty – napełnioną trucizną.

– Ty byś też tak uważała, gdybyś się zajmowała moją pracą. Właśnie dlatego nigdy nie pozwolę, żebyś w niej brała udział.

– Mówiłeś, że weźmiesz to pod uwagę.

Musiał to wziąć pod uwagę.

Mimo że rozsądek podpowiadał mu coś innego, był zafascynowany myślą o wciągnięciu jej do współpracy. Oczywiście nie przeglądałaby cudzych rejestrów ani nie przemycała dokumentów. Była jednak spostrzegawcza i szybko potrafiła sobie zaskarbić czyjeś zaufanie. Widział już w wyobraźni, jak wracają do domu z balu lub przyjęcia, porządkując swoje obserwacje i dzieląc się plotkami albo podsłuchanymi słowami.

A potem kochają się namiętnie.

Gdy jednak straciła przytomność na korytarzu, wszystkie jego plany uległy zmianie, bo wszystko się zmieniło.

– Mogę to robić, Piers. Mam do tego usposobienie. A kiedy wrócę z Grand Tour, będę bardziej światowa i nabiorę większego poloru. Potrafię być twoją partnerką i będę zdolna się bronić.

– To ja będę cię bronił. No i nie pojedziesz w żadną podróż.

Była wyraźnie rozczarowana.

– Przecież obiecałeś, że dasz mi szansę, żebym mogła udowodnić swoją wartość.

– Ale zrobiłem tak, zanim o mało nie umarłaś w moich ramionach. Kiedy cię znalazłem na podłodze…

Zaklął dużo ostrzej niż kiedykolwiek to zrobił w obecności kobiety.

– Rozumiem. – Podeszła do jego krzesła i ścisnęła mocno jego drżące palce. – Wiem, jak cię to przeraziło.

Nie wiedziała.

Nie wiedziała, jak bardzo ten widok nim wstrząsnął ani też nie powinna się była nigdy dowiedzieć. Sam musiał uporać się z tamtym haniebnym sekretem. Uginał się pod jego ciężarem przez całe dziesięciolecia, a miał mu ciążyć jeszcze przez kilka następnych.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Ujęła go jeszcze mocniej za ręce, ale ze wzrokiem wbitym w dywan. – Zwlekałam z tym. Nie dlatego, by miało cię to zaskoczyć. Masz z pewnością tyle inteligencji, żeby zrozumieć, o co mi chodzi. Sądzę, że tam… na łące… sam się może domyśliłeś.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Obawiam się, że nie spodoba ci się to, co usłyszysz, i zaczniesz się ze mną spierać, co zresztą niczego nie zmieni. Nie jesteś jedyną osobą zdolną podjąć nieodwołalną decyzję, a wiesz już, że potrafię być uparta, kiedy mi się próbuje coś wyperswadować.

Dobry Boże. Zamierzała go rzucić! Jakże był zadufany w sobie, sądząc, że potrafi w inny sposób poradzić sobie z ich kłopotliwą sytuacją. Zażąda teraz zerwania zaręczyn.

A co gorsza – wiedział, jaką należy jej dać odpowiedź. Powinien być na tyle przyzwoity, żeby jej pozwolić odejść.

Tylko że za nic w świecie by tego teraz nie zrobił.

Wyrzuciła z siebie, szybko i niewyraźnie, słowo, które brzmiało jak „Jasiecho”.

Spojrzał na nią, oniemiały ze zdumienia.

– Coś ty takiego powiedziała?

O co jej chodziło? Czy to może nazwa jakiejś wioski, posiadłości, czyjeś dziwne nazwisko? Miejscowość, gdzie chciała spędzić wolny czas?

– O Boże – odezwała się, gdy minęło kilka chwil. – Wiem, że jesteś temu

przeciwny, ale spodziewałam się po tobie bardziej zdecydowanej reakcji.

– Charlotte, wytłumacz mi, o co ci chodzi. Nie mogę tego zrozumieć. Co znaczy „Jasiecho”?

Wzniosła oczy do góry i westchnęła.

– Och, ty głuptasie. Powiedziałam, że ja cię kocham!

20

Charlotte z coraz większym niepokojem czekała, co on teraz zrobi.

Przez długą i trudną do zniesienia chwilę tylko patrzył na nią.

Może powinna mu to powiedzieć jeszcze raz?

Ześlizgnęła się z krzesła i uklękła niemal przy samych jego kolanach.

– Piers – wyszeptała – powiedziałam, że ja, Charlotte… całym organem w mojej piersi zwanym sercem… kocham cię. Gorąco. Czy to brzmi wyraźniej?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Ani trochę.

O Boże, było gorzej niż sobie wyobrażała. Wiedziała, że nie był człowiekiem uczuciowym – a już na pewno nie rozumiał, czym jest romantyczne przywiązanie. Z pewnością jednak miał o tym jakieś pojęcie.

Może więc jakoś by ją zrozumiał?

Z wyrazu jego twarzy wynikało jednak coś innego. Wyglądał na kogoś, kto się przeciwstawia, buntuje, zabrania.

– Nie możesz tak mówić, Charlotte.

– Dlaczego? Czy sądzisz, że jest jeszcze zbyt wcześnie?

– Nawet za sto lat byłoby zbyt wcześnie. O wielu rzeczach wciąż nie wiesz. Nigdy zresztą nie powinnaś o nich wiedzieć.

– Chyba nie myślisz, że… – Urwała, zbierając się na odwagę, żeby spytać go o coś. – Z pewnością nie uważasz, by otrucie nastąpiło z twojej winy?

– Oczywiście, że z mojej. Powinienem był zachować większą ostrożność. Nie doszło by do tego, gdybym nie…

– Nie. Nie chodzi o mnie. Mam na myśli twoją matkę.

– Co moja matka może z tym mieć wspólnego? – spytał gniewnie.

– Myślę, że ma. Jakże mogło to nie wpłynąć na twoją reakcję? Znalazłeś mnie przecież nieprzytomną na korytarzu. Czy zażyła laudanum, czy też coś innego?

– Kto ci o tym powiedział?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Ty sam.

– Nie! – Odepchnął jej ręce i cofnął się. – Powiedziałem ci tylko, że zmarła po długiej chorobie. Nie wspomniałem ani słowem, w jaki sposób.

– Tylko samobójstwo ma tu sens, choć mi tego nie powiedziałeś wyraźnie. Powszechnie wiadomo, że niezrównoważone kobiety zażywają ten lek na uspokojenie. Choć nie było powodu do przerażenia, wyszedłeś wprost z siebie, kiedy nie mogłeś się mnie dobudzić na łące. A po moim zatruciu znów wzniosłeś ten mur.

– Jaki znów mur?

– Wokół twojego serca. W dzieciństwie poniosłeś wielką stratę. Kiedy dorosłeś, wybrałeś niebezpieczną, czasami nawet brutalną profesję. Mogę sobie wyobrazić, jak to odmienia ludzi i sprawia, że obojętnieją uczuciowo, co ich zniechęca do wszelkiej bliższej zażyłości.

– Mówisz nonsensy. – Piers wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Szybciej wyciągasz wnioski niż pchły skaczą z jednego psa na drugiego.

– O, nie. Nie myśl, że zdołasz mnie uciszyć. – Zagrodziła mu drogę. – Wiem, jak długo trwa, nim komuś zaufasz. Przecież ponad rok po tym, jak zdechł ci Ellingworth, nie miałeś jeszcze nowego psa.

Odwrócił wzrok i westchnął z gniewem:

– Wiem, czego chcesz. Od początku ci mówiłem, że nie jestem człowiekiem odpowiednim dla ciebie.

– A więc myślimy podobnie, bo Bóg jeden wie, ile jest kobiet stosowniejszych dla ciebie. Myślę jednak, że ja jestem tą najwłaściwszą. – Dotknęła jego piersi. – Wmawiałeś mi, że dla ciebie jest już za późno na miłość. Ale ja sprawiłam, że o mnie myślisz, że mnie pragniesz, że weszłam ci w krew. Nie dam się wyrzucić z twojego serca.

– Musisz zrozumieć jedno. W moim życiu nie ma miejsca na niepewność ani na błąd. Muszę mieć jasną głowę, bo inaczej komuś może stać się krzywda. Tobie także. – Ujął ją za okrytą bandażem rękę. – Do licha, przecież już ci się stała.

– A jeśli ci powiem, że wiem, co ryzykuję i że chcę to ryzyko podjąć?

– Niczego to nie zmieni. Te, jak je nazywasz, mury, wrosły już we mnie i są mocne jak żelazo. – Uniósł dłoń ku jej twarzy, powiódł kciukiem po dolnej wardze. – Nie wiedziałbym, jak się ich pozbyć, nawet gdybym chciał.

– Wiem – odparła spokojnie. – Wiem. – Objęła go za szyję. – Właśnie dlatego potrzeba ci mnie. Zamierzam je zburzyć ze szczętem.

Chciał jej dać odpowiedź, ale nie czekała na nią.

Zamiast tego zawisła mu na szyi i nakryła jego usta swoimi.

Z początku się opierał, ale nie pozwoliła mu na sprzeciw. Może nie było uczciwe, że posługiwała się przeciw niemu pożądaniem, ale innej broni nie miała. Zamierzała zdobyć jego serce i posłużyć się w tym celu wszystkim, co dawało jej przewagę.

Całowała go, póki nie przestał zaciskać ust. A potem wsunęła w nie język.

Przejęcie prowadzenia było dla niej czymś nowym. Spodobało jej się. Nawet bardzo.

Westchnęła rozpaczliwie i zaczęła gładzić go po plecach, a potem – coraz śmielej – po nagich ramionach i piersi.

– Jaki jesteś piękny. Wprost perfekcyjny – powiedziała, całując go w pierś. – A wewnątrz również.

Mruknął ostrzegawczo:

– Charlotte…

– No, co? – spytała celowo niewinnym tonem. Cofnęła się, spojrzała na niego, a potem pozwoliła, by jej atłasowy szlafrok osunął się na podłogę. – Co chciałeś powiedzieć?

Poznała po jego spojrzeniu, że jest górą. Gotów był się poddać.

Cofnęła się znów o krok, a potem o drugi.

Zbliżył się ku niej, jak przyciągany niewidzialną siłą.

Kiedy trąciła o materac, legła jak długa na łóżku. A on, wciąż wpatrzony w jej obnażone piersi, rzucił się na nią całym ciałem.

– Nie w ten sposób. Nie tym razem. – Założyła na niego nogę i przewróciła go na plecy. – Teraz moja kolej.

Gdy się nachyliła, żeby ucałować go w szyję, wymamrotał jakieś przekleństwo. Powiodła językiem po jego piersi. Spróbowała wargami małych sutków.

A potem siadła na nim, otaczając go nogami i unosząc piersi rękami, tuż przed jego oczami, okrążając końcami palców różowe czubki.

Wydał z siebie zduszony jęk.

– Zabijasz mnie.

Uśmiechnęła się tylko.

Dotknęła końcem palca jego warg, a potem sunęła nim coraz niżej, aż do lędźwi.

Tym razem poradziła sobie z guzikami.

Wciągnął gwałtownie dech, gdy uwolniła jego ciało od koźlej skóry i zaczęła

go tam gładzić w górę i w dół.

A potem nachyliła głowę i dotknęła go językiem.

Poruszył mocno biodrami i wymamrotał jakieś słowo, którego nie zrozumiała.

Spojrzał na nią, kiedy uniosła już głowę. Nie spuściła z niego wzroku, po czym nachyliła się i zrobiła znów to, co poprzednio.

– Chryste.

Ta bluźniercza reakcja wcale jej nie pohamowała. Przeciwnie, poczuła w sobie przypływ wręcz ponadludzkiej siły.

Siadła wyprostowana. Sięgnął ku niej, ale schwyciła go za ręce i splotła jego palce ze swoimi. A potem przylgnęła do niego całym ciałem. Włosy się jej rozsypały i okryły ich oboje.

Kołysała się na nim, opadając stopniowo coraz niżej, póki nie znalazł się w niej cały.

Poruszała się w powolnym, regularnym rytmie, biorąc go w siebie raz za razem. Przytrzymywała mocno jego ręce na łóżku, wciąż patrząc mu prosto w oczy.

– Jak dobrze – wyszeptała – że czuję cię w sobie.

Podobało się jej, co do niej mówił. A może te słowa podziałają i na niego, jeśli usłyszy je od niej?

Najwyraźniej jej domysły były trafne, bo zaczął coraz mocniej za każdym razem wyginać plecy, przynaglając ją do szybszych ruchów. Poruszali się coraz prędzej, a rozpuszczone włosy Charlotte muskały jej piersi i jego policzki.

– Już dłużej nie mogę – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Kończ!

– Ty najpierw – odparła z uśmiechem.

Puściła jego ręce, wsparła się na łokciach i wplotła palce w jego włosy. Sięgnął ku jej biodrom, desperacko je ściskając. Kierował nią, każąc się jej poruszać to w górę, to w dół, coraz szybciej i mocniej. Zmarszczył brwi z wysiłku, w rozchylonych ustach błysnęły zęby.

Przez cały czas nie spuszczali z siebie wzroku. Błękitnymi oczami wnikał w nią mocniej niż przyrodzeniem. Szukał czegoś i o coś błagał.

– Kocham cię – wydyszała, czując, jak jego ciało coraz bardziej nabrzmiewa wewnątrz niej. – Kocham, ko…

Pocałował ją. Mógłby skraść jej te same słowa, ale nie uczucie. Żadna ziemska siła nie była w stanie pohamować ani tego, co narastało w jego sercu, ani wzbierającej w niej błogości.

Wreszcie nadszedł koniec wraz z jego ostrym, gardłowym krzykiem i

ostatnim pchnięciem. Poczuła, że przeszywa ją cała seria szaleńczych spazmów. Jego szczyt pociągnął za sobą jej własny.

Zamknęła oczy. Radość, pożądanie, ulga, miłość złączyły się w niej w jedno. Ujrzała pod zamkniętymi powiekami oślepiający błysk.

Zobaczyła gwiazdy.

Kiedy przestała dyszeć, spojrzała znów w dół, na niego. Ucieszyło ją, że wciąż na nią patrzył. Odgarnęła z jego czoła zwilgotniałe włosy.

– To była – powiedziała, całując go – prawdziwa miłość.

Przymknął oczy.

– Charlotte…

Kazała mu zamilknąć.

– W porządku. Wiem, że dla ciebie to coś nowego, a chyba też oszałamiającego. Dla mnie również. Ale kocham cię i chcę, żebyś o tym wiedział. Bo choćbyś jak najmocniej trzymał na wodzy swoje uczucia, z moimi tego zrobić nie możesz. Wiem, co się wewnątrz ciebie kryje za tymi murami i nie spocznę, póki do tego nie dotrę. Nawet gdyby to miało trwać latami. Dziesiątkami lat. Wiem, że jesteś wart tych wysiłków. – Ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi. – Nigdy się nie poddam.

Przygarnął ją do siebie tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Mimo to czuła się w tym uścisku bezpiecznie. Bicie jego serca, równe i silne, ukołysało ją.

Któregoś dnia nauczy się może, żeby nie zasypiać tuż po akcie miłości.

Ale nie dzisiaj.

– Charlotte, zbudź się!

Otwarła oczy i siadła na łóżku. Gdy poprzednio dwukrotnie usiłował ją zbudzić, miało to fatalne skutki. Nie chciała dawać mu powodu do niepokoju.

– Czuję dym – powiedział. – Musimy uciekać.

Ledwie ją zdołał wyciągnąć z łóżka, na korytarzu rozległ się tupot stóp. Ktoś biegł przez dom, zatrzymując się tylko na tyle, by załomotać do każdych drzwi.

– Pali się! Pali się!

Podczas gdy Piers wyjrzał z pokoju, chcąc się upewnić, że jest bezpiecznie, Charlotte odnalazła szlafrok i zawiązała go w pasie.

Kiedy wyszli na korytarz, w całym domu panował już zgiełk. Ludzie w nocnej bieliźnie przebiegali koło nich w obydwu kierunkach. Nie mogła dostrzec żadnych płomieni, ale gryzący dym kłębił się po prawej stronie, blokując główne schody.

– Tędy! – powiedział, chwytając ją za rękę i ciągnąc w lewo. – Do schodów kuchennych! Najpierw ty. Pospiesz się. Ja biegnę po twoją matkę.

Och, nie. Mamo!

Spojrzała ku chmurze czarnego dymu. Sypialnia matki znajdowała się właśnie po drugiej stronie korytarza. Dokładnie naprzeciwko jej własnej.

Wiek matki, jej osłabiony wzrok i nerwowość sprawiały, że nigdy nie była w stanie się w niczym zorientować bez pomocy.

Wyszarpnęła mu ramię z uścisku i chciała pobiec w prawo.

Piers odciągnął ją w tył.

– Nie! Ku schodom!

– Nie mogę bez niej!

– Biegnij w tej chwili. Ja potrafię ją unieść, gdyby było trzeba, ale nie poradzę sobie z wami obydwiema. Ruszaj!

– Ależ…

– A kto ci pomoże, jeśli nie zdążysz uciec?

Nim zdołała mu odpowiedzieć, zniknął w zadymionym korytarzu. Przez chwilę stała bezradnie w miejscu, patrząc w ślad za nim. Potem jednak dym zaczął ją ogarniać i szczypać w oczy.

Chęć przeżycia sprawiła, że pobiegła przed siebie, choć serce ciągnęło ją w przeciwną stronę.

– Charlotte!

Obróciła się wokół własnej osi ku temu głosowi.

Delia stała w drzwiach swojego pokoju i zanosiła się od kaszlu.

Charlotte rzuciła się ku przyjaciółce i schwyciła ją pod rękę.

– Oprzyj się o mnie. Biegnijmy do kuchennych schodów.

Popędziły obydwie ku stromym i ciemnym schodkom, szukając drogi na oślep. Delia potknęła się na krzywych stopniach, ale Charlotte ją podtrzymała. Kiedy zbiegły już na dół, skręciły w wąski korytarzyk. Ledwie zdołały umknąć przed dymem, który gonił za nimi niczym złośliwy demon.

Kiedy wreszcie znalazły się na zewnątrz, zaczerpnęły świeżego, chłodnego powietrza tak chciwie, jakby to była woda na pustyni, a potem pospieszyły ku grupie służby i krewnych na tyłach ogrodu.

– Delio! – Lady Parkhurst porwała w ramiona córkę, odciągając ją od Charlotte ku ławce, gdzie siedziała już drżąca Frances.

Sir Vernon wymachiwał pochodnią, wydając donośne rozkazy lokajom i stajennym, którzy tworzyli łańcuch wiader z wodą. Nawet mały Edmund brał w

nim udział, przynosząc skórzane wiaderka ze stajni.

Charlotte odwróciła się i spojrzała ku domowi. Było już bardzo ciemno, a lokaje pędzący tu i tam zasłaniali widok jeszcze bardziej. Coraz bardziej ściskało ją w gardle.

Dwie najważniejsze dla niej osoby tkwiły wciąż w tym piekle pełnym dymu i żaru.

Jeśli je straci…

Nie mogła wytrzymać napięcia. Pobiegła ku wejściu dla służby, omijając po drodze lokajów. Jeśli matka i Piers byli w niebezpieczeństwie, spróbuje przyjść im z pomocą albo zginie.

Ale gdy była już przy samych drzwiach, matka wynurzyła się z nich w powiewnej białej koszuli obszytej koronkami i w przekrzywionym czepku.

Charlotte podbiegła do niej i objęła ją za szyję z niewysłowioną ulgą.

– Mamo! Dzięki Bogu!

Odciągnąwszy ją od domu, spytała:

– A gdzie Piers?

– Wrócił tam, żeby ratować innych ludzi.

No oczywiście. Zawsze był bohaterem.

– Och, Boże!

Charlotte zakryła usta ręką, chcąc stłumić szloch.

– Chodźmy stąd. – Matka objęła ją i powiedziała całkiem spokojnym głosem: – Siądź tutaj przy mnie.

– Nie mogę. Chcę mu pomóc.

– Jest mocny i bardzo sprawny. Najlepiej mu pomożesz, trzymając się z daleka od niebezpieczeństwa. A na razie módlmy się.

Miałaby się modlić? Charlotte zdolna była tylko do powtarzania w myślach rozpaczliwie prosto:

Błagam, błagam, błagam.

Po kilku minutach spostrzegła, że lokaje z wiadrami zwolnili tempo. Z budynku wyszedł jakiś mężczyzna i powiedział coś do sir Vernona, a potem sir Vernon podszedł do ich gromadki.

Charlotte zerwała się z ławki. Matka też z niej wstała, trzymając ją za rękę.

– Ogień już ugaszono – oznajmił z uspokajającym gestem. – Ludzie trochę się osmalili, ale nikt nie jest poważnie ranny.

Charlotte w swoich milczących błaganiach z miejsca przeszła na „Bogu dzięki”.

– Szczęściem pożar ograniczył się do jednego pomieszczenia. Całe skrzydło trzeba będzie, rzecz jasna, porządnie wywietrzyć, ale nie ma poważnych szkód.

– Co było przyczyną ognia? – spytała Charlotte.

– Właśnie chciałem o to zapytać, panno Highwood, bo pożar wybuchł w pani sypialni.

– Co takiego?

– Zdaje mi się, że od kominka zajął się stos odzienia leżący na podłodze koło paleniska.

Czyżby wszystko stało się z jej winy?

Lady Parkhurst zwróciła się ku niej:

– Czy nie przewróciłaś czasem świecy, Charlotte? Na pewno ci się nie wyślizgnęła z ręki?

– Nie… nie wydaje mi się.

A jednak… grzebała wśród mnóstwa swoich rzeczy, szukając nocnego stroju, w którym było jej wyjątkowo do twarzy. Może jakaś pończocha czy koszula upadła zbyt blisko ognia?

Sir Vernon zmarszczył brwi.

– Przecież musi pani chyba coś pamiętać. Z pewnością można było spostrzec płomienie, chyba że znajdowała się pani gdzie indziej.

– Daj jej spokój, papo – powiedziała Delia. – Przecież przeżyła wstrząs. Miała szczęście, że uszła z życiem.

– To nie żaden szczęśliwy przypadek – zabrała głos Frances, patrząc na Charlotte wzrokiem bazyliszka. – Ona ci nie powie, papo, od czego zaczął się pożar, bo wcale nie była wtedy w swoim pokoju, tylko w sypialni lorda Granville’a!

Wszyscy spojrzeli ku niej. Charlotte nie wiedziała, gdzie się podziać. Owinęła się szlafrokiem, przytrzymując go przy szyi. Po raz pierwszy, odkąd wybiegła z budynku, poczuła, że jest jej zimno.

Delia jako dobra przyjaciółka wystąpiła w jej obronie.

– Chyba ci się zdawało, Frances. W całym domu panował straszny rozgardiasz!

– Widziałam ich bardzo dobrze – upierała się Frances. – Obydwoje wyszli właśnie stamtąd. Czy może się mylę, panno Highwood?

Charlotte poczuła, że dusi ją w gardle. Nie było sensu zaprzeczać Frances.

– Nie.

Cisza, która potem zapadła, dotknęła ją aż do bólu.

– Charlotte! – zawołała Delia. – A ja myślałam, że mamy wspólne plany. Mówiłaś przecież, że on cię wcale nie obchodzi.

– W naszych planach nic się nie zmieniło.

– W takim razie dlaczego…

– Morderstwo! – wrzasnął Edmund. – To było morderstwo! On ją od dawna chciał zamordować! Sam słyszałem odgłosy! Najpierw ktoś jęczał „ach, ach, ach”! A potem ktoś inny zacharczał, o tak: „chrrr”!

Lady Parkhurst zatkała synowi usta, ale on nadal uparcie, zduszonym głosem, imitował usłyszane przez siebie dźwięki.

– Próbowałam cię ostrzec – powiedziała Frances do Delii. – W plotkach zawsze kryje się źdźbło prawdy. Widziałaś, co o niej napisano w „Prattlerze”, ale nie chciałaś temu wierzyć. Teraz już wiesz. Nadużyła twojego zaufania.

Charlotte odwróciła się w stronę Delii.

– Nieprawda! Delio, nie wierz jej. Jesteśmy nadal przyjaciółkami! Najlepszymi przyjaciółkami!

– Przyjaciółki są wobec siebie uczciwe. Okłamałaś mnie.

– Nigdy nie miałam zamiaru cię okłamywać. Wszystko zaczęło się od nieporozumienia. Usiłowałam je wyjaśnić, ale tak się złożyło, że…

– Jakaż byłam głupia. – Delia odwróciła od niej wzrok. – Choć mogłam się wszystkiego domyślić. Ta wyprawa do sklepów. Te twoje tajemnicze zniknięcia. Byłam w twoim pokoju, kiedy powiedziałaś, że masz migrenę, ale cię tam nie zastałam. A ten bzdurny epizod z otruciem też pewnie był oszustwem. Całkiem jak jagody oplute przez szatana.

– Nie, Delio, nie! Wiem, że może ci się tak wydawać, ale pozwól mi się wytłumaczyć!

Wszystko na próżno. Delia i tak wiedziała swoje. Może wysłucha jej i przebaczy później, ale nie tej nocy.

– Nie martw się, Delio – powiedziała Frances z uśmieszkiem zadowolenia. – Dobre towarzystwo ukarze ją należycie. Domyślam się, jaki przydomek nada jej wkrótce „Prattler”. Łatwo zgadnąć, bo rymuje się z „Charlotte”.

– Scarlet? – spytała lady Parkhurst.

– Nie, inny.

– *Varlet* – wtrącił się sir Vernon.

– *Varlet*? – powtórzyła za nim jak echo matka Charlotte. – A cóż to znaczy?

– To średniowieczne określenie łotra albo hultaja.

– Doprawdy, papo – westchnęła Frances – nikt jej tak nie nazwie.

– Co w takim razie proponujecie? – spytała lady Parkhurst. – Może *marmot*[1]? Ale to się nawet należycie nie rymuje.

Charlotte nie mogła już dłużej znieść tych złośliwości.

– *Harlot*![2]

Wszyscy z miejsca umilkli.

– Właśnie to miała na myśli Frances. Przezwą mnie „Charlotte the Harlot”.

Czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu, a jej właściciel oznajmił donośnym, stanowczym głosem:

– Ludzie będą się do niej zwracać jako do jaśnie pani markizy Granville. Mojej żony.

Piers!

Charlotte odwróciła się. Tak, to był on. Wciąż jeszcze z nagą piersią. Miał na niej pełno sadzy, a we włosach popiół. Biła od niego woń spalenizny.

Nigdy jeszcze nie wydał się jej wspanialszy.

Przestała dbać, co inni teraz o niej myślą. Niech sobie Frances wymyśla jedno obrzydliwe przezwisko po drugim.

Objęła go wpół i tuliła się do niego bez tchu, póki nie dosłyszała miarowego bicia jego serca. Wtedy ochłonęła.

– A ja tak się strasznie o ciebie bałam – wyszeptała.

Przesunął dłonią po jej plecach i powiedział cicho:

– Już dobrze. Już po wszystkim.

Frances jednak wcale to nie wzruszyło.

– Chyba nie ma pan zamiaru żenić się z nią, milordzie? Niech pan się nie da oszukać i nie broni cnoty kobiety, która wcale jej nie ma. I ona, i jej matka to dwie nędznice knujące matrymonialne intrygi, które…

– Wypraszam sobie, panno Parkhurst! – przerwała jej gwałtownie matka Charlotte. – Może mnie dałoby się oskarżyć o matrymonialne intrygi, ale Charlotte? Nigdy w życiu! Zachęcałam ją, jak tylko mogłam, ale uparta dziewczyna nigdy nie chciała mnie słuchać.

Sir Vernon spojrzał surowo na starszą córkę.

– Frances, daj spokój.

– Dlaczego mam dać jej spokój? Czy nie widzisz, papo, jak to wyglądało? – Wskazała na Charlotte. – Próbowała go złowić w pułapkę od samego początku. Wkrótce miał wyjechać, zdecydowała się więc na desperacki krok i podłożyła ogień. A potem wślizgnęła się do jego pokoju w nadziei, że wywoła skandal. Mówię ci, mogła spalić nasz dom aż do fundamentów!

– Dość tego! – powiedział stanowczym tonem Piers. – Powtarzam, panno Parkhurst, że mówi pani do mojej przyszłej żony. Nie pozwolę oskarżać jej o oszustwo, niemoralność, a tym bardziej o podpalenie. Zaręczyliśmy się dużo wcześniej. Sporządzono intercyzę i podpisano kontrakt, a ogłoszenie o naszym ślubie ukaże się w jutrzejszym „Timesie”.

Charlotte spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Poleciłeś dać ogłoszenie o ślubie? Nie powiedziałeś mi o tym.

Nawet na nią nie spojrzał.

– Panna Charlotte odjedzie stąd razem ze mną, a ślub weźmiemy w mojej posiadłości.

Charlotte nie potrafiła zrozumieć, jak to zrobił. Chyba że ze wszystkim zdołał się uporać, kiedy spała.

– No cóż – zaczęła lady Parkhurst, zdobywając się z wyraźnym wysiłkiem na lekki ton. – Doprawdy szczęśliwie się wszystko składa. Wydajemy jutro bal, będziemy więc mogli podczas niego ogłosić tę szczęśliwą nowinę.

Delia spojrzała na Charlotte z wyraźnym smutkiem.

– Wybacz, ale nie wezmę w tym udziału. Życzę wam obojgu wiele szczęścia.

Po czym odwróciła się i poszła ku domowi.

Charlotte wyswobodziła się z objęć Piersa i pobiegła za nią.

– Delio, poczekaj! Błagam, pozwól mi się wytłumaczyć. Wszystko, co mówiła Frances, to nieprawda, daję ci słowo! Niczego nie pragnę bardziej od wyjazdu z tobą na kontynent. No i… tak mi strasznie przykro!

– Mnie również – odparła Delia. – Ale teraz muszę odejść. Zostaw mnie.

– Ale…

– Dość tego, Charlotte. To nie w porządku. Byłam zbyt łatwym łupem. Pozwól mi odejść z godnością. Przynajmniej tyle jesteś mi winna.

Charlotte chciała jej zaprzeczyć, ale wiedziała, że to nie pomoże, więc tylko skinęła z trudem głową.

A potem patrzyła bezradnie, jak najlepsza przyjaciółka ją opuszcza.

21

Rankiem Charlotte poszła na górę do swojej sypialni, żeby zabrać wszystko, co dało się jeszcze uratować. Stanęła na środku pokoju, rozejrzała się wokoło, spojrzała na okopcone rzeczy i popiół, a potem jęknęła.

Mogło być gorzej, powiedziała sobie jednak w duchu.

Dzięki szybkiej akcji gaśniczej płomienie strawiły tylko to, co znajdowało się w pobliżu kominka lub wisiało na poręczy w nogach łóżka. Tylko że dymu nigdy się już nie wywietrzy z jej sukien i szali.

– Kupię ci nowe stroje.

Odwróciła się. Piers bezszelestnie przyszedł tam w ślad za nią.

– Możemy już dziś pójść do sklepów – dodał.

– Część mojego odzienia zabrano wczoraj do prania, a najlepsze suknie poszły do prasowania. Nie zostałam całkiem bez niczego.

Postawiła sakwojaż na nadpalonej gotowalni i otwarła go, a potem zaczęła szperać po szufladach w poszukiwaniu tego, co mogło ocaleć.

– Mimo to na pewno jesteś zmartwiona.

– Jakże mogłabym się nie martwić? – spytała, obracając w dłoniach zakopconą bransoletkę. – Mogłam stracić życie we śnie, moja najlepsza przyjaciółka nie chce ze mną mówić i o mało nie spaliłam całego pałacu. – Przyjrzała się wilgotnej, nadpalonej pelisie leżącej na podłodze. – Muszę też z przykrością przyznać, że być może moja bielizna rzeczywiście stała się rodzajem pułapki. Chyba wyciągnę z tego jakąś naukę.

– Dziś wieczorem oznajmimy o naszych zaręczynach i zaraz wyjedziemy. Wszystko już przygotowałem.

– Owszem, pamiętam. Intercyza, ogłoszenie i tak dalej. – Spojrzała na niego. – Ale mówiłeś też o podpisaniu kontraktu. Niczego nie podpisywałam.

– Zrobiła to twoja matka.

– Moja matka?

– Nie skończyłaś jeszcze dwudziestego pierwszego roku życia. Nadal jest

więc twoją opiekunką.

Upuściła bransoletkę.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Czy mam zatem iść i złożyć przysięgę małżeńską w kościele, czy też i o to już zadbałeś?

Zbliżył się do niej o krok.

– Charlotte, musisz to zrozumieć.

– Spróbuję. Może mi wyjaśnisz, czemu zamierzasz powierzyć mi swoje domy i rodzenie dzieci, ale nie ufasz mi na tyle, bym mogła podpisać własny kontrakt ślubny?

Szerokim ruchem ręki wskazał zniszczone wnętrze.

– Spójrz na to. Zabiorę cię z tego domu wariatów do siebie. Tam będę pewny, że nic ci nie grozi.

– Masz nadmiernie wybujałą wyobraźnię, całkiem jak Edmund. – Potrząsnęła głową. – Pożar wybuchł z mojej winy, tojadem zatrułam się zapewne przez przypadek, okno w moim pokoju zamknęła tamtego wieczoru Delia. Nikt mnie nie próbuje zamordować!

– Może tak, a może nie. Ale wszystko to mogło się jednak skończyć twoją śmiercią, nie mam więc ochoty na żadne eksperymenty. – Oczy błysnęły mu gniewnie. – Nie zamierzam ryzykować, że znajdę cię leżącą bez życia na korytarzu!

Charlotte pożałowała swojego wybuchu. Należało okazać mu więcej zrozumienia. W końcu to przecież ona poszła do jego pokoju. Gdyby nie pożar, nigdy by ich nie ujrzano razem. Piers nie musiałby wówczas wygłaszać dramatycznego oświadczenia w ogrodzie.

Znowu musiała za wszystko winić tylko siebie.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że miałeś dobre zamiary i nie chcę się z tobą spierać. Najważniejsze, że wszyscy ocaleli, a straty nie są nieodwracalne. – Szkoda, że nie mogła tego powiedzieć o przyjaźni z Delią i o swojej własnej reputacji. – Wszystko w tym pokoju można zastąpić czymś nowym.

Wszystko oprócz…

– Och, moja flanelka! – Podbiegła do łóżka, odsunęła okopcone zasłony i zaczęła odrzucać poduszki, a także przesiąknięte dymem kołdry. – Powinna tu nadal być! Trzymałam ją pod poduszką.

Ale flaneli tam nie było. Przeszukała całe łóżko, lecz bez skutku.

– Gdzież ona może być? Skoro ogień nie strawił poduszek, jakże mogła spłonąć?

Piers podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

– Nie martw się. Jesteś zmęczona i zdenerwowana. Zejdź na dół, odpocznij, a ja jej poszukam.

– Nie pójdę odpocząć. Nie odzyskam spokoju, póki jej nie znajdę.

Zaczęła przeszukiwać komodę, przeglądając szufladę po szufladzie. Czyżby włożyła ją gdzie indziej? Kiedy poszukiwania nic nie dały, podbiegła ku szafie ściennej i przeglądała kolejno kieszenie płaszczy.

Daremnie.

Lęk i zmęczenie z powodu nocnych wydarzeń zaczęły jej doskwierać. Czuła, że rośnie w niej rozpacz.

Powiedziała sobie jednak, że nie wolno jej płakać. Zważywszy, czym mógł się skończyć pożar, powinna była uznać się za szczęśliwą, skoro nic się nie stało jej, matce, Parkhurstom ani Piersowi. W końcu chodziło tylko o skrawek tkaniny.

– Jest tutaj.

Odwróciła się. Piers stał przy kominku i wyjmował flanelkę z pudełka na hubkę, zrobionego z kutego żelaza.

– Jesteś prawdziwym aniołem! – Charlotte z ulgą dotknęła ulubionej miękkiej szmatki. Uniosła ją do nosa. Wcale nie przesiąkła dymem.

– Jakże się znalazła akurat tam?

– Czy to ma znaczenie?

– Może i nie. – Przycisnęła flanelkę do piersi. – Strasznie się cieszę, że przetrwała. A jednak to dziwne. Wcale nie powinnam jej tam była wkładać, ale pudełko okazało się najbezpieczniejszym miejscem. Całkiem jakby ktoś umyślnie…

Urwała, czując bolesny skurcz w piersi.

Tylko jedna osoba mogła jednocześnie podpalić sypialnię i uratować jej ulubioną pamiątkę.

Spojrzała na Piersa.

– To ty podłożyłeś ogień. Ty to zrobiłeś.

Piers nawet nie próbował przeczyć. Mogła się tego spodziewać.

– Wszedłeś tu, kiedy usnęłam w twoim łóżku – powiedziała, rozglądając się po pokoju. – Rozrzuciłeś moje rzeczy po podłodze i podpaliłeś je.

– Ale ogień nie był duży. Pożar nigdy nie objąłby całego pokoju.

– Czemu to zrobiłeś?

– Jesteś bystra, nie muszę ci niczego wyjaśniać.

Utkwiła w nim wzrok.

– A więc chciałeś, żeby nas dostrzeżono razem. Wiedziałeś, że wolałabym długie narzeczeństwo. Postanowiłeś zmusić mnie do szybkiego zawarcia małżeństwa.

Milczenie Piersa było wymowniejsze od słów.

– Ty nędzniku! – Wskazała dramatycznym gestem na okno. – A ja stałam w ogrodzie, pełna przerażenia. Nie wiedziałam, czy cię jeszcze ujrzę żywego. Prosiłam Boga, żebyś ocalał.

– W takim razie traciłaś niepotrzebnie czas. W przyszłości lepiej zrobisz, zachowując swoje modlitwy dla kogoś innego.

– Czemu to zrobiłeś? Czemu mnie okłamałeś?

– Charlotte, okłamałem cię już tej nocy, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

– Jeśli chodziło ci o swoją karierę…

– O coś więcej. – Cofnął się ku ścianie po przeciwnej stronie, żeby dzieliła ich większa odległość. – Poczynając od tych zagadkowych kochanków. Tej nocy w bibliotece była jedna osoba z małżeństwa Parkhurstów.

Zmarszczyła czoło.

– Lady Parkhurst? Ale przecież… mam poszlaki. Ona tu nie pasuje.

– Nie lady Parkhurst. Sir Vernon. Właśnie on jest naszym rozpustnikiem. Wciąż nie mam pewności, kim była kobieta.

– Sir Vernon? Ależ to do niego niepodobne. On jest taki tradycyjny, a jedyna jego namiętność to sport. Ani trochę nie wygląda na mężczyznę, który mógłby używać sobie z kochanką na blacie biurka i jeszcze przy tym wydawać takie odgłosy!

– Znalazłem się tu właśnie z jego powodu. Ten człowiek wydaje sporo pieniędzy. Potajemnie, bez rozgłosu wyjeżdża z Londynu. Kochanka lub naturalne dziecko to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, ale musiałem wykluczyć możliwość szantażu.

– A więc wiedziałeś o tym od początku. Jeszcze zanim postanowiłeś mi złożyć ofertę małżeńską.

– Podejrzewałem go, owszem.

– A sir Vernon wiedział o tym również? Przez cały czas? Czy pozwoli, żebyśmy zapłacili za jego nieoględność?

– Tak już bywa z sekretami. Ludzie zrobią wszystko, chcąc ukryć prawdę. Nie powinienem był nigdy godzić się na twój udział w śledztwie. Ale nawet nie

przypuszczałem, żebyś…

– …okazała się w nim tak dobra?

Wzruszył ramionami.

– Przyznaję się do tego bez bicia.

Odwróciła się tyłem do niego.

– Nie mogę uwierzyć. Właziłam przez okno, pędziłam na koniu z piekła rodem, ryzykowałam utratę reputacji w oczach sir Vernona, byle tylko pojechać na kontynent z Delią. A ty mi teraz mówisz, że właśnie sir Vernon był winowajcą i że wszystko zrobiłam na darmo. – W jej głosie zabrzmiał gniew. – Wcale mi się to nie wydaje zabawne, Piers.

– Mnie również. Ale wgląd w podejrzane postępki sir Vernona był moim obowiązkiem wobec Korony. Ten człowiek ma otrzymać ważne stanowisko w angielskich koloniach.

– Gdzie?

– W Australii.

Uniosła rękę do czoła.

– W Australii?

– Gdyby istniał choć cień podejrzeń, że taki człowiek może być szantażowany, interesy Anglii byłyby zagrożone. Mogłoby chodzić o życie ludzkie.

– A więc postanowiłeś poświęcić moje.

– Przesadzasz, Charlotte.

– Niezupełnie. Zeszłej nocy utraciłam zaufanie przyjaciółki i resztki szacunku, jaki jeszcze mogłam odzyskać. Zdradziłeś mnie. Nie mogę uwierzyć, że byłeś do tego zdolny.

– Naprawdę? A w jaki sposób, twoim zdaniem, dyplomata może przekonać despotów do ustępstw? Jak zmusi armie najeźdźców do odwrotu?

Wbiła wzrok w nadpalony dywan.

– Nie zostawiając im innego wyboru.

– A więc połącz jedno z drugim. Zrobiłem, co było trzeba, żeby cię chronić.

– Chroniłeś samego siebie. Nie wmówisz mi, że to – wskazała na ściany i łóżko – zrobiłeś akurat z obowiązku. Coś stało się dla ciebie zbyt realne, zbyt dotkliwe, zbyt bliskie twojemu sercu. Pokochałam cię, a ty się tego śmiertelnie przestraszyłeś.

– Nie kochasz mnie. Nie znasz mnie. Jeśli sądzisz, że to była niemalże zbrodnia, nie masz o niczym pojęcia. Wymyśliłaś sobie wzruszającą historyjkę,

uznając, że w głębi serca jestem człowiekiem honoru. Powinienem był próbować cię ostrzec. Zajrzyj we mnie, a przekonasz się, że ujrzysz mroczną pustkę.

– Nie wierzę. Wiem, że jesteś zdolny do miłości.

Zbliżył się do niej.

– Robiłem rzeczy podłe; odwoływałem się do podstępów, zdradzałem sekrety i negocjowałem porozumienia, które pociągały za sobą śmierć niewinnych ludzi. Mam krew na rękach. Pozwalałem sponiewieranym ludziom umierać w samotności.

– Anglia toczyła wojnę – powiedziała. – A na wojnie uczciwi ludzie muszą robić niewyobrażalne rzeczy.

– Na miłość boską. – Piers przetarł twarz rękami. – To nie było podczas wojny, Charlotte. A ja jestem kimś, kto zdołał oszukać wszystkich wokoło, już jako siedmiolatek.

– Czy to takie niezwykłe? Któż nie kłamał w tym wieku?

– Nie chodzi o zwykłe kłamstwo. Ukrywałem prawdę o śmierci mojej matki. Przed każdym. Przez całe dziesiątki lat.

Zmarszczyła brwi.

– A więc naprawdę zażyła zbyt wiele laudanum.

– Och, nie zrobiła tego przypadkowo. Odebrała sobie życie.

– Przecież byłeś wtedy dzieckiem. Skąd o tym wiesz?

– Bo byłem tam. Widziałem, jak umiera. Słyszałem jej ostatnie słowa.

– Piers.

Zbliżyła się ku niemu.

Wyciągnął przed siebie rękę, zabraniając jej do niego podejść. Nie chodziło mu wcale o litość, tylko o coś wręcz przeciwnego.

– Nie pozwoliłem, by ktokolwiek się dowiedział o jej samobójstwie. A zwłaszcza ojciec. Byłem chłopcem, ale sporo już rozumiałem. Powinien był w tym widzieć fatalne obciążenie rodzinne, bo w przeciwnym razie uznałby to za plamę na honorze rodziny. – Zamilkł na chwilę i spojrzał gdzieś w dal. – A więc ukryłem prawdę. Buteleczka z laudanum wyślizgnęła się jej z ręki i rozbiła. Starłem rozlany płyn, pozbierałem najmniejsze nawet odłamki szkła. Zaniosłem je nad sadzawkę i utopiłem obciążone kamieniem.

Wciąż jeszcze widział rosnące nad brzegiem sitowie, czuł, jak czepia mu się butów, kiedy brnął przez wodę. Słyszał śpiew ptaków. Pamiętał żabę, która wyskoczyła mu spod nóg, kiedy rzucał zawiniątko wraz z kamieniem w głęboką,

zielonkawą wodę.

– Nie pisnąłem słowa nikomu. Udawałem zaskoczonego, kiedy ją znaleziono. Zdaje mi się zresztą, że dopiero po kilku godzinach. Nie wziąłem pod uwagę, że ojciec będzie zwlekał z powiedzeniem mi o tym.

– Jak długo?

Wciągnął powoli powietrze w płuca.

– Kilka miesięcy.

– Doprawdy?

– Sądził może, że będzie to dla mnie zbyt wielkim wstrząsem. Rafe był wtedy jeszcze zbyt mały, żeby zrozumieć, co się stało. Ojciec powiedział, że wyjechała do kurortu. Prawie co tydzień wspominał, że otrzymuje od niej listy, gdzie matka pisze, że tęskni za chłopcami, ale kuracja jakoś nie skutkuje. Wreszcie powiedział, że umarła. Dowiedziałem się o tym w maju. Nie zabrali mnie na jej grób aż do zimy. Ukrywałem żal bardzo długo, ale nie potrafiłbym go okazać, gdybym nawet próbował to zrobić.

Ukrywał nie tylko żal, ale też wstyd. Wstydził się, że okłamał ojca, że nie opłakiwał matki, jak należało.

Wstydził się również, że nie zrobił nic, by ją powstrzymać.

Matka powinna żyć dla swoich dzieci, lecz on nie dał jej należytego powodu, żeby wytrwać.

„Nie mogę. Nie mogę tego dłużej znieść”.

Przerwał bolesne wspomnienia.

– Chyba mogę teraz stwierdzić, że oszukiwanie zawsze przychodziło mi z łatwością.

Spojrzała na niego jasnobłękitnymi oczami.

– Bardzo ci współczuję, Piers. Cieszy mnie, że powiedziałeś mi prawdę. Mam również nadzieję, że kiedyś porozmawiasz jeszcze o tym. Ze mną albo z Rafe’em czy z kimś innym. Nie usprawiedliwia to jednak twego postępowania z zeszłej nocy.

– To nie są usprawiedliwienia. Ani przeprosiny. Nie pragnę przebaczenia. Zrobiłem, co należało.

– A co należało zrobić? – spytała z niedowierzaniem. – Ukazałeś mi siebie jako wpływowego człowieka, który ma wszystko do swojej dyspozycji. Czyż nie potrafiłeś wpaść na inny pomysł niż podpalenie mojej bielizny w środku nocy?

Wskazał na nadpaloną podłogę.

– Ta bielizna miała z tym coś wspólnego. Zaatakowała mnie pierwsza.

– Dobry Boże. – Cofnęła się o krok. – Nie potrafię orzec, czy jesteś zupełnym głupcem, czy chcesz, żebym cię znienawidziła.

– Powiedz mi, skąd o wszystkim wiesz. – Wskazał na lewą stronę swojej twarzy. – Może od mojej brwi?

– Trudno patrzeć na twoją brew, skoro masz głowę tak daleko od pośladków!

Zacisnął zęby.

– Skończmy z tym. Co się stało, to się nie odstanie. Wyjedziemy wieczorem i jak najprędzej weźmiemy ślub. Nie mamy wyboru.

– Och, ja zawsze mogę dokonać jakiegoś wyboru. Jeśli muszę wybierać między zrujnowaną reputacją a małżeństwem bez miłości, wolę już to pierwsze. Przynajmniej będę miała wtedy szansę znalezienia szczęścia gdzie indziej.

Rozłożył szeroko ręce.

– Nie pojmuję, co chcesz ode mnie usłyszeć.

– Żebyś jasno powiedział, co zyskam na małżeństwie z tobą. Czy ofiarowujesz mi miłość i partnerstwo, czy też zimne, choć elegancko urządzone więzienie?

Westchnął ciężko.

– Charlotte…

– Nie wzdychaj tak desperacko. Chcę od ciebie usłyszeć, że zawrzemy małżeństwo oparte na wzajemnym szacunku i wzajemnym oddaniu. Albo zdołasz mnie o tym przekonać, albo też opuszczę ten dom na zawsze. Lub też ty go opuścisz. Sam jeden. Beze mnie.

Najwyraźniej nie tylko on potrafił prowadzić bezlitosne pertraktacje.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Czekam.

– Od samego początku wyraźnie dawałem do zrozumienia, że nie mogę ci tego zaofiarować.

– Piers, mówimy przecież o miłości. Wiem, że nie przywykłeś do tego. Nie potrafisz się nawet zmusić, żeby wyrzec to słowo.

– Słowa nie mają znaczenia.

– Też coś! Słowa są właśnie po to, żeby coś znaczyły! Istnieją całe książki, gdzie nie ma nic poza słowami i ich znaczeniem. Nazywa się je słownikami. Może widziałeś choć jeden z nich?

Spojrzał na nią lodowato.

– Może to być tylko jedno słowo – powiedziała spokojniejszym już tonem. – Ale będzie dla mnie wiele znaczyło, jeśli je usłyszę.

– Nie zniosę, żeby mi ktoś stawiał ultimatum. Obojętne, kto. Nie mogę sobie pozwolić na przywiązanie do kogoś. To by mnie rozpraszało. Nie składałem takich deklaracji, odkąd byłem dzieckiem.

– Może trzeba ci trochę wprawy.

– Może ty powinnaś dorosnąć.

Powiedział coś, co było bezwzględne i miało ją głęboko dotknąć. Od razu zrozumiał, że tak się właśnie stało.

– Wszystko mi jedno – powiedziała cicho. – Straciłam już przyjaciółkę. Nie mogę odzyskać reputacji. A Frances już się postara, by plotki dotarły do Londynu prędzej od nas. Otrzymam najobrzydliwsze przydomki, obojętne, czy będą się rymować z moim imieniem, czy nie.

– Nikt się nie ośmieli cię przezywać. – Przynajmniej to jedno mógł jej obiecać. – Chyba że zechcą mieć do czynienia z moim pistoletem albo szpadą.

– Mężczyźni mogą się pojedynkować, ale nie potrafisz mnie obronić przed kobiecą nienawiścią. Wierz mi, kobiecy język może być ostrzejszy od rapieru. Damy będą mi robić jawne afronty i obmawiać mnie bezlitośnie za plecami. – Przycisnęła dłoń do piersi. – Zdołałabym to wytrzymać, gdybym wiedziała, że mnie kochasz. Jeśli mamy wieść wspólne życie, które nie ograniczy się do proszonych obiadów i rodzenia dzieci. Ale w przeciwnym razie…

Serce mu się ścisnęło.

– Charlotte…

– …nie potrafię tego znieść.

A potem wybiegła z pokoju.

I było po wszystkim.

Przypomniał sobie, co mu przyrzekała zeszłej nocy. Że zburzy jego wewnętrzne, obronne mury, choćby to miało trwać latami albo nawet całymi dziesięcioleciami. Uznała, że jest wart tego wysiłku.

„Nigdy nie będę cię miała dość”.

A jednak miała go dość. Po jednej jedynej nocy, bo w mgnieniu oka zrozumiała, kim on naprawdę jest i do czego był zdolny – a jej naiwne obietnice rozwiały się jak dym.

Dokładnie tak, jak przypuszczał.

Teraz bowiem znała już prawdę. Gdyby zburzyła tkwiące wewnątrz niego mury, znalazłaby poza nimi tylko mroczną pustkę.

Nie było to ani trochę warte jej wysiłków.

22

Charlotte spędziła cały dzień jak w transie; nie mogła spać ani jeść, wypiła tylko parę łyków herbaty.

Kiedy pokojówki weszły do jej nowego pokoju, pozwoliła, żeby jej pomogły włożyć świeżo wyprane halki, zasznurować gorset i ubrać ją w suknię z niebieskiego jedwabiu. Siedziała bez najmniejszego ruchu, gdy układały jej fryzurę z loków spiętrzonych na czubku głowy, przewiązaną srebrzystą wstążką.

Spojrzała w lustro.

Och, Charlotte, jakaś ty niemądra.

Od samego początku sądziła, że ich związek urąga wszelkiej logice. Wszyscy byli świadomi tego, jak wiele ich dzieli pod względem pochodzenia, edukacji i doświadczenia, nie mówiąc już o krańcowo odmiennych osobowościach.

Ale pod pewnym względem ich małżeństwo niewątpliwie miało sens – przynajmniej jej zdaniem – niezależnie od tego, jak nieprzekonujące mogło się wydawać światu. Ona nie pozwalała mu na zobojętnienie; on był dla niej oparciem. Razem znaczyli więcej niż z osobna.

Miała nadzieję, że on czuje to samo. Że również jest w niej zakochany. Nawet jeśli niełatwo mu było o tym mówić, dowodziło tego wspieranie jej zamiarów, traktowanie jak równej sobie i okazywana jej cierpliwość.

Ale teraz wcale jej nie wspierał i postąpił z nią tak, jakby ją rzucił pod koła pędzącego powozu.

Nie wiedziała, co robić. Delia już z nią nie rozmawiała. Matka podtrzymywała ją na duchu ostatniej nocy, ale teraz Charlotte nie mogła liczyć na jej radę. Wiedziała, co od niej usłyszy.

„Oczywiście, że go poślubisz. Przecież to markiz! Czy nie masz żadnych względów dla moich nerwów?”

Gdy tylko pokojówka założyła jej naszyjnik z kameą, ktoś zapukał lekko do drzwi.

– Charlotte? – Drzwi uchyliły się nieznacznie. – To my!

Znała ten głos. Z radością podbiegła do drzwi, żeby otworzyć je na oścież.

Na progu stały jej siostry, całe zakurzone po podróży, w zmiętym odzieniu.

Charlotte uznała jednak, że wyglądają jak anioły.

– Och, wspaniale! Jakże się cieszę z waszego przyjazdu!

Uściskała mocno starszą, Dianę, a potem Minervę.

– Oczywiście, że przyjechałyśmy – Minerva poprawiła okulary. – Colin dostał zaproszenie na party. Z pewnością się na nim zjawi.

Colin i party? To na pewno inicjatywa Piersa. Widocznie prosił Parkhurstów, żeby zaprosili jej bliskich. Oznaczało to, że będą obecni przy ogłoszeniu ich zaręczyn. Ładnie, że o tym pomyślał.

– Postanowiliśmy przyjechać wszyscy razem. – Diana zerknęła na Minervę. – Myśleliśmy, że możesz nas potrzebować.

– Oczywiście. Jesteście mi ogromnie potrzebni. – Charlotte wciągnęła siostry do pokoju i wszystkie trzy usiadły na łóżku. – Nieoczekiwanie zaręczyłam się z przystojnym i zamożnym, ale bezdusznym markizem.

Diana spytała z uśmiechem:

– A co właściwie jest z nim nie w porządku?

– Oczywiście prócz tego, że jest dokładnie taki, jakiego mama sobie wymarzyła – dodała Minerva.

Charlotte pociągnęła nosem.

– Sama nie wiem, od czego zacząć.

Minerva nadgryzła grzankę z nietkniętego przez Charlotte śniadania.

– Myślę, że od początku.

No i Charlotte tak właśnie zrobiła. Powiedziała im o wszystkim. Lub raczej prawie o wszystkim. Nie wspomniała oczywiście o tym, czym się zajmował, i tylko przelotnie napomknęła o różnych innych epizodach. Kiedy mówiła o zamkniętym pokoju i demonicznej klaczy, siostry zaśmiewały się serdecznie.

Gdy zaś zjadła cztery sucharki i uroniła łezkę w chusteczkę, zakończyła opowieść słowami:

– A potem mi powiedział, że powinnam dorosnąć!

– Niemożliwe! – uznała Diana. Jej zaskoczenie i konsternacja sprawiły, że Charlotte poczuła pewną satysfakcję.

– Jest zamknięty w sobie, uparty i nie ma pojęcia o miłości.

Minerva zapytała z uśmiechem:

– W przeciwieństwie… do ciebie?

Obie siostry spojrzały na siebie porozumiewawczo, pełnym rozczulenia

wzrokiem.

Charlotte uznała, że są nieznośne.

– Wiem, że to musi brzmieć groteskowo. On jest światowym, wykształconym arystokratą, a ja młodą i niedoświadczoną dziewczyną. Ale pod względem uczuć wyprzedzam go o całe lata świetlne.

– Mężczyzn można pod tym względem wyedukować – stwierdziła Minerva. – Nawet takich jak Colin.

– Wybacz mi to, co teraz powiem – dodała Diana – ale ty również mogłabyś się czegoś nauczyć. Wiem o tym. – Ujęła ją za rękę. – Czy go kochasz?

– Oczywiście – i Charlotte westchnęła. – Ale choć mu o tym powiedziałam, on i tak zmusił mnie do narzeczeństwa.

– A więc w tym cała rzecz – uznała Minerva. – Powiedziałaś mu, że go kochasz, ale to wcale nie znaczy, że ci uwierzył. Najpewniej w jakiś desperacki i bolesny sposób zamierza poddać cię próbie. Mężczyźni tak właśnie robią.

– Być może.

Jeśli to miała być próba, Charlotte poniesie klęskę. Wyjawił jej przecież swój najgłębszy, najhaniebniejszy sekret, a ona przyjęła to chłodno i obojętnie. No i mimo wszelkich obietnic, że odczeka, że zburzy tkwiące w nim mury – odeszła od niego.

– Wiem, że mu na mnie zależy. Kiedy się tylko rozkrochmali, jest czuły i namiętny. Ale może naprawdę jestem dla niego za młoda? Może wszystko stało się za szybko? Jeśli się pobierzemy, zrobimy tak z najzupełniej niewłaściwych powodów.

– Chciałabym wiedzieć, kto zawiera małżeństwo z właściwych – westchnęła Minerva. – Przecież właściwie to ja uprowadziłam Colina, a nie on mnie, i dojeżdżaliśmy już prawie do Szkocji, kiedy się wreszcie poddał.

– No i właśnie z podobnego powodu moje bliźnięta przyszły na świat zbyt szybko po moim ślubie z Aaronem – dodała Diana. – Czasami miłość dojrzewa stopniowo. Ale najczęściej życie ten proces przyspiesza.

Charlotte uśmiechnęła się słabo, ale poprawiło jej to nastrój. Siostry okazały się najlepszym lekarstwem.

Wciąż jednak ściskała w dłoni chusteczkę.

– Ale trochę się boję.

– Czego, kochanie?

– Że stanę się taka jak mama.

No i wyszło szydło z worka.

– Nie jestem sawantką jak ty, Min. Ani nie mam tyle cierpliwości, co Diana. Jeśli wyjdę za mąż bez miłości, niewiele wiedząc o świecie i nie będę miała się czym zająć, cóż mnie uchroni przed przeobrażeniem się w groteskową kobietę skłonną do ataków nerwowych?

Minerva wymieniła z Dianą spojrzenie.

– Czy mamy jej powiedzieć?

– Myślę, że tak – odparła Diana.

– O czym? – spytała Charlotte.

– No cóż, naprawdę staniesz się podobna do mamy – odparła ze smutkiem Minerva. – To nieuniknione. Kiedy przyjdą na świat dzieci, nie będziesz miała wyboru.

– Istotnie – westchnęła Diana. – Ileż razy przyrzekałam sobie, że tego czy owego nigdy nie zrobię ani nie powiem… – Ukryła twarz w dłoniach. – Pewnego dnia poprosiłam Aarona, żeby zważał na moje nerwy.

Minerva wstała z łóżka i podeszła do sakwojażu podróżnego.

– Chcesz się dowiedzieć o czymś jeszcze gorszym? – Wyjęła ze środka coś, co potwierdziło jej słowa. – Sprawiłam sobie wachlarz!

– Och, jej! – Charlotte parsknęła śmiechem.

Diana też się uśmiechnęła.

– Prawda wygląda, jak następuje: dopiero teraz zrozumiałyśmy, że mama nas kocha i – choć na swój niefortunny sposób – usiłowała zapewnić nam najlepszą przyszłość, jaką mogła sobie wyobrazić.

– Pojmuję – przyznała Charlotte. – A my jej tego nie ułatwiałyśmy.

– Ale ja inaczej sobie wyobrażam przyszłość naszych córek – stwierdziła Minerva, siadając ponownie na łóżku. – Colin i ja odkładamy już pieniądze na uniwersyteckie studia Ady.

– Przecież szkoły wyższe nie przyjmują kobiet.

– Teraz jeszcze nie, ale za jakiś czas to się zmieni. A kiedy do tego dojdzie, zbudujemy sobie własną.

– A jeśli Ada nie będzie chciała pójść na studia? – spytała Charlotte.

Minerva spojrzała na nią surowo sponad okularów.

– Nie mógł głupstw. Oczywiście, że będzie chciała.

Charlotte wyobraziła sobie Minervę domagającą się w Oksfordzie wyższej szkoły dla kobiet – i Adę, kryjącą się lękliwie z tyłu za matką.

Widocznie każdemu pokoleniu kobiet w rodzinie Highwoodów pisane były zmartwienia wiązane z córkami. Jeśli czeka to również ją, nie będzie

przynajmniej osamotniona.

– Gdybyś nie chciała wyjść za twojego markiza, nie musisz wcale tego robić – zapewniła ją Minerva. – Zawsze znajdziesz dom u nas. A kiedy cała sprawa przycichnie i ludzie zapomną o plotkach, możesz ułożyć sobie życie na nowo, jak tylko zechcesz.

– Skandal jest jak ogień – dodała Diana. – Płonie tylko wtedy, gdy się go podsyca.

– A miłość też wymaga podsycania?

Czy ona i Piers zdołają podtrzymywać ten ogień przez całe życie? Po tym, co zaszło w nocy i po porannej kłótni Charlotte nie była tego pewna. Nie miała w sobie tyle siły, by tylko ona mogła go podsycać. Piers powinien był choć trochę dokładać do ognia.

Ale odmówił jej nawet i tego.

Diana poklepała ją po kolanie.

– Lepiej, żebyśmy z Minervą poszły się umyć i ubrać na wieczór. Przemyśl sobie wszystko sama.

Sir Vernon przed balem zaprosił Piersa do biblioteki na brandy.

Piers oczywiście wyraził zgodę. Co za ironia! Obydwaj powracali na scenę fatalnej schadzki.

– Zeszłej nocy w ogrodzie doszło do niezbyt przyjemnej sytuacji, ale wszystko się dobrze skończy, co, Granville?

Podał Piersowi brandy, nim usiadł za biurkiem.

– Proszę się nie obawiać skandalu – powiedział. – Moje córki rozumieją, że we własnym dobrze rozumianym interesie nie powinny podawać w wątpliwość cnoty najlepszej przyjaciółki.

Ten człowiek doprawdy miał niesłychany tupet.

Piers uznał, że tylko on ponosi winę za przykrość wyrządzoną Charlotte. Nigdy by do niej nie doszło, gdyby sir Vernon był przyzwoitym, prawym mężczyzną, za jakiego pragnął uchodzić.

Właśnie na tym biurku popełnił zdradę małżeńską. Miał wystarczająco dużo czasu, by się do tego przyznać, ale pozwalał, żeby cenę za to zapłaciły jego córki. Co oczywiście działało też na szkodę Delii.

Piers pociągnął pierwszy, piekący łyk brandy. Wysłano go tutaj, żeby dyskretnie wyjaśnić pewne kwestie, ale miał dość owijania wszystkiego w bawełnę.

Trzeba było zaatakować sir Vernona frontalnie.

– Od jak dawna jest pan żonaty?

Jego rozmówca zaczął się zastanawiać.

– W sierpniu tego roku miną chyba dwadzieścia trzy lata. – Sir Vernon zaczął liczyć na palcach. – Nie, dwadzieścia cztery. – Zaśmiał się. – Ale jeśli moja żona będzie chciała mnie poprawić, zgodzę się, że dwadzieścia trzy. Bez wahania.

– Rozumiem.

– Nie jestem biegły w rachunkach, ale pamiętam, że poznałem ją na maskaradzie. Przebrała się za kota. Miała ogon przyczepiony do sukni, małe, szpiczaste uszka na głowie i gorsecik obszyty futerkiem. – Uniósł brwi i odchylił się do tyłu w krześle, opierając buty na biurku. – Jestem myśliwym, Granville. Sportsmenem do szpiku kości. Zrozumiałem zaraz, że Helena może przede mną umykać, ale w końcu mi się dostanie.

Co za urocza historyjka.

Piers wyprostował się w fotelu.

– Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – spytał.

– Mam taką nadzieję.

– Proszę więc pozwolić mi na pewne pytanie o osobistym charakterze. Oczywiście nikomu nie zdradzę odpowiedzi.

Sir Vernon kiwnął szklaneczką z brandy na znak zgody.

– Powiedział pan, że jest sportsmenem. Czy po dwudziestu trzech latach nie kusi pana, żeby zapolować na inną zwierzynę?

Sir Vernon przestał się uśmiechać. Zdjął nogi z biurka i odstawił brandy.

– Rozumiem, o co mnie pan naprawdę pyta, Granville.

– W porządku.

Mogło mu to wszystko ułatwić.

– Jesteśmy mężczyznami i rozumiemy się nawzajem.

– Niewątpliwie.

– W takim razie postawmy sprawę jasno. – Sir Vernon spojrzał na niego z powagą. – Ma pan pietra.

– Ja… pan sądzi, że… – zaskoczony Piers po raz pierwszy nie potrafił się zręcznie wyrazić.

– Nie ma się czego wstydzić, Granville. Nie musi się pan usprawiedliwiać. Podobnie było ze mną na dzień przed ślubem. Spędziłem bezsenną noc w przekonaniu, że popełniam błąd. A rano niedobrze mi się zrobiło na sam widok proboszcza w ornacie. – Zamyślił się i zabębnił palcami po biurku. – Ale

powiem panu szczerą prawdę: odkąd ujrzałem Helenę idącą wzdłuż kościelnej nawy, wszystkie moje wątpliwości się rozwiały.

– Rozwiały?

– Zniknęły. – Sir Vernon patrzył prosto na niego z powagą. – Nigdy nawet nie spojrzałem potem na inne kobiety. No, jestem przecież mężczyzną. Czasem na nie spoglądałem. Nigdy jednak nie kusiło mnie do skoku w bok. Nawet o tym nie myślałem.

Piers przyjrzał mu się uważnie.

Wielu ludzi nie potrafi kłamać. Dawno nauczył się odróżniać prawdę od fałszu, chyba że jakiś kłamca radził sobie doskonale z obłudą.

Uwierzył sir Vernonowi najzupełniej. Dałby głowę, że ten mężczyzna jest całkowicie oddany swojej żonie.

Oznaczało to, że on sam wie jeszcze mniej niż mu się wydawało.

Nie miało to jednak sensu. Przecież sir Vernon trwonił pieniądze. Jeździł do jakichś podejrzanych domostw i wiejskich oberży, co było dziwne. Cóż u licha mogło się za tym kryć, jeśli nie kochanka lub nieślubne dziecko?

Może jakiś inny agent potrafi to wyśledzić, on nie.

Sir Vernon wstał z krzesła, obszedł biurko dookoła i serdecznie klepnął go po plecach.

– W porządku, Granville. Trochę wątpliwości to u przyszłego żonkosia rzecz całkiem naturalna, ale niech się pan nie zbłaźni. Nie chodzi o to, że ona nie jest dość dobra dla pana, tylko że pan nie będzie dość dobry dla niej.

Piers sięgnął po szklaneczkę i jednym haustem wypił resztę brandy.

– No i nigdy nie będzie pan dość dobry – ciągnął sir Vernon z rozbawieniem. – Z jakiegoś niezgłębionego powodu damy upierają się, żeby nas kochać. Czasem nawet myślę, że kochają nas za bardzo.

Sir Vernon po raz drugi klepnął Piersa z rozmachem po plecach i wyszedł z biblioteki, pozostawiając go z pustym kieliszkiem, zamętem w głowie i przygnębieniem.

Spojrzał na niszę okienną. Przypomniał sobie, jak przyciskał do siebie Charlotte, a ona zaśmiewała się do łez, kryjąc twarz w jego koszuli. A potem jej uśmiech podczas rozmowy z Rafe’em. A także jak się z nią kochał na zalanej słońcem łące.

Pomyślał też o „Jasiecho” i o utrwaleniu swego dostępu do jej wyższych rejonów – pierwsza klasa.

Dzisiejszego dnia bowiem spadł niemal na samo dno, niewiele się różniąc od

różnych niedomytych prostaków.

Kogóż miał oszukać? Pragnął przecież być kimś lepszym od nich.

Do diabła. Jakiż był głupi. Niewiarygodnie głupi. Miał w swoim łóżku uroczą kobietę, która obiecywała, że będzie go zawsze kochać. A gdy tylko zasnęła, rozniecił ogień, bo był na tyle niemądry, żeby chcieć ją przekonać, iż się myliła.

A teraz, dzięki sir Vernonowi Parkhurstowi i wszystkim innym zrozumiał, że jest nie tylko niemądrym człowiekiem, ale wręcz skończonym idiotą.

Tylko że oczywiście Charlotte się myliła.

Wszystkie kobiety się mylą. Muszą się zresztą mylić, bo inaczej cała ludzkość umarłaby dawno temu. Gdyby mogły przeniknąć najohydniejsze z myśli lęgnących się w męskich głowach i dojrzeć mroczną pustkę w ich sercach… nie pozwoliłyby im nawet zbliżyć się do siebie.

To samo zresztą odnosiło się też do kobiet. Charlotte bez wątpienia miała swoje słabe punkty lub obawy, które raczej ukrywała niż pozwalała mu poznać. Nie zmieniłoby to prawie w niczym tego, co do niej czuł. Nie kochał jej za brak wad, tylko za to, że była Charlotte.

Dobry Boże.

Przecież on ją kocha.

Oczywiście, że ją kocha. Wyciągała ku niemu ręce, choć tyle razy odpychał ją od siebie. Znalazła drogę do jego serca, a gdyby go teraz rzuciła, czułby w sobie jeszcze większą pustkę niż zwykle.

Rzecz jasna powinien był to wiedzieć już wtedy, gdy podpalił jej sypialnię, a potem upokorzył ją publicznie i sprawił, że odwróciła się od niej najlepsza przyjaciółka. A najgorsze, że zniszczył wszystkie jej marzenia.

Niech to diabli porwą.

Wsparł się dłońmi na blacie biurka, odsunął fotel i wstał. Był człowiekiem czynu. Nie mógł siedzieć tu, nie robiąc niczego.

Upadł doprawdy bardzo nisko i zasłużył sobie na to. Musiał się jakoś wydobyć z tego bagna. Błagać Charlotte o przebaczenie, wyjawić swoje prawdziwe uczucia.

Nie, nie. Nie w tej kolejności.

Najpierw musi sam zrozumieć, że w ogóle żywi uczucia.

Potem zrozumieć, jakie.

A wreszcie przekonać ją, że chciałby spełnić wszystkie jej marzenia i poprosić, by została jego żoną… No i jakieś kwiaty. A na wszystko miał tylko…

Spojrzał na zegar.

Pięć godzin. Czeka go nieliche zadanie i gra o najwyższą stawkę. Nawet jeśli zdoła przygotować scenerię potrzebną do wielkich przeprosin, nie miał gwarancji, że Charlotte je przyjmie. Groziło mu, że straci ją na zawsze.

Musiał zaraz wziąć się do roboty. Należał do czołowych agentów Korony, czyż nie?

I z ryzykiem zawsze był za pan brat.

23

Charlotte aż za dobrze wiedziała, jak to będzie wyglądało.

Muzycy stroili instrumenty, zaraz miał się zacząć kadryl, a ona znowu podpierała ścianę. Delia siedziała po przeciwnej stronie sali balowej i ani razu nie spojrzała w jej stronę.

Ale przynajmniej Charlotte miała teraz wokół siebie bliskich. Matka gawędziła z lady Parkhurst – lub raczej się przechwalała. Jednakże Diana, Aaron, Minerva i Colin dotrzymywali Charlotte towarzystwa.

– Nie powinnaś stać koło mnie, tylko tańczyć – powiedziała do siostry.

– Nie jestem zbyt dobry w tańcu – przyznał Aaron.

– Ja również – stwierdziła Minerva.

Charlotte zwróciła się więc do Colina, który nigdy nie gardził ani żadnym tańcem, ani partnerką.

– Oszczędzam siły na walca – powiedział. – Czuję, że się starzeję. Może przez tę podagrę.

Uśmiechnęła się ze smutkiem. Starali się ją pocieszyć – a ona kochała ich za to.

Diana siadła koło niej i uspokajająco ścisnęła ją za rękę.

– Kiedy nastąpi oznajmienie o zaręczynach?

– Lady Parkhurst prosiła nas, żebyśmy poczekali aż do północy. Sir Vernon chce wznieść toast.

Minerva spojrzała na nią.

– Czy zdecydowałaś już, co zrobisz…

– Nie. Jeszcze nie.

Czekała na Piersa. Rozpaczliwie wręcz chciała z nim pomówić. Nie pokazał się jednak dotąd w sali balowej. A ona nie miała zamiaru go szukać.

Colin uniósł energicznie podbródek.

– Jeśli się tu nie zjawi i nie potwierdzi, że się z tobą żeni, Dawes i ja wyzwiemy go na pojedynek. Prawda, Aaron?

Aaron skrzyżował potężne ramiona kowala na piersi.

– Jak najbardziej.

– Nie róbcie tego – sprzeciwiła im się Charlotte. – Lord Granville świetnie sobie radzi z pistoletem. A sekundantem byłby jego brat.

Colin zaczął się zastanawiać.

– Czy to ten mistrz bokserski wagi ciężkiej?

– Tak.

– Najpierw się upewnij, czy on czasem nie ma drugiego, nie tak zwalistego i gwałtownego brata. – Colin pociągnął łyk trunku. – Ale i tak to zrobimy, rzecz jasna.

– Jak najbardziej – odparł Aaron, ale już trochę mniej pewnie.

– Nie wycofamy się jednak. Dawes to krzepki chłop, a ja walczyłem w niejednej bijatyce. Byliśmy najlepszymi członkami milicji miejskiej w Spindle Cove. No, może prócz Brama. Albo Thorne'a.

– A także prócz Susanny – dodała Minerva. – Susanna miałaby na mojej liście wyższą pozycję.

Colin skrzywił się.

– Owszem, nie mogę zaprzeczyć. Ale ciamajdami nie jesteśmy.

– Pierwsza klasa, bez dwóch zdań – powiedziała Charlotte.

Serce się jej ścisnęło. Gdzież, u licha, może być Piers? Rozejrzała się po sali, patrząc na tancerzy. Dostrzegła przelotnie wysokiego bruneta o kilka kroków na lewo od siebie, ale to nie był Piers.

Coś innego zwróciło jednak jej uwagę.

Smuga zapachu gdzieś z tyłu za nią.

To były właśnie te perfumy.

Maki, wanilia i czarna ambra. Na pewno. Ten zapach od razu przypomniał jej niszę okienną w bibliotece i jej śmiech w ramionach Piersa, gdy biurko trzeszczało, a zagadkowi kochankowie wydawali jęki i pomruki.

Cofnęła się, szukając źródła tego zapachu. Zagrodzili jej jednak drogę dwaj mężczyźni, którzy wprawdzie uprzejmie się przed nią rozstąpili, ale zrobili to z nieznośną opieszałością, co sprawiło, że straciła bezcenne sekundy. Zaczęła torować sobie drogę ku kątowi sali, pociągając nosem tak mocno i często, jak tylko mogła to zrobić, nie prowokując pytań o jej zdrowie.

A potem poczuła pod pantoflem coś śliskiego, tak że o mało się nie poślizgnęła. Spojrzała na podłogę. Złożona kartka papieru leżała w kącie, na styku obitej jedwabnym adamaszkiem ściany z intarsjowanym parkietem.

Charlotte schyliła się ukradkiem, podniosła list i natychmiast go powąchała. Wyśledziła nie uperfumowaną osobę, ale uperfumowany liścik.

Poczuła, że krew tętni jej w uszach. Ukryła list w rękawiczce.

Nie ośmieliła się otworzyć go na sali. Bez słowa wyjaśnienia wyślizgnęła się z niej i pobiegła prosto do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi, zapaliła lampkę i drżącymi palcami rozłożyła go.

List zawierał jedynie czterowiersz wypisany ozdobnymi literami. Przysunęła papier do lampy, chcąc mu się lepiej przyjrzeć.

Miłości prawej żądza jest płomieniem,
Ramę jej daje nasze ziemskie tchnienie,
Co z lepszej cząstki ludzkiej sens swój bierze,
A serce mowę jej objaśnia szczerze.
S.T. Coleridge

Wiersz był ładny, lecz nie mógł się jej do niczego przydać. Nie było też pozdrowień ani podpisu. Poczuła ogromne rozczarowanie. Przyjrzała się uważnie odwrotnej stronie kartki, ale nic tam nie znalazła.

Powróciła więc do wiersza. Postanowiła odczytać go powoli na głos. Może kryje się w nim jakieś przesłanie?

„Miłości prawej żądza jest płomieniem – czytała głośno – Ramę jej daje nasze ziemskie tchnienie…”

Po chwili zamrugała oczami. Czyżby miała jakieś przywidzenia? Przysięgłaby, że między linijkami wiersza zaczynają pojawiać się jakieś inne słowa.

Przysunęła papier bliżej do lampki, tak że znalazł się bardzo blisko jej płomienia. Po chwili zmaterializowało się na nim całe słowo, jedna brunatna litera po drugiej.

O – S – T – A – T – N – I – O

Atrament sympatyczny!

Między wierszami kryła się jakaś wiadomość.

Charlotte, rozpromieniona, wyciągnęła ze stosu szpilek do włosów i wstążek na gotowalni rurki do zakręcania loków. Posłużyła się nimi, żeby jeszcze bliżej przysunąć list do ognia, jakby to była grzanka. Cierpliwość jej została wystawiona na ciężką próbę, ale musiała uważać, by papier nie zajął się ogniem od płomyka.

Kiedy wreszcie ogrzała cały list, wygładziła go na blacie stolika i przeczytała:

Z TYMI DAMAMI SPOTKAMY SIĘ W PRZYSZŁY WTOREK
NALEŻY PRZYNIEŚĆ DO CIEPLARNI BUŁECZKI Z RODZYNKAMI
OSTATNIO BYWA O PÓŁNOCY DOŚĆ WILGOTNO

Całe tajemnicze przesłanie okazało się absurdalnym tekstem napisanym atramentem sympatycznym i pachniało mocnymi perfumami.

Kimkolwiek byli zagadkowi kochankowie, Charlotte poczuła, że ma ich już po dziurki w nosie. Bułeczki z rodzynkami, też coś!

Przetarła oczy i przeczytała wszystko jeszcze raz. Znowu przysunęła papier do ognia, ale nic innego już się na nim nie pojawiło.

Może to rodzaj kodu? Próbowała czytać tekst na wspak, potem co drugie słowo, co trzecie… ale żadna z tych metod nie dostarczyła jej zrozumiałej informacji.

Miała już ochotę zmiąć kartkę w kulę i wrzucić ją do ognia, gdy nagle zauważyła mały brunatny znak w miejscu, gdzie wcale się go nie spodziewała. Nie wzięła go przedtem pod uwagę, sądząc, że to przypadkowa kropla atramentu sympatycznego. Teraz jednak zauważyła, że widniał dokładnie nad słowem „ramą".

Powiodła końcem palca po papierze w poszukiwaniu innego, podobnego znaku, i znalazła jeszcze jeden, tym razem tuż nad słowem „serce".

Tknięta przeczuciem, wyszukała inny kawałek papieru zbliżony wielkością do listu, przycięła go tak, by miał identyczny jak on format, złożyła papierek wpół i nożykiem do ostrzenia piór wykroiła w nim otwór o kształcie zbliżonym do serduszka. Potem przyłożyła tę zaimprowizowaną walentynkę do listu, przesuwając ją po nim w kółko, póki dziurka nie znalazła się na samym jego środku. Papier zakrył większą część tekstu przesłania, a dziurka utworzyła rodzaj ramy, pozwalającej odczytać jedynie słowa:

SPOTKAMY SIĘ
W CIEPLARNI
O PÓŁNOCY

Och, Boże! Zerwała się z krzesła, powtarzając sobie z niedowierzaniem:

– Ja… ja… dałam sobie z tym radę. To jest to! „Spotkamy się w cieplarni o północy!"

Roześmiała się na cały głos:

– Ja, Charlotte Highwood, rozszyfrowałam sekretne przesłanie i zrobiłam to zupełnie sama! No popatrz tylko, agencie Brandon!

Spojrzała na zegar wiszący nad kominkiem.

– Ojej! Pięć po dwunastej!

Rzuciła się ku schodom. Gdy dotarła do cieplarni, otwarła bezszelestnie jej drzwi i wślizgnęła się do środka. W całym wnętrzu unosiła się lekka wilgotna mgiełka przesycona wonią mnóstwa kwiatów. Szyby również były nią pokryte.

Słabe migotliwe światło sączyło się z odległego kąta.

Usypany z płatków róży szlak wiódł po kafelkach posadzki w głąb cieplarni, po czym kończył się przy zakręcie o jakieś dziesięć stóp dalej. Perfumy, wiersz, różane płatki? Po co to wszystko? Było już za późno na uratowanie jej reputacji, a prócz tego nie koiło to w najmniejszym stopniu rozterek związanych z Piersem. Wiele jednak znaczyło, jeżeli chciała odzyskać przyjaźń Delii. Odkrycie, kim byli zagadkowi kochankowie, miało również spore znaczenie, gdy chodziło o jej dumę. Dobre towarzystwo nie uważało jej za osobę utalentowaną. Zyskiwała szansę, by mu dowieść, że jest inaczej.

W każdym razie poradziła sobie doskonale. Nierozwiązana zagadka nękałaby ją do końca życia, gdyby miała teraz nie zrobić tych kilku ostatnich kroków.

Wstrzymała dech, idąc wzdłuż szlaku utworzonego z czerwonych, aksamitnych płatków. Kiedy minęła zakręt, serce zaczęło jej walić.

W pachnącej mgiełce zarysowała się ciemna, wysoka postać.

W pełnej zieleni, oświetlonej świecą alkowie stał…

– Piers?

Złożył jej wytworny ukłon.

– Dobry wieczór, Charlotte.

– Co tu robisz? Czyżbyś także znalazł list? – Rozejrzała się wokoło. – Czy oni już tu byli? Widziałeś ich?

– Kogo?

– Zagadkowych kochanków! Albo też rozpustników czy jak ich tam można nazwać. Znalazłam w sali balowej perfumowany list z szyfrem. Mnóstwo czasu zajęło mi odczytanie go i zrobiło się niemal za późno, przybiegłam tu więc jak najprędzej i…

Mówiąc to wszystko, dostrzegła więcej szczegółów. W mosiężnym lichtarzu tkwiła woskowa świeca. Butelka szampana chłodziła się w srebrnym kubełku z lodem. Piknikowy koszyk z pokrywką stał obok niej.

A Piers uśmiechał się dyskretnie.

– To byłeś ty! – Stuknęła się w czoło. – To ty podłożyłeś tam list. Żebym go znalazła.

– Pomysł z różanymi płatkami podsunął mi Ridley. – Piers sięgnął po butelkę

szampana i odkorkował ją. – Czy cię ucieszyło rozwiązanie szyfru?

– Nabrałeś mnie!

– Skądże. Przecież przyszłaś tutaj, prawda? A to znaczy, że nie było żadnego oszustwa. – Podał jej kieliszek szampana i wskazał na trzymany przez nią w ręku list. – Użyłem tej samej metody, którą posługiwał się generał Benedict Arnold, gdy przesyłał tajne wiadomości podczas buntu amerykańskich kolonistów. Złamałaś ten szyfr. Dobra robota!

Uniósł ku niej kieliszek, a potem upił z niego nieco trunku.

Miał niewątpliwie rację. W końcu rozszyfrowała przecież tekst.

Upiła łyk szampana. Zasłużyła sobie na niego.

– No widzisz, mówiłam ci przecież, że mogłabym zostać szpiegiem.

– Być może. Musisz jednak trochę popracować nad sobą, żeby odnosić w tej dziedzinie sukcesy. Arnold został, jak wiesz, wzięty do niewoli. – Wyjął nadgryzioną kanapkę z koszyka. – Przyniosłem tu kolację. Tam są ciastka cytrynowe.

Spojrzała na koszyk pełen słodyczy i kanapek.

– A jednak jest w tym jakieś oszustwo, bo zacząłeś piknik beze mnie. Nie wiem, które z tych dwóch oszustw jest dla mnie większą zniewagą.

– Nie wiedziałem, ile czasu ci zajmie rozwiązanie zagadki.

Wyrwała mu z ręki napoczętą kanapkę.

– W takim razie sprawa załatwiona. O wiele bardziej złości mnie to, że we mnie wątpiłeś. – Odgryzła solidny kęs.

– Następnym razem zadanie będzie trudniejsze.

Następnym razem?

Mimo że się z nią przekomarzał, wyczuła wyraźnie, że był dumny. I z siebie, i z niej.

A w dodatku bawił się doskonale.

Ona również.

Widziała już, jak obydwoje robią coś podobnego w jego rezydencji przy zgaszonych światłach, a wszystko skończy się potem romantyczną sceną we dwoje.

Czy będą mogli prowadzić takie właśnie życie? Pełne swawoli, ze szczyptą tajemnicy? Była to doprawdy miła perspektywa. Wszystko jednak zależało od tego, czy i jemu wydawałoby się to miłe.

– Kocham cię, Charlotte.

O mało się nie zadławiła kanapką.

– Teraz mi to mówisz? – zaprotestowała, przełykając nie bez trudu chleb z plasterkami ogórka. – Nie mogłeś poczekać, aż skończę kanapkę?

– Nie mogłem. Chciałem wprawdzie tak zrobić, ale nie byłem w stanie.

– No cóż, mam nadzieję, że powtórzysz to przynajmniej jeszcze jeden raz.

– Oczywiście, kochanie.

Kochanie. Jakże ją ucieszyło to słowo. W głosie Piersa słyszała czułość i przywiązanie, choć gdzieś w głębi wciąż kryło się niebezpieczeństwo.

Piers odstawił szampana i zbliżył się ku niej powolnym, lecz stanowczym krokiem. Och, jak wspaniale wyglądał tego wieczoru, gładko ogolony, w czarnym fraku, białej koszuli i halsztuku. Prezentował się wprost idealnie.

Wsparł czule ręce na jej ramionach.

– Wyglądasz dziś przepięknie – powiedział. – Czy jeszcze o tym nie wspomniałem?

Pokręciła głową, wzruszona wbrew sobie jego słowami.

– Chciałabym móc uczciwie przyznać, że to pochlebstwo nic ci nie da.

– Nie musisz tego mówić. Należą ci się o wiele bardziej uroczyste przeprosiny.

Nie miała zamiaru spierać się z nim o to.

– Po twoim otruciu przyrzekłem sobie, że jeśli zdołam przejąć kontrolę nad wypadkami, to będę mógł cię ochronić. Miałaś jednak rację. Jedyną osobą, którą chroniłem, byłem ja sam. Myśl, że mogę cię stracić, wypaliła mnie wewnętrznie. Nie myślałem o niczym prócz tego, że musisz się w nieodwracalny sposób stać moją. Obojętne, jakiej nikczemności by to wymagało.

– Jak mogłeś się martwić, że cię opuszczę? Po wszystkim, co było między nami? Powiedziałam przecież, że cię kocham.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. – Urwał. – Obawiałem się, że nie będę dość dobry dla ciebie.

Co?

Ten wspaniały, silny, przystojny mężczyzna obawiał się, że nie będzie dla niej dość dobry? Charlotte byłaby się roześmiała z absurdalności tego stwierdzenia, gdyby łza nie ukazała się w kącie jej oka. Zniknęła jednak po mrugnięciu.

– Dlaczego tak myślałeś?

– Z powodu tego, co przeszedłem w życiu. Matki gorąco kochają swoje dzieci, a przynajmniej tak mówią. Moja nie znalazła w sobie tyle miłości do swego dziecka, żeby pozostać wśród żywych. Moje pierwsze zaręczyny zakończyły się źle, bo narzeczona nie chciała na mnie czekać. – Wzruszył

ramionami. – Nie potrafiłem przekonać kobiet, że warto dla mnie żyć.

Objęła go za szyję.

– Ja uważam, że jak najbardziej warto.

– Nie musisz prawić mi banałów. Niełatwo mnie należycie poznać, a jeszcze trudniej pokochać.

– Musisz jednak zrozumieć, co ja teraz czuję. To, co mówisz, sprawia, że jeszcze bardziej mnie kusisz. Cieszy mnie świadomość, że jest w tobie coś więcej niż mogłoby na to wyglądać. A jeśli jest w tobie coś wspaniałego i olśniewającego, musi też być i coś mrocznego, a także pokrętnego. Jesteś prawdziwą zagadką. Rozwiązanie jej może trwać latami, ale wiesz już, że jestem uparta. Nie lubię się poddawać.

Objął ją wpół i przycisnął do niej czoło.

– Daj słowo, że się nie poddasz.

– Słowo honoru. – Przymknęła oczy. – Przykro mi, że dałam ci powód, byś w to zwątpił. Nigdy więcej już tak nie zrobię.

– A ja nigdy nie dam ci powodu do tego.

Uniosła głowę.

– Wciąż mi jeszcze nie powiedziałeś tego po raz drugi.

Pocałował ją powoli, z czułością. Jego pocałunek pachniał szampanem.

– Jasiecho – odpowiedział.

Mruknęła, udając, że protestuje.

– To tylko żarty. – Zajrzał jej w oczy. – Kocham cię, Charlotte. W jakiś dziwny sposób dotarłaś w głąb mojego serca i dokonałaś tam wybuchu, po którym zostały z niego tylko okopcone szczątki. Nie wiem, czy zdołam je ponownie złożyć, by cię kochać tak, jak na to zasługujesz. Ale daję ci słowo, że do końca życia nie przestanę.

– To już dużo lepsze. Dziękuję. – Wtuliła się w jego ramiona, wpatrzona w należącego do niej mężczyznę. – Będziemy się wspaniale bawić, jeździć po całym kontynencie, wykradać sekrety…

Potrząsnął głową.

– Tego akurat nie mogę ci dać. Mogę natomiast wysłać cię w podróż na kontynent razem z Delią i czekać na ciebie tak długo, jak tylko będzie trzeba. Ale moja praca wymaga przynajmniej pozorów obojętności. Jest również zbyt niebezpieczna. Każdy, kto chciałby mi zagrozić, szybko by zrozumiał, że najłatwiej to osiągnie, robiąc krzywdę tobie.

– Rozumiem – odparła, usiłując ukryć rozczarowanie. – Postaram się nie

narzekać, jeśli wydasz mi się obojętny i bezduszny, kiedy nie będziemy sami. Ja… ja już myślałam, czy nie mogłabym pracować z tobą po kryjomu.

– Nie, moja droga. Nie zaryzykuję tego. Dlatego właśnie zamierzam złożyć natychmiastową rezygnację.

24

Rezygnację? – Charlotte zrzedła mina. Wysunęła się z jego objęć.

– Tak. Muszę to zrobić. Najprędzej, jak tylko się da.

– Piers, nie wolno ci. Nie możesz rezygnować ze swojej profesji. Jesteś potrzebny Koronie. A tobie potrzeba takiej pracy. Widziałam cię podczas niej. Przecież tym żyjesz.

Dotknął jej policzka.

– Będę teraz żył tylko dla ciebie.

– Ale niebezpieczeństwo, ryzyko? Wiem, jak bardzo ci tego trzeba.

– Och, będę ich miał pod dostatkiem. – Uśmiechnął się. – Miłość jest niebezpieczniejsza od wszystkiego, czego doświadczyłem. Poślubienie ciebie to jakby skok z urwiska. Czuję się akurat tak samo bezpieczny w sensie zasługiwania na ciebie, jakbym miał latać w powietrzu.

– Myślę, że mógłbyś sobie poradzić niemal ze wszystkim.

– Prawda wygląda jednak, jak następuje. Odkąd weszłaś w moje życie, sprawność zawodowa mnie zawodzi. Byłbym nieodpowiedzialny, chcąc dalej pracować, skoro mój instynkt słabnie. Nie dostrzegałem jawnych oznak zagrożenia. Nie jestem bliższy ukończenia mojej misji niż pierwszego dnia pobytu tutaj i straciłem wszelki talent do wykrętów. – Spojrzał jej w twarz. – Czemu nie potrafię trzymać tego wszystkiego z dala od ciebie?

– Bo nie chcesz tego robić.

Zmarszczył brwi. To, co mówiła, nie miało sensu.

Odebrała mu spokój, możliwość obrony. Może też zaćmiła mu umysł?

– Nie chcesz mnie okłamywać – powtórzyła. – Prędzej byś umarł niż zdradził komuś swoje sekrety. Licho wie, dlaczego wybrałeś właśnie mnie.

Przez chwilę zastanawiał się, patrząc w pokryte mgiełką okno.

Czyżby miała rację?

Może w głębi duszy zrozumiał, że mają ze sobą coś wspólnego i wyczuł intuicyjnie, że może się przed nią otworzyć. I że gdy runą mury wzniesione

wokół jego serca, wyzwoli to w nim istną powódź poczucia winy i melancholię. Charlotte byłaby zbyt beztroska, by się w tej topieli zagłębić, a także zbyt uparta, żeby w niej zatonąć.

A jeśli tak, była w tym doprawdy ironia losu.

Przez ostatnie dwa tygodnie był bliski paniki, przerażony tym, że traci sprawność. Może niepotrzebnie się lękał, a jego instynkty tylko się wyostrzyły?

Może był bliski rozwikłania całej sprawy?

– Nadal nie mam pojęcia, co zagraża sir Vernonowi. Byłem pewien, że chodzi tu o romans i że jakaś jego kochanka spróbowała cię odstraszyć incydentem z tojadem. Ale dzisiejszego popołudnia przekonałem się, że on jest całkowicie oddany żonie.

– No i do żadnej z kobiet na mojej liście nie pasują poszlaki, które wcale nie układają się w logiczny ciąg. A samym poszlakom brak logiki. Czy miała włosy czarne, czy rude? Czy była nią pokojówka, która przyniosła mi tacę ze śniadaniem, czy dama, która kupiła mocne perfumy? – Zmarszczyła czoło z wysiłku. – Całkiem jakby nie chodziło o jedną i tę samą osobę.

Piers milczał. Zaświtała mu pewna myśl. A potem przypomniał sobie o czymś. W mgnieniu oka domysł przerodził się w pewność.

– Charlotte. – Objął ją i mocno pocałował. – Jesteś doprawdy błyskotliwą osobą.

– Co masz na myśli? Powiedziałam tylko, że nie może to być ta sama…

Zrozumiał, że doszła do identycznego wniosku, co on.

– Chyba nie myślisz, że…

– Ależ tak właśnie musi być! Wszystko się zgadza. Wydatki, wyjazdy, poszlaki, które do niczego nie pasują… To właśnie było powodem, że nie chciał przyznać się do prawdy.

– Rzeczywiście. – Uderzyła go w pierś. – A mówiłam ci, że chodzi tu o zagadkowych kochanków, nie o żadnych rozpustników. Przyznaj, miałam rację?

– No dobrze, miałaś rację.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Nigdy też nie pozwolę ci o tym zapomnieć.

Piers również by tego wcale nie chciał. Powinna zawsze przeciwstawiać swój optymizm jego cynizmowi, śmiech jego milczeniu, chaos jego porządkowi, serdeczność jego chłodowi. A ich serca zawsze się jakoś spotkają w połowie drogi między tymi przeciwieństwami.

– Czy zdradzimy im, że wiemy o tym? – spytała.

– W jakim celu? – Spojrzał ku drzwiom. – Zaraz mamy przecież ogłosić, że jesteśmy zaręczeni. To znaczy… jeżeli istotnie jesteśmy narzeczonymi, bo nie sądzę, żebyś…

– O Boże. – Ujęła go za rękę i pociągnęła ku drzwiom. – Oczywiście, że nimi jesteśmy. Nie zaczynaj wszystkiego od początku!

Piers był niezwykle rad, że już nigdy więcej nie będą wracać do tego tematu.

Opuścili cieplarnię i ruszyli, ręka w rękę, korytarzem ku jadalni. Piers szedł pierwszy, otwierając wszystkie drzwi i mijając zakręty.

Byli już w połowie drogi do holu, kiedy zaczepił nagle stopą o cienki sznurek przeciągnięty przez całą szerokość wnętrza.

Nie stracił jednak przytomności umysłu i natychmiast puścił dłoń Charlotte, żeby nie pociągnąć jej za sobą. Runął na ziemię głową naprzód, mając nadzieję, że zdoła się jakoś podnieść z niefortunnego upadku. Gdy tylko jednak padł na posadzkę, zaplątał się w coś, co spadło na niego z góry.

W ciężką sieć splecioną z grubego sznura.

– A mam cię!

Piers jęknął z cicha. Znał ten głos.

To był Edmund.

Do licha, tak nisko jeszcze nigdy nie upadł. Dał się złapać w pułapkę ośmioletniemu smarkaczowi.

Usiłował przekręcić się na plecy i zrzucić z siebie sieć.

– Edmundzie! Załatwmy to po dżentelmeńs… Au!

Edmund ze skrzyżowanymi ramionami siadł na nim całym swoim ciężarem, przygważdżając go do ziemi.

– Ty wstrętny chłopcze! – Charlotte szarpnęła Edmunda za rękę. – Złaź mi natychmiast z niego!

– Nie traktuj go zbyt bezwzględnie – mruknął Piers. – Może za jakieś dziesięć lat Foreign Office zaofiaruje mu pracę!

– Mor-der-stwo! Mor-der-stwo!

Delia wbiegła do holu.

– Edmundzie, co ty wyprawiasz?! Uwolnij natychmiast lorda Granville’a!

– Najpierw musi tu przyjść sędzia pokoju i zatrzymać go. Pod zarzutem morderstwa!

Z jadalni zaczęli wychodzić zaniepokojeni hałasem goście, a także służba.

Niesłychane.

– Ależ to niemożliwe! – powiedziała Charlotte. – Nie ma morderstwa bez

ofiary, a przecież nikt tu nie zginął!

– Ale on próbował je popełnić – upierał się Edmund. – Chciał udusić pannę Highwood. Pierwszej nocy, w bibliotece!

Wśród zebranych rozległy się szepty.

– Edmundzie, nie pleć głupstw! – krzyknęła Delia. – Mylisz się!

– A właśnie, że nie! Słyszałem wszystko!

– Delio, błagam cię, posłuchaj mnie – szepnęła do niej Charlotte. – Przecież próbowałam ci o wszystkim opowiedzieć. To nieporozumienie!

– Najpierw – oświadczył Edmund, zadowolony, że wszyscy słuchają go z uwagą – usłyszałem, jak ktoś stęka: yy, yy! A potem… – urwał na moment dla dramatycznego efektu – …rozległy się jęki.

Wszyscy wstrzymali dech i czekali w napięciu, co chłopiec teraz powie.

– No i wreszcie – ciągnął Edmund – zaczął się taki hałas, jakby sam diabeł zaczął charczeć!

W tejże chwili rozległ się donośny dźwięk:

– Chrrr… Chrr!

– O właśnie tak! – Edmund podskoczył na torsie Piersa. – Słyszycie go?

– Edmundzie, to wcale nie lord Granville – zawołała Delia – przecież te odgłosy dochodzą z szafy ściennej!

– Z szafy ściennej?

Wszyscy zamilkli.

A wtedy rozpoczęła się seria nieznośnych dźwięków dobrze już znanych Piersowi i Charlotte.

Bum! Bums!

Piers usiłował spojrzeć w stronę szafy. Sądząc z szaleńczego rytmu, zagadkowi kochankowie znajdowali się już w bardzo zaawansowanej fazie romansu.

Bums!

– Ooch!

Bums!

– Uch!

Bums, bums, bums.

A wreszcie na końcu:

– Urgh. Uurrgh!

Gdy odgłosy wreszcie ucichły, Edmund skoczył na równe nogi, a Piers mógł się wreszcie wyplątać z sieci.

Edmund z zaciśniętymi pięściami ruszył ku szafie ściennej, ale Piers złapał go za kołnierz.

– Nie rób tego!

– Puść mnie! – wrzasnął Edmund, wymachując pięściami w powietrzu.

– Panno Delio! – syknął Piers z cicha. – Proszę natychmiast zabrać brata do pokoju dziecinnego!

– No, właśnie! – zawtórowała mu Charlotte, chwytając Delię za rękę. – Niech wszyscy stąd wyjdą, i to szybko!

– A co będzie z mordercą?! – wrzasnął Edmund.

Ale już było za późno.

Drzwi szafy ściennej stanęły otworem i wytoczyła się stamtąd para dyszących, spurpurowiałych kochanków z rozczochranymi włosami i ubiorem w nieładzie.

Charlotte usiłowała zasłonić Edmundowi oczy, ale ten odepchnął jej rękę.

Oczy tak bardzo wyszły mu na wierzch, że zrobiły się wielkie jak dwa spodki.

– Tato – spytał słabym głosem. – Co… co ty tam robiłeś z mamą?

Kilka minut później Charlotte siedziała w pustym salonie, wpatrzona tępo w swoje złożone na kolanach ręce. Obydwoje czekali, aż sir Vernon i lady Parkhurst doprowadzą się do porządku.

– Właśnie sobie coś wyraźnie uświadomiłam – powiedziała do Piersa. – Nigdy chyba nie będziemy w stanie powiedzieć naszym dzieciom, w jaki sposób się poznaliśmy.

– Wymyślimy jakąś przekonującą historyjkę – odparł. – Mam pod tym względem spore doświadczenie.

– Domyślałam się tego. – Charlotte wzniosła oczy do góry. – Ale przynajmniej Delia wie już teraz, że jej nie zdradziłam i zacznie znów ze mną mówić.

Cieszyła się z góry, że razem z najlepszą przyjaciółką będą się długo, serdecznie śmiać z całej tej historii nad kieliszkami pełnymi sherry. Miały sobie naprawdę dużo do powiedzenia.

– Biedna dziewczyna! – westchnęła. – Pewnie na górze rozmawia z Edmundem o brzoskwiniach i bakłażanach.

Piers spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nawiasem mówiąc, o co właściwie chodzi z tymi bakłażanami?

Nim Charlotte zdołała mu wyjaśnić, sir Vernon z lady Parkhurst weszli do

salonu i zamknęli za sobą drzwi.

Piers wstał i dopiero gdy lady Parkhurst usiadła na krześle, z powrotem usadowił się na sofie. Zasze był dżentelmenem, nawet w tak osobliwych okolicznościach.

– Poznaliśmy się na maskaradzie – zaczęła lady Parkhurst. – Przypuszczam, że właśnie od tego się wszystko zaczęło.

Sir Vernon wtrącił się, jowialny jak zawsze:

– Jestem sportsmenem. Nic na to nie poradzę. Nie potrafię żyć bez porządnej pogoni.

– A ja uwielbiam, kiedy ktoś mnie ściga.

– Krew wtedy żywiej krąży w żyłach.

Jego żona przymknęła na moment oczy.

– No i dlatego… odgrywaliśmy pewne role. Z biegiem lat stawały się coraz bardziej wymyślne. Vernon dawał mi pełną sakiewkę pieniędzy, a ja dzięki nim uzyskiwałam nową tożsamość. Nowe imię. Nowe stroje. Peruki, klejnoty, nawet służbę. Pisałam do męża, udając różne wymyślone postacie, listy powiadamiające go, kiedy i gdzie ma się ze mną spotkać, a wtedy…

– A wtedy państwo radowali się wzajemnie swoim towarzystwem – dokończył za nią Piers.

Charlotte podziękowała mu w myśli. A poza tym nie miała wcale ochoty poznawać zbyt wielu szczegółów.

Lady Parkhurst ciągnęła dalej:

– Czasami byliśmy dżentelmenem i kobietą lekkich obyczajów, kiedy indziej parą samotnych podróżnych w oberży. Kochankami na potajemnej schadzce…

– Kamerdynerem i pokojówką – mruknęła Charlotte.

– Również i nimi.

– A więc to pani przyniosła mi tacę ze śniadaniem tamtego ranka. W stroju pokojówki i rudej peruce.

– Tak – przyznała lady Parkhurst. – Jakże mi przykro z powodu tego tojadu, moja droga! To był tylko wypadek, a zresztą zdarzył się wcale nie z mojej winy. – Spojrzała gniewnie na męża. – Właśnie „kamerdyner” był temu winien. Pomylił tojad z irysem.

– A cóż ja wiem o kwiatach? Ten też był fioletowy i ładny.

– Mógł ją zabić, Vernonie.

– Ale nie zabił, czyż nie? – Sir Vernon wskazał na Charlotte. – Całkiem dobrze teraz wygląda.

Charlotte ścisnęła Piersa za rękę. Domyśliła się, że walczył ze sobą, żeby nie przerwać Vernonowi.

– Istotnie – przytaknęła. – Nic mi już nie jest. Zawsze zresztą sądziłam, że to była jakaś przypadkowa pomyłka.

– Czemu nie powiedział mi pan o wszystkim już tamtej pierwszej nocy? – spytał Piers.

– Chętnie bym to zrobił, Granville, lecz prywatnie, tak żeby Edmund tego nie słyszał. Ale pan z miejsca zaoferował dziewczynie małżeństwo, więc po cóż miałem to robić? A prócz tego myślałem, że może między wami coś jednak było. W końcu kryliście się razem za tymi zasłonami.

Charlotte i Piers wymienili spojrzenia.

– Istotnie, byliśmy tam razem.

– No i nie myli się pan, sir Vernonie – powiedział Piers, nie spuszczając z niej wzroku. – Od samego początku coś między nami było.

Lady Parkhurst westchnęła z ulgą.

– Jakże jestem rada, że wszystko się dobrze skończyło. Czy możemy liczyć na wybaczenie?

– Ależ oczywiście. – Charlotte wstała, podeszła do lady Parkhurst i ucałowała ją w policzek. – Nawet muszę pani podziękować.

A także – dodała w duchu – bardzo panią podziwiam.

Widok pary tak bardzo zakochanej – i wciąż spragnionej siebie nawzajem po wielu latach małżeństwa – mógł doprawdy podnieść na duchu. Wzruszyło ją, że nadal potrafili znaleźć sposoby, aby wzajemnie się zaskakiwać jakimś nowym pomysłem. Miała nadzieję, że w jej małżeństwie z Piersem będzie podobnie. Obojętne, czy się pobiorą z miejsca, czy dużo później, założenie rodziny nie będzie dla nich równoznaczne ze zrutynizowaniem.

A co do szoku, jaki przeżył Edmund…

No cóż, dziecko może spotkać coś znacznie gorszego niż zdobycie przekonującego dowodu, że jego rodzice wciąż się kochają.

Wszyscy goście powrócili do jadalni. Być może stracili apetyt, ale tak czy inaczej kolacja już się skończyła.

Lady Parkhurst wygładziła włosy i suknię.

– Z powodu wypadków tego wieczoru powinniśmy chyba zrezygnować z toastu Vernona i od razu przejść do ogłoszenia waszych zaręczyn.

Piers wstał.

– Tak będzie chyba najlepiej.

Wyszli w ślad za gospodarzami na korytarz, ale Piers zatrzymał Charlotte tuż przed wejściem do jadalni.

– Moim zdaniem – powiedział – są dwa sposoby, na jakie możemy to zrobić.

– No, jakie?

– Mógłbym wygłosić poważne, stateczne oświadczenie, że zamierzamy się pobrać, ucałować powietrze nad twoją głową i zaprosić cię do najbliższego menueta.

– Hm. Bardzo wytworne. A drugi sposób?

Drgnęła mu przewrotnie lewa brew.

– W grę wchodziłoby wyznanie szalonej, namiętnej miłości. Gorące pocałunki. Wiele walców, podczas których obejmowałbym cię w niestosowny sposób, to znaczy bardzo mocno, przy milczącej dezaprobacie twoich szwagrów i prawdopodobnym zemdleniu matki… oraz takie mnóstwo plotek, że mogłyby wypełnić całe trzy numery „Prattlera”.

Charlotte uznała, że to sobie przemyśli.

– Co wybieramy, najdroższa? – spytał i podał jej ramię. – Czy powinniśmy podreperować twą nadszarpniętą reputację? Czy też wolisz zacząć od skandalu?

Ujęła go mocno za ramię.

– Przy tobie gotowa jestem wszczynać skandal każdego dnia.

Epilog

Trzy miesiące później

Oderwali się w końcu od siebie, opadając na poduszki i prześcieradła, mokrzy od potu, z trudem łapiąc oddech.

W tej chwili byli wzajemnie nasyceni sobą – ale tylko w tej chwili. Trzech miesięcy wstrzemięźliwości nie sposób sobie wynagrodzić za jednym zamachem.

Charlotte wsparła głowę na nagiej piersi męża. Obejmował ją mocno ramieniem, gładząc w górę i w dół jej rękę. Kolejne fale delikatnej pieszczoty koiły jej wyczerpane ciało.

Nie chciałaby teraz się znajdować w żadnym innym miejscu na całej kuli ziemskiej.

Spojrzał ku świecznikowi.

– Kto u licha powiesił moją rękawiczkę aż tak wysoko?

– Nie mam pojęcia.

Rozejrzała się po sypialni. Wszędzie poniewierało się rozrzucone odzienie. Koszula i kamizelka Piersa wisiały na gotowalni. Jej pończochy zwisały z poręczy łóżka. Halki leżały na podłodze razem z parą popielatych spodni. Jedwabna suknia ślubna, ozdobiona delikatną koronką i naszywana perłami, w postaci zmiętego kłębu spoczywała na dywanie.

– Obiecuję, że postaram się być porządniejsza – powiedziała. – Ale dopiero kiedy będziemy spędzać dni miesiąca miodowego kolejno w każdym pokoju twojego domu.

– Po pierwsze, moja droga, to jest teraz nasz dom. A po drugie, muszę cię ostrzec, że Oakhaven ma czterdzieści sześć pokoi.

– Sprostam temu wyzwaniu, jeśli ty zrobisz to samo.

Przekręcił się na bok, żeby leżeć twarzą do niej, i spojrzał na jej nagie ciało z pożądaniem.

– Nie wątp w to. Stanę na wysokości zadania.

Zaśmiała się. Widywali się oboje regularnie w miesiącach poprzedzających ślub, który wzięli w samo Boże Narodzenie. Musieli dokonać wyboru kwiatów, ustalić menu i nie szczędzić pieniędzy na rzeczy zgodne z kosztownymi upodobaniami jej matki. Zdołali nawet być na kilku balach i dwukrotnie pokazać się w operze. Nigdy jednak nie ruszali się nigdzie bez przyzwoitki. Poza kilkoma ukradkowymi pocałunkami ich wzajemne kontakty zredukowane były do trzymania się za ręce i tęsknych spojrzeń.

Jakże jej brakowało nie tylko rozkoszy, jaką jej dawał, lecz choćby czułych uścisków i rozmów w łóżku.

– Może pójdziemy się wykąpać. – Usiadł na łóżku i pocałował ją w usta. – Ale najpierw moglibyśmy chyba coś zjeść.

Kiedy wstał, Charlotte opadła bezwładnie na łóżko.

Czterdzieści sześć pokoi. O Boże.

Już ta sypialnia miała rozmiary godne pałacu.

Wkrótce będzie się musiała przyzwyczaić do tego wielkiego domu i onieśmielającego obowiązku bycia jego panią.

Ale tego wieczoru pragnęła nie myśleć o niczym innym prócz Piersa. Swego męża. Przyjaciela. Ukochanego.

A także doświadczonego rozpustnika przy odpowiedniej okazji.

Przewróciła się na drugi bok i spojrzała na niego, podpierając się łokciem. Tęskniła przedtem również i za jego wyglądem. Smukłe, męskie ciało Piersa było prawdziwie piękne.

Przyglądała mu się z zachłannym, bezwstydnym zainteresowaniem, gdy odchodził od niej. Zachwycał ją sposób, w jaki mięśnie jego ud i pleców poruszały się i wyginały, a z jeszcze większym zaciekawieniem spojrzała na niego, kiedy wrócił, niosąc srebrną tacę z szampanem i przekąskami.

Wyrwało się jej westchnienie. Doprawdy, była kobietą szczęśliwą.

A także zgłodniałą.

Siadła i podkuliła pod siebie nogi, gdy delektowali się czymś w rodzaju pikniku na środku łóżka. Kanapki, ciastka i bułeczki z rodzynkami, rozmaite sery i owoce. Gdzież ich kucharz znalazł dojrzałe, słodkie morele w grudniu? Prawdziwy cud.

– Byłbym o czymś zapomniał. – Odłożył bułkę z masłem i cienko pokrojoną szynką. – Mam prezenty dla ciebie.

Charlotte wypiła resztkę szampana.

– Prezenty ślubne?

– I ślubne, i bożonarodzeniowe. Możesz je nazywać, jak chcesz.

– Pobudziłeś moje zaciekawienie.

Wyciągnął rękę, żeby wysunąć szufladkę nocnego stolika i poszukał w niej czegoś.

– Może najpierw ten, którego się spodziewałaś. – Z obojętną, znudzoną miną wyciągnął z szufladki lśniący złoty naszyjnik i podał jej.

Charlotte niemal bała się go dotknąć.

Palce się jej nieco trzęsły, gdy ujęła naszyjnik i zaczęła go obracać, tak by odbijało się w nim światło. Kilka wspaniałych szafirów wielkości jej paznokcia zwisało z pełnego brylantów łańcucha.

– O Boże, Piers.

Zawiesił go jej na szyi i pomógł zapiąć zameczek z tyłu. Wygięła się, chcąc ujrzeć swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju. Nawet z tej odległości naszyjnik błyszczał i migotał niczym noc pełna gwiazd.

– Słów mi brak. Jest przepiękny.

– Stał się piękny na tobie. Ale, jak mówiłem, jest to coś, czego mogłaś oczekiwać.

– Z pewnością się go nie spodziewałam.

– Jest jeszcze kilka innych prezentów, mniej tradycyjnych.

Charlotte z ociąganiem odwróciła wzrok od własnego odbicia.

– Jeszcze jakieś?

– Widzisz to biurko? – spytał, wskazując na ogromny mebel z orzechowego drzewa inkrustowany motywami kwiatów, który zajmował cały kąt pokoju.

– Trudno go przeoczyć.

– Ma czternaście skrytek. Podejrzewam, że odnalezienie wszystkich zajęłoby ci całe lata.

– Coś podobnego. Chyba uda ci się nauczyć mnie, do czego służą szuflady.

– Być może. A teraz ostatni – i jak sądzę – najlepszy. Zamknij oczy i wyciągnij przed siebie ręce.

Usłuchała go; siadła prosto na łóżku i zrobiła, o co prosił.

– Otwórz oczy.

Otwarła je i ujrzała mały mosiężny kluczyk zawieszony na aksamitnej wstążeczce.

– Klucz? Do czego?

– Do tajemnego przejścia istniejącego gdzieś w tym domu.

Aż jęknęła z zachwytu.

– A więc jest tu jakieś tajemne przejście?

– Owszem. Takie, które prowadzi do ukrytego pokoju. Pracował tutaj cały zespół architektów i budowniczych. Ale nawet ja nie wiem, gdzie ten pokój się znajduje, nie sądź więc, że wydobędziesz ode mnie tę wiadomość.

Znał ją dobrze.

Miał rację, to był najlepszy prezent ze wszystkich.

Zacisnęła kluczyk w dłoni.

– To najdoskonalszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Dziękuję ci. A teraz muszę z przykrością powiedzieć, że ja mam dla ciebie tylko jeden prezent, ale on się nie może w żaden sposób równać z twoimi.

– Charlotte. – Wyciągnął ku niej rękę i ujął dłonią jej policzek. – Kilka godzin temu przysięgałaś przed Bogiem, że będziesz moją żoną. Kocham cię tak bezgranicznie, że wypełniłaś już każdy ukryty pokój w głębi mojego serca i każdą mroczną, sekretną szufladkę mojego jestestwa. Nie martw się więc o twój prezent. Czuję się przepełniony tymi, o których mówiłem. Wystarczą mi do końca życia.

Och, cóż to za człowiek. Jak mogła kiedykolwiek uważać go za kogoś chłodnego, pozbawionego romantycznych skłonności?

Uśmiechnęła się i starła z oczu pojedynczą, niemądrą łezkę.

– Może mój prezent okaże się mimo wszystko odpowiedni.

Zeskoczyła z łóżka i zaczęła grzebać w bagażach, które lokaje wnieśli wcześniej do pokoju, aż wreszcie wyciągnęła stamtąd pudło na kapelusze, a potem wróciła ze swoim małym prezentem do niego.

– Proszę – i wcisnęła mu go w rękę. – To tylko mój portret.

Znakomicie, Charlotte. Całkiem jakby nie mógł sam zobaczyć modela.

– Delia namalowała go, nim wyjechała z resztą rodziny.

– Dobrze uchwyciła podobieństwo.

– Tak sądzisz?

W odpowiedzi odłożył portret i pocałował ją gorąco.

– Uwielbiam to – wyszeptał tuż przy jej ustach. – A także uwielbiam ciebie.

Nachylił się, żeby ucałować jej szyję i ucho, delikatnie gładząc też pierś.

– Delia napisała mi, że maluje teraz dla nas pejzaż. – Charlotte wciągnęła gwałtownie dech, gdy dłoń zawędrowała mu między jej uda. – Jest to widok wzgórz i lasów. Pisze, że włoski krajobraz jest niemal tak samo inspirujący jak freski.

– Miło mi to słyszeć.

Wsunęła mu dłoń we włosy, gdy przewrócił ją na plecy.

– Czy podziękowałam ci już za to, że posłużyłeś się swoimi wpływami, żeby sir Vernona wysłano gdzie indziej niż do Australii?

– Mhm – mruknął, muskając językiem jej wargi.

– A za obietnicę odwiedzenia Parkhurstów tego lata, kiedy zatrzymamy się w Paryżu, a także w Wiedniu?

– Tylko na krótko.

– Ale to tyle znaczy dla… och!

Ujął jej sutek w usta. A kiedy go puścił, nie mogła już myśleć o niczym więcej.

W jednej chwili znalazł się nad nią, rozsunął jej uda i zarzucił sobie jej kolana na ramiona. A potem chwycił jej biodra i uniósł ku sobie, okrywając jej najskrytsze miejsca pocałunkami. Gwałtownie, władczo.

I ani trochę nie był przy tym przyzwoity.

A sposób, w jaki robił użytek ze swojego języka, wydawał się doprawdy diabelski.

– Piers… – Po kilku zapierających dech chwilach pociągnęła go za włosy, tak by móc mu spojrzeć w oczy.

– Ale nie złożyłeś chyba rezygnacji? – spytała.

– Mam powiedzieć ci prawdę?

– Zawsze mów mi tylko prawdę.

Uśmiechnął się przewrotnie.

– Szpiedzy nigdy właściwie nie rezygnują, moja droga. Skrywają się tylko głębiej.

Z tymi słowami nakrył ją kołdrą i sam pod nią zniknął.

Następnego ranka Charlotte spała kamiennym snem.

Podziękowania

Zawsze intrygowały mnie tajemnice, podobnie jak moją bohaterkę, Charlotte Highwood.

Dziękuję mojej matce po przeczytaniu wszystkich jej starych książek z Nancy Drew. Dziękuję moim przyjaciołom oraz rodzinie, bliższej i dalszej, za wsparcie i zrozumienie, jeżeli nie miałam czasem o czymś pojęcia. Dziękuję ogromnie mojemu mężowi, podobnie jak ja przekonanemu, że nasza miłość to tajemnica, która wcale nie wymaga rozwiązania, tylko po prostu istnieje – i tyle.

Pozostaje też dla mnie nadal tajemnicą, dlaczego Tessa Woodward, która wydaje moje książki, wciąż jeszcze nie ma mnie dosyć – ale jestem jej za to niesłychanie wdzięczna. Dziękuję każdemu z członków wspaniałego redakcyjnego zespołu wydawnictwa Avon. Na wyrazy najwyższego uznania zasłużył również mój agent literacki, Steve Axelrod, a także Lori i Elsie, które potrafią odpowiedzieć na każde pytanie.

Wreszcie wdzięczna jestem (i przepraszam oboje) Jane Austen i Stephenowi Kingowi, twórcom dwóch ikonicznych kierunków w beletrystyce, wręcz bezwstydnie czerpałam bowiem inspirację z ich dokonań, chyba że trwała właśnie jakaś wyjątkowo mroczna i burzliwa noc.

Przypisy

[1] ang.: świstak (przyp. tłum.).
[2] ang.: ladacznica (przyp. tłum.).